

Conan

i miecz Skelos



Andrew
J. Giffitt

ANDREW J. OFFUTT

CONAN I MIECZ SKELOS

PRZEŁOŻYŁ CEZARY FRĄC

TYTUŁ ORYGINAŁU CONAN THE SWORD OF SKELOS

PROLOG:

DWA MIECZE

W straszliwym lochu, gdzie nawet karaluchy wyzdychały dawno temu, na samym dnie kamiennej jamy dwaj więźniowie, okaleczeni, umęczeni, brocząc krwią świeżych ran stali podtrzymując się wzajem, wpatrzni w górę, tam gdzie wysoko ponad nimi, na podeście u szczytu schodów widać było niewielką grupkę mężczyzn.

Tych czterech mężczyzn z wysokości podestu przyglądało się więźniom w milczeniu.

Odblask ognia lśnił krwawo na głowni nagiego miecza, smukłe palce człowieka wspartego o miecz bezwiednie muskały gładką stal ostrza. Człowiek ów miał nader dziwnego kształtu ferygiański kapelusz i odziany był w długą suknię w pięknym mrocznym kolorze ciężkiego wina, spowijającą go aż po młodą, starannie wygoloną twarz. Towarzyszył mu grubas, strojny w przebogate szaty z wielobarwnej materii, lamowane złotem, zdobione srebrnymi haftami.

Ręce zmęczone dźwiganiem ciężkich złotych pierścieni i imponujących bransolet zatknął za kunsztownie wykonany szeroki pas, dźwigający w pobłyskującej klejnotami pochwie zakrzywiony miecz i z trudem opinający wielki brzuch obżartucha.

Za grubasem stali na straży żołnierze, dwa rosłe ponure chłopiska przyodziane w kolczugi i hełmy, po wyglądzie znać było, że groźni to woje i że dzielnie spisują się w bitwie — ale dziś miecze ich odpoczywały w pochwach przypasanych do boków.

Młodzieniec w kapeluszu pierwszy przerwał milczenie, oderwał wzrok od więźniów i zwrócił się do brzuchacza:

— Cóż dalej, mój khanie? Czy torturami wyciągnąłeś już z więźniów odpowiedzi na wszystkie pytania? Czy chcesz, aby od tej chwili przestali obrażać twe oczy swoim, istnieniem, wielki Khanie Zambouli?

Grubas odgarnął z szyi czarny tłusty lok. Przy każdym poruszeniu fałdy szaty falowały łagodnie, mieniąc się w blasku płomieni. Mimo tych tłustych fryzowanych włosów i nalanej twarzy nie można było powiedzieć, że jest brzydki, miał nawet pewien wdzięk. Powoli uniósł

brwi.

— Tak — rzekł jakby znużony. I zaraz dodał drwiącym tonem: — Lecz oczywiście ty nie zejdziesz

do jamy, żeby zostać ich katem?

Słyszając to jeden z żołnierzy wyszczerzył zęby, oczy mu zaświeciły okrutnie pod spiczastym hełmem — on był gotów do spełnienia katowskiej roboty! Chętnie zastąpi tego tam, o zbyt delikatnych, wypielegnowanych dłoniach... Lecz zimne, ostre jak klinga dobrego miecza spojrzenie człowieka w kapeluszu natychmiast ostudziło ten niewczesny zapal.

Żołnierz został na miejscu, i tylko zacisnął zęby, by powstrzymać przekleństwo. Kimże, na Erlika, był ten, co ośmielał się jemu, najwierniejszemu słudze satrapy, rozkazywać?! Zaś człowiek ów z uśmiechem przeniósł znowu wzrok na khana.

— Nie, mój khanie. Rzeczywiście, ja nie zejdę tam. Proszę jednak, byś wstrzymał się chwilę. Tylko chwilę, mój panie.

I nie dbając o odpowiedź władcy, mężczyzna odwrócił się, odchodząc ku miejscu pod ścianą, gdzie stał niski żelazny kosz z płonącymi węglami. Stały tam też dwa naczynia, jedno z wodą, a drugie z ziemią. Człowiek w kapeluszu przykucnął przy nich, na podłodze przed sobą położył najostrożniej nagi miecz, na którym przedtem się wspierał. Była to piękna broń.

Długi, wysmukły liść śmiercionośnej stali, jego trzpień tkwił głęboko, skryty w rzeźbionej rękojeści. Rękojeść ta była arcydziełem sztuki snycerskiej, ryczący smok w niezwykle sposób obejmował skrzydłami gardę, a na smoczej głowie płonął kulisty, wspaniale oszlifowany topaz niespotykanej, wprost bajecznej urody. Cały miecz zachwycał prostotą i symetrią kształtu, doskonałością wykonania, i widać było, że w bitwie spisywać się musi nad podziw dobrze. Ach, nie było chyba wojownika, któremu taki miecz byłby obojętny.

Mężczyzna pochylał się nisko nad ostrzem. Szeptał coś cicho, ledwie słyszalnie. Nagle płomień w koszu, dotąd płonący spokojnie, zahuczał groźnie i zatrzeszczał złowieszczo, a upiorne błyski zatańczyły z czarnymi cieniami szaleńczy tan. Tymczasem człowiek wziął

garść ziemi z naczynia i mruczając coś ciągle pod nosem nacierał ziemią stal, tak dokładnie, aż dotknięcia ziemi zaznał cały miecz. Żołnierze zamarli ze zgrozy — miecz, najświętszy skarb, paskudzić błotem?! Byle kto łatwo mógł stać się posiadaczem topora, jednak zwykły żołnierz oszczędzał przez całe swoje życie, by w końcu nabyć na własność jakiś niezbyt drogi miecz.

Potem do śmierci traktował go z szacunkiem, i strzegł, i otaczał czcią — wszak najpiękniejsza żona nie kosztowała tyle, co dobry miecz. Ze ściśniętymi sercami patrzyli więc na to, co czyni bluźnierca.

Lecz ten nie zwracał na nich najmniejszej uwagi, zajęty nową czynnością: oto nie bacząc, że zabrudzi swą kosztowną szatę, padł na kolana i najwyraźniej rozpoczął modlitwę do miecza! Potem opadłszy na czworaki, nabrał powietrza w policzki i począł dmuchać na miecz, zawodząc niczym pustynny wiatr... Czyżby budził go do życia swym tchnieniem...?

Obecnych przeszył dreszcz...

I w tejże chwili loch zawirował im w oczach, gdyż człowiek ów wznosił miecz i ciął nim nad głową

trzy razy, aż zajęczało powietrze, a wtedy coś jakby trąba powietrzna zakotłowało się w lochu, kurząc siwą mgłą!

Więźniowie wymienili szybkie spojrzenia. O, oni znali magów i dobrze znali moc magii, gdyż ich rodzinny Iranistan słynął w świecie z czarów. Nieraz zdarzało się, że zawitali tam goście z tajemnych, nieznanymi człowiekowi przestrzeni między wymiarami, dziwaczne stwory i okropne potworne istoty, a potem długo opowiadano sobie o spotkaniach z takimi gośćmi, jeśli ktoś miał szczęście — uszedł z życiem. Tylko magowie nie musieli się takich spotkań obawiać. A ten tutaj to był mag, bez wątplenia, poznali od razu. Wielki mag, władający potężną mocą.

Teraz zanurzył dłonie w naczyniu z wodą i delikatnie przyskał miecz, mruczając tajemne słowa zaklęcia.

Khan i dwaj jego żołnierze stali bez drgnienia, zapatrzeni w magiczne praktyki, i tylko czuli, jak włos im się jeży na głowie i płucom zaczyna brakować tchu. Mag wznosił w górę ociekający wodą miecz i przeciągnął głównię przez płomień tańczący nad koszem z węglami.

Metal zasyczał gniewnie. Czarnoksiężnik wstał. Wyprostował się. I cisnął miecz do jamy lochu. — Zabij go.

Miecz był jeszcze w powietrzu, gdy dosięgnął go rozkaz. Srebrzysta śmierć pomknęła w dół. Jeden z więźniów rzucił się w bok, szukając pod ścianą schronienia, oparty plecami o kamienny mur drżał, a pot strugami ściekał po jego nagiej, pokrwawionej, umęczonej torturami piersi. Na podeście khan i żołnierze znieruchomieli, śledząc lot śmiertelnej stali.

Miecz namierzył swój cel. Więzień spróbował umknąć resztką sił... Nie zdążył. Szarpnął się tylko gwałtownie i westchnął, gdy ostrze przeszło jego pierś, wbijając się w serce.

Ponad drgającym w agonii ciałem miecz kołysał się miękko, a słońca płonęły w topazie.

Na długą chwilę w lochu zaległo milczenie, nawet ogień w swym koszu ścichł, by trzaskiem nie zakłócić ciszy śmierci.

Khan wreszcie otrząsnął się z wrażenia i mógł wykrztusić słowa, cisnące mu się na usta.

— Doskonale!!! — wykrzyknął. — Nie myślałem nigdy, że ty, Zafro, tak szybko zdobędziesz takie umiejętności...

Gdy mówił te słowa, drugi więzień korzystając z osłony półmroku przesunął się

bezszelestnie i drżącą ręką sięgnął do rękojeści miecza, tkwiącego w ciele martwego towarzysza. Pociągnął — krew buchnęła z rany szerokim strumieniem. Popatrzył w górę. Tak blisko stał zniechęcony khan, nie spodziewając się niczego złego. Ściskając miecz w spoconych dłoniach, sunąc pod ścianą cicho jak cień, więzień przebył prawie całą drogę przez loch, docierając już do stopnia u podstawy schodów.

Lecz nim żołnierze zdążyli dobyć mieczy w obronie khana Zambouli, satrapy Turanu, nim sam więzień zdołał zrozumieć — mag szeptem wyrzekł zaklęcie. Miecz ożył w ręku więźnia, palce nieszczęśnika rozwarły się bezwolnie, ostrze śmignęło w powietrzu, wykonując szybki jak mgnienie zwrot. Jakby pchnięte mocarnym ramieniem, runęło na więźnia, gdy ten właśnie ręką osłaniał twarz... Odcięta jednym ciosem dłoń spłynęła krwią, nie spadła jednak na ziemię, gdyż zawisała na kawałku skóry. Miecz nie tracąc chwili cofnął się i z niewiarygodną siłą uderzył ponownie. Przebił serce więźnia na wylot.

Mag odwrócił się do khana, młoda spokojna twarz czarnoksiężnika nie wyrażała nic, stał przed khanem, jakby nic się nie stało. Czekał, co powie khan. Khan zaś z krótkim syknięciem wypuścił powietrze z płuc.

— Niesamowite, magu...

Mag skłonił się. Starannie ukrył uśmiech. Oto od tej chwili nie był już uczniem, ani zwyczajnym nic nie znaczącym młodym magiem i wiedział o tym z całkowitą pewnością —

w tej jednej chwili został Nadwornym Magiem Akter Khana!

On, jeszcze niedawno tylko smarkacz, którego przyszłość była niepewna, a fortuna wątpliwa — zwyciężył! Od tej chwili jego przyszłość była pewniejsza niżli przyszłość tego tu khana... Mag oczami jasnymi jak piasek pustyni i równie nieprzejrzystymi, jak u węża zupełnie bez wyrazu, tak że nie można było odczytać z nich żadnej myśli, spokojnie spojrzął

w twarz swego władcy.

— Zaczarować tak tysiąc mieczy — ciągnął rozmarzony władca — i miałbym armię

niepokonaną! Zbędne kwatery i utrzymanie, i żołd dla takiej armii. I jakże oddane i wierne to wojsko...

— Panie mój, zaledwie pokazałem ci jedną moją sztuczką, natychmiast myślisz: więcej, więcej! Bądź cierpliwy, dobry khanie, a wkrótce przekonasz się, co wart jest Zafra...

— Nie myśl, że jestem niewdzięczny, mój magu. Doceniam. Lecz...

— Żałuję, panie, ale tylko dwa ostrza mogą być zaczarowane. Nie żądam więcej.

— Dlaczego?

Wzrokiem mag wskazał znacząco żołnierzy, strzygących uszami, by nie uronić słowa z rozmowy. Widowisko wzbudziło w nich strach, lecz nadal gotowi byli strzec khana, także przed tym potworem, przed demonem w ludzkim ciele, jakim wydawał im się budzący grozę młody mag. Ale gdyby armia miała się składać z samych mieczy... Przeszedł ich dreszcz.

Czekali więc na resztę tych strasznych pomysłów, gdy khan zgodziwszy się z magiem, skinął

dłonią, nie zaszczycając swej straży nawet przelotnym spojrzeniem.

— Nie ma tu nic, przed czym mielibyście nas bronić. Zaczekajcie za drzwiami. — I patrząc w mroczne oczy maga powtórzył pytanie: — Dlaczego?

Mag potarł wierzchem dłoni wygolone policzki, czekając, aż za żołnierzami, z łoskotem i szurganiem buciorów opuszczającymi loch, zamkną się drzwi. Kiedy zostali sami, rzekł z powagą:

— To Prawo Skelos, wielki khanie. Ze Skelos pochodzą zaklęcia, które uczyniły ten miecz posłusznym mej woli zabójcą, Mieczem Skelos, skutecznym w wodzie i w ogniu, na ziemi i w powietrzu.

— Ach, Skelos... — khan nie zadrżał ani nie jęknął, słysząc nazwę najstraszniejszego miejsca na ziemi. Nie bał się czarów czarnoksiężników, dopóki zło gotowe było mu służyć. A odkąd został z łaski cesarza Turanu khanem Zambouli i satrapą Cesarstwa, posiadał także sposoby dosyć skuteczne, by zło było na jego usługi. — Dlatego w naczyniach te żywioły, ta ziemia, i woda, płomień... Cóż. Niech będzie Skelos. Przyjmij, magu, ten pierścień — jest twój.

Zsunął z palca ciężki pierścień z olbrzymim rubinem. Mag przyjął dar, nie rzekłszy słowa nałożył pierścień na swój palec. Doskonale pasował.

— Chcę mieć ten miecz.

Zafra uśmiechnął się.

— Odgadłem dawno pragnienie mego pana, mam jednak inną myśl. Zastanów się, szcudrośliwy khanie: miast brać ten, choć piękny i doprawdy będący dziełem utalentowanego artysty, może wolałbyś, bym czar położył na twój własny, o ileż piękniejszy miecz?

Khan sięgnął do swego boku i czule zamknął dłoń na wysadzanej szlachetnymi

kamieniami rękojeści zakrzywionego miecza, który wisiał umocowany do pasa przy jego boku. Pieszcząc rzeźbę z rubinów, topazów i szmaragdów, z łatwością ogarniał wyobraźnię tę chwilę, gdy jego wspaniały, najwspanialszy w całej Zambouli miecz... Zakrzyknął więc z dziecinną radością:

— Tak! Na wnętrzości Elrika — tak!

I wysunąwszy miecz z pochwy, zapatrzył się na to cudo w nikłym blasku czerwonych i złotych płomyków rodzących miriady gwiazd w przepięknie szlifowanych kamieniach. O

ile miecz Zafry zachwycał prostotą szlachetnych kształtów, to miecz khana zdumiewał

cudnym wzorem ułożonym z kolorowych gwiazd, łagodnym wygięciem klingi, formą złotego jelca, przepychem utrzymanym przez mistrza w najdoskonalszej harmonii z przeznaczeniem bitewnym.

— Panie... — głos maga wyrwał khana brutalnie ze świata marzeń, a w głosie tym brzmiał jakiś nowy ton. — Miecz musi zostać skrwawiony, by czar mógł zadziałać.

— Ach, wiem! Nietrudno jednak będzie znaleźć kogoś, kto poświęci dla mnie życie.

Bezwartościowe szare życie, by jego khana chronił taki miecz... Czyń, co masz czynić.

I spojrzawszy przelotnie na dwa ciała zamordowanych więźniów leżące w kałuży krwi w jamie na dole — satrapa Turanu, Khan Zambouli z uśmiechem podał swój ukochany miecz Zafrze, Nadwornemu Magowi...

CONAN Z CYMMERII

Chłopak na pożegnanie uścisnął lekko krągłe białe ramię dziewczyny. Odrzuciła w tył

łowe włosy, cofnęła się i spojrzała na niego ostatni raz — tym spojrzeniem właściwym kobietom, gdy w niepojęty sposób łączą najśłodszą słodycz z... odrobineczką złośliwości.

Chłopak zaśmiał się cicho. Jej pas ze srebrnych monet opasujący smukłą kibić pobrzękiwał

delikatnie, kiedy spiesznie poczęła się oddalać, odchodząc w swoją stronę. Szła szybko, by jak najprędzej opuścić to miejsce i dotrzeć w lepiej oświetlone rejony. Tu straszno było, w tej ciemnej, najgorszej z dzielnic Miasta Niegodziwości, słusznie zwanej Pustynią. W labiryncie ciasnych uliczek z łatwością można było stracić życie, a jeszcze łatwiej w cichych zaułkach zawałonych stertami odpadków, cuchnących niczym ryszotki.

Chłopak też ruszył w swoją stronę. Uszedłszy nie więcej niż cztery kroki, bez wahania skręcił w taki właśnie śmierdzący zaułek. Ciemniej tu było niż na dnie najgłębszej studni, a jedyne światło — zamglony blask brudnych latarni wiszących przed podłgą tawerną, idąc zostawił już daleko za sobą. Ciemność kryła więc przed oczami przypadkowych

przechodniów urodę chłopca — i jego miecz. Szedł niespiesznie, był bowiem bardzo młody i posiadał tę właściwą młodości szczególną pewność siebie: zuchwałość wilka, który nie obawia się psów. A że zaznał w życiu niejednej przygody i niejednego wroga zdążył już wysłać na tamten świat — nawet gdy wróg ten był straszliwym, ohydny demonem lub którymś z licznych czarnoksiężników — czegoż więc miałby się bać?

Lecz niestety... Zaledwie „wilk” wszedł w zaułek, z mroków nocy wyłoniły się „psy”. Od ściany oderwał się cień i zniemacka czubek ostrego miecza oparł się na brzuchu młodzieńca.

— Stój i nie sięgaj po broń, Conanie.

W zimnych niebieskich oczach chłopaka zapalił się ogień, wąskie z natury — zwęziły się jeszcze bardziej. Człowiek stojący na drugim końcu miecza spowity był w fałdy długiego płaszcza, kapturem osłaniał głowę, i nawet bystre oczy Cymmerianina nie mogły w mroku zaułka dojrzeć jego twarzy. Więc Conan stał ciągle, pozornie nieruchomy, lecz były to doprawdy jedynie pozory — całym sobą zareagował instynktownie: rozluźnił się, cofnął

powoli jedną stopę, przesuając ją bardzo powoli do tyłu, potem drugą... A gdy nacisk miecza na bluzie zelżał — wysunął brzuch ku przodowi, by dać przeciwnikowi złudzenie, że ów wciąż ma go o cal czy dwa bliżej, niż był w rzeczywistości.

Stali chwilę przyglądając się sobie wzajemnie. Conan w żaden sposób nie mógł zobaczyć w ciemnościach twarzy napastnika, oceniał jednak jego posturę, sprzężystość członków i szybkość ruchu, zgadując zarys postaci pod fałdami obfitego płaszcza. Tamten łypiąc okiem spod nasuniętego na

twarz kaptura lepiej widział przeciwnika, kiedy księżyc wypłynąwszy zza chmur oświetlił blado zaułek, migotliwie pobłyskując w kałużach. I lekko zadrżał, widząc przed sobą krzepkiego młodziana o wzroście niespotykanym wśród zwykłych ludzi i barach potężnych jak u niedźwiedzia, choć w biodrach wąskiego, gibkiego niczym dziewczyna. Cała postać zgoła nie chłopięcą i nie ziemską mu się wydała, przywodziła na myśl raczej posągi, wykute w granicie ręką mocarną, nie ludzką, ogromne wizerunki najstarszych bogów, nieruchome a groźne, porażające tajemną siłą, zaklęte w kamieniu świadectwo boskiej wszechmocnej potęgi.

Tylko oczy wąskie, zmrużone, jaśniały w tej twarzy kamiennej, jak u posągu. Oczy niebieskie, świecące w mroku — dwa diamenty płonące błękitnym blaskiem nieba odbitego w bezkresie lodowych pustyń północy. Oczy przerażające — oczy głodnego tygrysa...

Jakiś ruch, zaledwie cień ruchu, czy może powiew lżejszy niż tchnienie dziecka, coś kazało Conanowi zerknąć przez ramię za siebie. Dojrzał przez ciemność drugą zakapturzoną postać, która czaiła się w mroku szykując zdradziecki atak — cios w plecy...? Ciało chłopaka, zaprawione w walkach, zareagowało szybciej niż myśl. W tej samej chwili, gdy drugi zbir od tyłu z całej siły zdzielił go pałką — Conan przysiadł na piętach, sprężył się, skoczył, i nim którykolwiek z napastników zdążył się zorientować, już prawe ramię Conana zbrojne w miecz wzniosło się w górę, biorąc zamach potężny. Ostrze, tnąc z przerażającą szybkością i siłą raz za razem powietrze, nie pozwoliłoby nikomu zbliżyć się do chłopaka.

Chyba że ów ktoś byłby tak głupi jak ci dwaj. Conan aż usta otworzył ze zdumienia, gdy bezrozumnie narażając swe życie rzucili się na niego w przegranej z góry walce.

Cokolwiek robiło ciało Conana — jego mózg zawsze rozumował logicznie i również teraz Conan, to płynąc nad ziemią, to przykucając, by w niemal tanecznym obrocie umknąć lub osiągnąć wroga, nie zatrzymał się, nie zwolnił nawet na mgnienie, zachował jasność umysłu.

„Dziwne”, pomyślał. „Pierwszy miał mnie na czubku miecza, i nic nie zrobił, póki drugi nie uderzył mnie pałką... Dlaczego czekał, dlaczego nie pchnął, żeby mnie zabić lub

przynajmniej zranić?” Nim jednak znalazł odpowiedź na to pytanie, zamachnął się mieczem.

Zakapturzony przeciwnik wolał odskoczyć, niż przyjąć takie cięcie. A Conan szalał i nie powstrzymując już dłużej oręża, natarł na wroga jak burza — i otworzył mu gardło ostrzem swego miecza. Napastnik zatoczył się w tył, upuszczając na ziemię zwój liny. Gdy tamten oparł się o mur, gdy życie wyciekało mu z szyi szkarłatnym strumieniem, Conan już stał

naprzeciw drugiego, pokazując zęby w dzikim uśmiechu, z mieczem gotowym do zadania pchnięcia.

Lecz napastnik ku zdumieniu chłopca runął niespodziewanie na kolana, upuszczając broń, i klęczał w brudzie zaułka, unosząc ramiona w geście poddania.

— Nie zabijaj mnie, Conanie — jęknął, podnosząc ręce jeszcze wyżej. — Proszę... Ja nie chciałem cię zabić! Patrz, jestem bezbronny, wszak nie tkniesz bezbronnego...?

— Może mógłbym — rzekł wolno Conan, starając się, by głos jego brzmiał twardo. —

Wstawaj.

Mężczyzna usłuchał natychmiast.

— Teraz odwróć się. Zrzuć kaptur i idź przede mną. Chciałbym przy świetle zobaczyć twoją śliczną buźkę.

Ale tamten stał jeszcze, widać niespieszno mu było odwrócić się plecami do uzbrojonego Conana, więc chłopak warknął:

— Rusz się, żywo.

— Ja... ja proszę...

— Ruszajże się, przekłety, nim stracę cierpliwość. Nie dźgnę cię. Gdybym naprawdę chciał cię zabić, zrobiłbym to, gdy stałeś twarzą do mnie. Z przyjemnością patrzyłbym w twoje oczy i na krew pieniącą się na twoich ustach jak zwymiotowane wino.

Zbir zachwiał się, słysząc te malownicze opowieści o swojej własnej śmierci i zmienił

zdanie. Odrzucił kaptur na plecy, Conan mógł wreszcie ujrzeć twarz wroga, zszarzałą z przerażenia, i bliźnę głęboką, jakby dzielącą brodę na pół. Z urwanym krótkim ni to kasznięciem, ni załkaniem, zbir odwrócił twarz, drżąc wciąż na całym ciele. Conan przykucnął, by wytrzeć głównię miecza o płaszcz trupa, i podniósł porzucony miecz tamtego.

Po czym popchnąwszy kuksańcem zbira przed sobą, ruszył długimi krokami w dół zaułka.

W Pustyni Shadizaru, gdzie nigdy nie zagłada Straż, ich pojawienie się miało skutek ten sam, co nagła wichura — przechodnie na widok tej pary znikali, niby zmieceni przez wiatr.

Bo też drepczący przodem, dygocący ze strachu człeczyna, i postępujący tuż za nim mąż, zbrojny we dwa potężne obnażone miecze, zdający się olbrzymem — to nie było towarzystwo pożądane przez zwykłych bywalców Pustyni.

Mężczyzna pierwszy wszedł w krąg niepewnej poświaty, rzucaanej przez lampkę oliwną nad wymalowanymi na czerwono drzwiami.

— Stań tam — powiedział Conan. — Drzwi domu rozpusty to miejsce w sam raz dla

takich jak ty. Jak się nazywasz?

— Yavuz — z największym trudem wydusił mężczyzna, popatrując spod oka na Conana w zamyśleniu oglądającego miecz, co tak niedawno czubkiem dotykał niebezpiecznie jego bluzy. — Nie mieliśmy zamiaru zabić cię, uwierz mi!

— Wiem — przyznał Conan. — Ale mnie znasz, wiedziałeś, jak wyglądam i jak się

nazywam. Czekaliście na mnie, a nie na pierwszego lepszego przechodnia. Zostaliście przez kogoś wysłani po mnie, a ten, który was wynajął, pożyczył ci ten miecz, by mnie przestraszyć. Chciał dostać mnie żywcem, czy tak? Miałem być ogłuszony przez twego kompana, dzielony pałą zdradziecko, gdyś ty mnie trzymał na czubku miecza... Miałem jak baran być związany powrozem, i dostarczony w wiadome wam miejsce.

Conan poszukał wzrokiem oczu Yavuza — te w paraliżującym śmiertelnym lęku stały się jeszcze większe, wytrzeszczone i mało przytomne.

— Na Bela... Skąd o tym wiesz, Conanie? Czyżbym został okpiony?

— Boś i został okpiony, ale jedynie w tym, iż kazano ci myśleć, że istota tak nędzna jak ty, podły najmito, jest zdolna pojmać mnie. Człowiek z Iranistanu wynajął cię, byś doprowadził

mnie w pętach do niego, by mógł mi zadać kilka pytań.

Pociemniałe w panicznej trwodze oczy najmity upewniły Conana, iż się nie mylił.

— W imię Mitry!!! Czyżby ten iranistański pies wysłał nas po czarnoksiężnika?!

— Bliskiś prawdy — sam Conan był bliski parsknięcia śmiechem, lecz uśmiechnął się tylko pod nosem. Podniósł ku światłu miecz Yavuza. — Ten miecz pochodzi z Gór Ilbarsu, gdzie zwą go pieszczotliwie „nożem”... Widziałem taki dawniej, u męża z Iranistanu. —

Zamyślił się na chwilę, lecz prędko wrócił do rzeczywistości. — Gadaj: dokąd mieliście mnie zawlec? Mów, bo...

— Nie zabijaj mnie!!!

— Nie widzę ku temu powodów, a ty znasz jakieś?

— Nie! Żadnych, Conanie!

— Zdejmij lewy kamasz.

— Mój... lewy kamasz?

— Tak, żywo. Nie mam całej nocy, żeby tu sterczeć nad tobą. Zresztą, twój pracodawca też może się zniescierpliwzić, nim do niego dotrzemy.

— Ach, chcesz, bym do niego cię doprowadził!

Yavuz, uznawszy szybko, że jego życie potrwa jeszcze choć tyle, ile czasu potrzeba na dojście do Iranistańczyka, który ich wynajął, uznał też, że to dość, by znaleźć okazję do ucieczki. Z radością, w pośpiechu rozsuptał sznurowadło, już marząc nieledwie na głos, jak to pokaże temu wielkoludowi

sprawność swych zwinnych nóg, o, pokaże mu, jak się biega!

Conan stał nad nim, zgadując doskonale nadzieje Yavuz. Uśmiechał się pobłaźliwie...

— Pod drzwi — rozkazał Conan, chowając do pochwy swój miecz i przekładając do prawej ręki ilbarski „nóż” — miecz tak ogromny, że spokojnie można nim było ogłuszyć wołu.

Yavuz usłuchał rozkazu, zaś Conan przykucnął, nie spuszczając jednak z Yavuz groźnego spojrzenia, i jak ślepiec macał przed sobą ubitą ziemią ulicy, póki palce nie natrafiły na kawałek kości. Nie ludzkiej, bynajmniej — Conan ucieszył się niezmiernie znalazłszy kość kurczaka, podniósł ją i ze złośliwym uśmiechem wrzucił do kamasza Yavuz. Wstał, kopnięciem zwrócił but właścicielowi.

— Załóż go. I zawiąż rzemienie.

Rozdwojona broda Yavuz zadrżała, trząśnięty jak przestraszona kobieta, jak dziecko!

— Czczyy... tto czczary...? — zęby mu szczękały.

Conan z trudem hamował śmiech.

— Czary. Gdybyś tylko spróbował uciekać — ta kość zabije cię natychmiast.

Yavuz dygocąc naciągnął but, drżącymi rękami zawiązał sznurówki z surowej skóry.

Kiedy się wyprostował i postawił ciężar ciała na lewej stopie, aż skrzywił się z bólu. I zrozumiał: o bieganiu nie było co marzyć.

— Widzisz? — Conan starał się mówić spokojnie. — Jest jak mówiłem, spróbuj uciekać, a kość sprawi, że nie zdołasz zrobić tego szybko i będziesz kuśtykał, i ja cię wtedy zabiję. Ot, czary — rzucił z gorzką ironią. — A teraz daj mi swój płaszcz, bym okrywszy się nim, uczynił niewidzialnym mój miecz... na którego czubku będziesz ty. I masz iść obok mnie, nie jak jeniec, Yavuzie. I nie radzę ci zostawać w tyle.

— K—kiedy moja bluza jest rozdarta na... plecach!

Conan w uśmiechu błysnął zębami, lecz niebieskie oczy pozostały zimne jak niebieski lód.

— Świetnie. Noc nie jest zimna, a wygląda, że tobie nadzwyczaj gorąco w tym płaszczu, pocisz się przecie, czyż nie? Dawaj!

Conan wytrzepał porządnie długi brunatny płaszcz w nadziei, że pozbędzie się choć nadmiaru jego sześcioramiennych mieszkańców. Narzucił okrycie na ramiona, ale że był o głowę wyższy niż Yavuz — płaszcz jakby się skurczył, sięgał mu ledwie do kolan, a materiał

wybrzuszał się dziwnie przy prawym boku, dokładnie tam, gdzie Conan zaciskał dłoń na rękojeści broni.

— Idziemy w stronę bazaru — chłopak poznał znajome zaułki.

— Tak, panie — potwierdził Yavuz. — Ten iranistański pies stoi w dobrej gospodzie, poza Pustynią.

— Nie nazywaj go psem, psie, wszak pracowałeś dla niego! — wściekle warknął Conan.

— Stój no, niech ja sobie obejrzę twój portfel.

Yavuz odruchowo ścisnął w garści niewielką sakiewkę, zawieszoną u pasa na podwójnym rzemieniu. Yavuz–złodziej bał się złodziei... Ale potężna dłoń Conana nagle zamknęła się na jego ramieniu i dotąd wzmacniała chwyt, aż palce Yavuzza rozwarły się miękko, zbieleły i bez siły. Pokornie rozluźniwszy wiązanie sakiewki, zbir podał ją swemu dręczycielowi. Sam masując zbolałą dłoń, z nabożeństwem i lękiem popatrywał na wielkie jak bochny dłonie Conana, myśląc, jak łatwo każdą z nich ten olbrzym mógłby zatłuc wołu, ba, czemu zatłuc?

— on udusiłby zwierza, jakby to było kocię...

— Na Mitrę... — wymamrotał przerażony Yavuz.

— Nie. Na Croma — poprawił go mimowiednie Conan, zajęty grzebaniem w sakiewce.

— Co?

— Na Croma. Ja klnę się na Croma.

— Niech będzie na Croma — Yavuz kiwnął głową. Bogowie w Shadizarze byli liczni, nawet dziwacznicy i sprośni, a ich obrządków jeszcze gorsze. Yavuzowi nic nie mówiły imiona wielu z nich, nie wiedział również, kto to jest Crom, ale skoro Conan... Dla Conana gotów był od dziś kląć się na Croma.

— Śmiecie — mruzczał Conan, przepatrując zawartość sakiewki. — Śmiecie, i, hmm...

ładny pierścień. Ukradzony pewno przed chwilą, jeszcześ nie miał czasu sprzedać go paserowi, co, moja ptaszyno? I jakieś miedziaki... A to co? Dwie sztuki złota u takiego jak ty? Idę o zakład, że jeszcze ciepłe od ręki Iranistańczyka! Ha, wkrótce mu je zwrócę...

Przecież ty nie zarobiłeś na nie. Masz, nie chcę reszty tego śmiecia.

— Śmiecia?! Panie!

— A śmiecia. Szmaragd w tym mosiężnym pierścieniu jest tak mały, że nie przeżyjesz za niego dwóch dni.

— Mosiądz! — pod Yavuzem ugięły się nogi.

— Mosiądz, mosiądz... Weź go do ręki i pieść, a zobaczysz, jak prędko twoje palce będą zielone. Daleko jeszcze?

Yavuz przywiązał sakiewkę do pasa, wcale nie chciał „pieścić” pierścienia.

— Nie, już niedaleko — odrzekł z pośpiechem. — Ty, który zwracasz ubogiemu

miedziaki, i zwracasz pierścień, choć wiesz, że jest kradziony, o, Conanie... Dobrze jest chodzić z człowiekiem twej postury. Nikt nie zaczepi, wszyscy ustępują z drogi...

Yavuz zamyślił się, a Conan wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Yavuz tymczasem, zebrawszy się na odwagę, zapytał:

— Czy przypadkiem nie potrzeba ci, panie, pomocnika? O szybkich palcach, cichego i dyskretnego?

— Nie. A poza tym — drwił Conan — jesteś kulawy.

— Wiesz, panie, że idę tak z powodu kości, którą ty wsadziłeś do mego buta! Jestem zdrow jak sztuka turańskiego złota!

— Ale teraz jesteśmy w Zamorze, i kuśtykasz żałośnie. Idźże żywiej, Yavuzie, chcę gadać z Iranistańczykiem, a nie z jakąś kulawą rozciętą gębą z rynsztoków Shadizaru!

— Ale mnie nie zabijesz, prawda, Conanie?

— Być może nie. Ale robię się niecierpliwy... — Conan groźnie zawiesił głos, i Yavuz przyspieszył nie zważając na ból, jaki sprawiała mu ostra kość w bucie.

Skręcili w następną ulicę za wielkim bazarem, która znaczyła granicę między Pustynią a

„lepszym” Shadizarem. W dole ulicy dostrzegli mundury — wolnym krokiem zbliżało się ku nim dwóch z miejskiej Straży. W innym przypadku Conan rozprawiłby się z nimi chętnie, bowiem dziwnie nie lubił umundurowanych ludzi, tym razem jednak poszedł na ustępstwo.

Zaciskając zęby usunął się z drogi, by pozwolić im przejść samym środkiem ulicy. Strażnicy minęli ich, nie zatrzymując, i poszli dalej. Conan zazgrzytał zębami, wtedy jednak Yavuz trącił go delikatnie w ramię, dając znak, iż właśnie dotarli do celu swej drogi, Conan więc zapomniawszy od razu o Strażnikach, rozejrzał się bystro.

Nad szerokimi podwójnymi drzwiami skrzypiąc na zardzewiałych łańcuchach kołysał się wielki szyld. Widniała na nim głowa czerwonego lwa.

— Tutaj — rzekł Yavuz z ciężkim westchnieniem.

— Zerknij do środka. Czy jest tam nasz człowiek?

Yavuz zajrzał przez uchylone drzwi, i cofnął się czym prędzej, nadeptując boleśnie na przekłętą kość.

— Jest. Siedzi z tyłu, na lewo od beczki, odziany w zieloną kaffiję.

Conan przytrzymał Yavuza za ramię, by ten nie czmychnął spuszczonego z oka na chwilę, i sam zajrzał do wnętrza oberży.

— Uhm — cofnął się i odwrócił z powrotem do Yavuza. — Słuchaj, twój płaszcz będzie tu jutro wisiał na kołku tuż za drzwiami, będziesz musiał tylko powiedzieć oberżyscie swoje imię.

— Ale...

— Nie jest zimno, mówiłem. A ja go potrzebuję, by osłonił mój miecz.

— Na Mitrę! — zawołał Yavuz, i poprawił się szybko: — Na Croma! Chyba nie zamierzasz tam wejść tak po prostu, i zabić go?!

— Czy zrobię to, czy nie, nie twoja rzecz, mój malutki Yavuzie, bardzo malutki Yavuzie.

Jesteś wolny, i żywy — i zmykaj. A zagrzeb się dość głęboko, bym cię nigdy więcej nie spotkał!

Yavuz nie tracił czasu — kuśtykając popędził przed siebie. Conan otworzył drzwi i śmiało wkroczył do Oberży Pod Czerwonym Lwem.

KHASSEK Z IRANISTANU

W Oberży Pod Czerwonym Lwem było niewielu gości.

Ten człowiek siedział w kącie przestronnej izby, wygodnie rozparty za stołem. Twarz przeciętnej urody ożywiał jedynie blask czarnych oczu. Nosił wschodnie nakrycie głowy, zielone płótno przesłaniało czoło i miękko spływało na plecy i ramiona, przytrzymywane na skroniach żółto—czarną przepaską. Miał też żółtą koszulę i długie luźne spodnie, czerwone jak szarfa opasująca stan. Długa twarz, wydatny nos i twardy zarys mocnych szczęk, szeroko rozstawione oczy. I jeszcze wąs i krótka czarna broda w szpic...

Cymmerianin szedł prosto do stołu mężczyzny. Jego ręce wysunęły się spod ciemnego płaszcza i położyły przed siedzącym dwie złote monety, a potem długi na trzy stopy „nóż” z Gór Ilbarsu. W ciszy głucho zadźwięczał głos Conana:

— To złoto zabrałem mężczyźnie z brodą przedzieloną blizną. Dwie sztuki złota to niewielka zapłata dla człowieka, który miał mnie pojmać i związanego jak cielę dowlec do ciebie.

Lewa dłoń Iranistańczyka nadal obejmowała gliniany kubek, palce prawej spoczywały na krawędzi stołu — i tylko bystry wzrok błyskawicznie prześliznął się po postaci przybysza. I dojrzał to, co musiało się rzucić w oczy każdemu: ten młodzik był niebezpieczny.

Niezwyczajnie wysoki, masywny, z szopą czarnych włosów przyciętych równo nad

brwiami. U jego boku, ze starego, zniszczonego pasa, nisko opuszczonego na smukłe biodra, zwisały sztylet i miecz — widać, że nie od parady. Ubrany był w krótką bluzę z porządnego zielonego płótna, nałożoną na gołe ciało, głębokie rozcięcie ukazywało potężną pierś, gdzie ciemniał uczepiony rzemyka plemienny amulet. Jakże ubogi to klejnot! — wydłużona kropła rdzawej gliny z kawałkiem żółtego szkła... Być może miał coś wspólnego z religią, jakąkolwiek była. Albo — strzegł właściciela przed chorobą, złym okiem? Jedyłą jednak prawdziwie szlachetną ozdobą młodzieńca był śliczny złoty pierścionek ze szmaragdem na palcu lewej ręki — zbyt mały, by być męskim pierścieniem.

Z postawy chłopca emanowała siła. Stał jak sprężony do skoku lew.

— Kiedyś znałem męża z Iranistanu — podjął półgłosem. Wpatrzony w twarz mężczyzny mówił dalej powoli: — Spotkaliśmy się w domu... pewnego maga. I choć spotkaliśmy się tam... przypadkiem — razem pobiliśmy strażników. — Cymmerianin zamilkł na moment. —

Lecz później, nagle, z drzwi... rzuciły się na niego dwa węże. Ukąsiły go. Umarł. Skonał, a ja nie mogłem mu pomóc.

Zdjął płaszcz, nie spuszczaając wzroku z tamtego.

Iranistańczyk trwał nieruchomo. Przed chwilą, zaledwie Conan zaczął mówić, pojął, że chłopak wie, kim on jest. Rozpoznał także płaszcz Yavuza, choć nie pokazał tego po sobie.

Teraz jednak zawahał się. Wprawdzie obaj wiedzieli, kim jest ten drugi i dlaczego obaj są tu, ale... Postanowił zachować ostrożność.

— Czy ów mąż... nazywał się Yusuphar?

— A więc naprawdę chcesz rozmawiać? Ze mną — nie związanym?

— Być może.

— Zatem poczekaj, oddam płaszcz oberżyscie. Nie jest mój, należy do Yavuza... Którego nie zabiłem.

Śniada twarz Iranistańczyka poszarzała, gdy to usłyszał.

— Ten drugi...?

Conan zwinął płaszcz.

— Cóż, ten... Zamierzał ciąć mnie z tyłu. Zrobiłem unik i uderzyłem. On nie zrobił uniku.

Gdybym wiedział, że chce mnie jedynie ogłuszyć, może nie otworzyłbym mu gardła mym mieczem.

Iranistańczyk, jakby znużony, pokiwał głową.

— Głęboko?

— Nie żyje — z żalem wyjaśnił Conan i ruszył między stołami, dojrzawszy oberżystę.

— Pożyczyłem ten płaszcz dziś wieczorem — rzekł stając przed wołookim gospodarzem

— od mego dobrego przyjaciela, zwie się on Yavuz i ma bliźnię na brodzie, o, taką — tu Conan dotknął wygolonej twarzy. — Obiecałem mu, że płaszcz będzie czekał na niego, zawieszony na kołku najbliższym drzwi.

— Zbyt łatwo mógłby stąd zniknąć. Znam Yavuza, więc daj mi płaszcz, oddam mu go, gdy rano otworzę.

— Zgoda. Wierz mi, nie darowałbym sobie, gdyby okrycie to znikło. Raz ktoś próbował

okpić mego przyjaciela Yavuza, i odtąd, niestety, zwany jest: „Trzy Palce”... — Conan złowieszczo zawiesił głos, pilnie bacząc, czy dość duże wrażenie czynią te słowa na oberżyscie. Zadowolony z efektu oznajmił w końcu: — Dobrze. Teraz przyłączę się do Iranistańczyka, a ty nam wina przynieś, najlepszego. Złoto leży na stole.

Oberżyscie wylupiaste oko żywiej zabłysło, gdy spostrzegł blask złotych monet. Ale prędko spochmurniał.

— Lecz ten miecz, panie... Będzie trzeba zdjąć go z widoku. A jeszcze lepiej, jeśli i swój dasz mi na przechowanie, do czasu, kiedy zechcesz opuścić już moją gospodę.

Conan potrząsnął głową, aż czarna grzywa zafalowała wzburzona nad brwiami.

— O, nie. Jestem strażnikiem tego iranistańskiego bogacza, sam schowam drugi miecz, a swoją broń chcę zatrzymać przy boku.

Nie dając Wolookiemu szans na odpowiedź, szybko powrócił do stołu, i jeszcze stojąc rzekł krótko do człowieka z Iranistanu:

— Oprzyj ten przerośnięty nóż o ścianę, po swojej lewej stronie.

Iranistańczyk skrzywił się jak po cytrynie, zmiarkowawszy, że młodzik łatwo poznał jego leworęczność, i że wiedział, iż mańkut nie dobędzie zręcznie broni postawionej w ten sposób.

Lecz było coś takiego w głosie Conana, co kazało mężczyźnie usłuchać chłopca.

— Nazywał się Yusuphar, ów mąż z Iranistanu, którego spotkałeś... przypadkowo... w domu pewnego maga?

— Obaj wiemy, że nie — zaśmiał się Conan. — Imię jego było: Ajhendar. Powiedział mi, że jest tu jeszcze jeden taki z jego kraju, szpieguje go... Słuchaj no, wynająłeś dwóch zbirów, jeden już nie żyje, a drugi nadal umyka. Ty zaś masz tu swój miecz, swoje złoto. I masz mnie.

Czego chcesz?

Lewa ręka człowieka zniknęła nagle ze stołu.

— Zostaw sztylet w spokoju — poradził Conan. — Dobędę swego, nim ty zdążysz zacisnąć palce na rękojeści.

Młoda kobieta kołysząc biodrami zbliżyła się do ich stołu. Niosła dzban pełen przedniego wina. Inni mężczyźni oglądali się za nią, wiotką i barwną jak motyl, strojną w szkarłatną suknię wyszywaną zieloną nicią. Ale ci dwaj przy stole nawet nie spojrzeli. Spostrzegłszy, jak bardzo zajęci są sobą i ślepi na jej wdzięki, odeszła z odętymi pogardliwie ustami. Lecz oni również i tego nie widzieli.

— Ty jesteś Conan, Cymmerianin.

— Czyżbyś w to wątpił przed chwilą?... Ty jesteś z Iranistanu. To dość daleko stąd.

Śledziłeś mnie od Arenjun, nie dziw, że rad bym poznać twoje imię.

— Wy, Cymmerianie, jesteście nazywani barbarzyńcami, czemu więc pytasz o me imię, miast z mieczem w rękę zaczekać na mnie przed drzwiami?

— My, Cymmerianie, jesteśmy zwani także Ciekawskimi, wiemy też, jak dawać upust naszym kaprysom... Czy wiesz jednak, iż gdybyśmy w Cymmerii słyszeli kiedy o Iranistanie, dawno nazwalibyśmy was barbarzyńcami, z tego tylko powodu, że nie jesteście

Cymmerianami?

Mężczyzna z uśmiechem odchylił się w tył, mierząc młokosa pełnym uznania rozbawionym wzrokiem.

— Zaspokoję twoją ciekawość: nazywam się Khassek. A teraz powiedz mi —

Iranistańczyk zmienił ton — czy po prawdzie Ajhindar tak umarł, jak to mówiłeś?

— Tak — z mocą potwierdził Conan, patrząc prosto w lśniące oczy Khasseka.

— Wiesz, niech mnie Crom weźmie, jeśli ci nie wierzę!

— Crom? Ty klniesz się na ponurego Pana Gór?

— No cóż... Sporo wiem o Cymmerii — rzekł Khassek skromnie.

— I o mnie.

— Widzisz, Conanie, mógłbym chyba ubić z tobą interes. Ty i Ajhindar, obaj, szukaliście pewnej... szczególnej rzeczy. Wydaje mi się, że ty ją już masz.

Conan, który dotąd z zaciekawieniem przyglądał się tamtemu, teraz zająwszy się kubkiem siorbnął długi łyk wina.

— Khasseku, nie wiem, o czym ty mówisz, lecz wiem, że ty płacisz za wino... Czy ta rzecz, której szukacie, jest dużo warta tam, w Iranistanie?

Khassek odkaszlnął.

— Wiesz, że tak.

— Dlaczego?

Jacyś ludzie po drugiej stronie izby wieczerzający przy długim stole narobili hałasu, ich śmiech niósł się przez chwilę stłumionym echem pod niskim belkowanym stropem. Khassek wpatrywał się w Conana z bliska, wychylony do przodu, siedząc z łokciami opartymi o stół.

— Myślę, że powinienem ci powiedzieć.

Lecz nie powiedział nic. Conan uśmiechnął się leciutko i z niewinną słodyczą zapytał:

— Czy nazwa tej rzeczy brzmi: szlachetny kamyk?

Khassek wziął głębszy oddech.

— Kilka. Tworzą one klejnot, amulet daleko cenniejszy od twego pierścienia, a nawet, nie uchybiając ci — od tego szkiełka, które wraz z bryłką gliny samnosisz na szyi. Gdybyś w spragnione dłonie mego khana włożył ów amulet, Oko Erlika... twoją szyję miast gliny zdobiłoby złoto sadzone rubinami. Chyba — dodał uśmiechając się znowu — że wolisz szmaragdy.

Conan zachłysnął się winem.

— Oko boga? — wykrztusił drżącym głosem.

Khassek wzruszył ramionami.

— Nie próbuj mnie zwodzić, Conanie, wszak wiem, że nie sądzisz, by ktoś wyłupił oczy bogu. Wiesz jak i ja, że to jest tylko imię amuletu.

— Dwóch kamyków, czy może trzech... — Conan też się uśmiechał, jednak trudno było zgadnąć, co właściwie ten uśmiech oznacza, więc Khassek już tylko skinął głową. Chłopak bawił się pustym kubkiem, kreśląc nim na powierzchni stołu wymyślne figury.

— Doprawdy, cenny amulet — rzekł jakby do siebie. — I ty mówisz, Khasseku — twój khan dałby zań inny i równie cenny prezent?

— Zapewniam cię. Słuchaj Conanie, Cymmerianinie: ten amulet ma wielką wartość dla naszego khana. Zamboula to kraj leżący między Iranistanem i Shadizarem. Czy byłeś tam?

— Ach, jestem tylko młodym góralem...

— ... który nosi bluzę utkaną w Khauranie.

— Jesteś bystrym człowiekiem, Khasseku, ale nie wiesz wszystkiego. Nie, ja naprawdę nie byłem w Zambouli, a przed miesiącem nawet nie słyszałem o Iranistanie. Mówisz, że leży on za Zamboulą? To bardzo daleko.

— Conanie, coś mi się zdaje, że i o tym od dawna wiedziałeś. Lecz ja powiem ci więcej.

Iranistan ma pokojowe zamiary, nie chce też krzywdzić innych władców, zwłaszcza khana Zambouli, który jest satrapą potężnego cesarstwa Turanu. Jednakże mój khan, raz wszedłszy w posiadanie amuletu, mógłby skuteczniej układać się z khanem Zambouli o bardziej dla nas korzystne możliwości handlu. To właśnie jest naszym celem.

— Może... — Conan nie chciał się sprzeczać. — Więc ty myślałeś, że amulet jest u maga, Ajhindar tam go szukał. Lecz powiedz mi, Khasseku — zagadnął nagle — cóż, jeśli amulet potrzebny jest

twemu panu, by mógł na odległość torturować, lub nawet zabić, khana Zambouli, który jest zycznym człowiekiem...?

— Uff. Zapewniam cię, że khan Zambouli nie jest zyczny, lecz gdyby nawet tak było, jak chcesz mi wmówić, to cóż nas to może obchodzić? Pomyśl: w Iranistanie czeka na ciebie i na mnie wspaniała nagroda, jeżeli tylko uszczęśliwimy władcę tym Okiem Erlika.

— Ale to dwa miesiące drogi! — Conan wynalazł sobie nowy powód do utyskiwań.

Khassek nie mógł połapać się, czy Conan chce tylko zyskać na czasie i wybadać go, czy też nie umie się zdecydować. Tracąc cierpliwość burknął drwiąco:

— Nie wiedziałem, że pilne sprawy zatrzymują cię w Shadizarze, Conanie.

— Masz rację — Conan zgodził się chętnie. — Nie mam interesów w Shadizarze, a

zdrowie khana Zambouli obchodzi mnie tyleż co handlowe układy Iranistanu. — Lecz nagle zmartwił się serdecznie: — Zatem bóg Erlik stracił swoje oczy?... Cóż za bolesna strata.

Nieledwie klnąc na głos, Khassek zgrzytnął zębami. Pohamował się jednak i tłumaczył

rzecz całą od nowa, niczym niezbyt pojętnemu dziecku.

— Jeżeli ty je masz lub wiesz, gdzie można je znaleźć, pomyśl, Conanie, jaki korzystny to zbieg okoliczności. Przecież możemy wrócić z Okiem zaraz do Iranistanu, i obaj będziemy nagrodzeni!

— Ale to tak daleko, ten Iranistan... — marudził Conan, niby błędząc sennym wzrokiem po izbie, lecz w rzeczywistości nie przestając w myśli rozważać słów Khasseka.

— Co cię tu trzyma, na Croma?! Wiem, że w Arenjun nadal jesteś poszukiwany.

— Jechać taki szmat drogi — Conan obruszył się nagle — z człowiekiem, który wynajął

zbirów, aby ogłuszyć mnie i zwięzać, i może nawet torturować! — w głosie chłopaka zabrzmiało święte oburzenie. — Z pewnością kazałbyś mnie torturować, żeby dowiedzieć się wszystkiego o tym Oku! Oko! — prychnął z pogardą.

— Cóż, wybrałem niewłaściwe sposoby — przyznał Khassek ze skrucą. — Myślałem, że ty zabiłeś Ajhindara.

— A teraz tak nie myślisz? — zdziwił się Conan, po dziecinnemu szeroko otwierając oczy.

— Przez skórę czuję, żeś powiedział mi prawdę — wycedził Khassek z jadowitym uśmiechem.

— A gdybyś jednak miał wątpliwości? Lub gdybyś na przykład upewnił się, że nie wiem nic o

rzeczy, której szukasz? Przypuszczam, że zabiłbyś mnie bez chwili wahania.

— Temu muszę zaprzeczyć! Gdybym dowiedział się, gdzie ukryłeś Oko Erlika, zabrałbym je i w te pędy odjechał. Zabijanie... — skrzywił się niechętnie — Żaden Iranistańczyk nie lubi zabijać. Jeśli nie musi. — Po chwili milczenia dodał poważnym tonem: — Pójdź ze mną, Conanie, a przekonasz się, że jestem stały tak w słowach, jak w moich uczuciach.

Przy stole zapanowało ciężkie milczenie. Chłopak zdawał się dumać nad kształtem swych paznokci, w rzeczywistości zaś rozmyślał o kłopotach, które do tej pory już zdążył sprawić mu amulet i jakie jeszcze sprawić może. No i jakoś nie potrafił tak do końca zaufać Khassekowi...

— Ten amulet dla mego khana jest ważniejszy niż moje życie, Conanie — dalej drażył

Iranistańczyk, patrząc prosto w niewinny błękit oczu chłopca, by podkreślić szczerą swoich zapewnień. — Gdybym wiedział, że zawieszysz mojemu władcy Oko Erlika...

Zamilkł na chwilę i po namyśle dodał:

— Lecz jeżeli odmówisz, będę zmuszony z tobą walczyć.

— Ach, w takim razie nie zyskasz nic, bo ja zabiję cię tutaj, teraz.

— O, nie byłoby to zbyt rozsądne... Ty, siedząc tyłem do wejścia, nie widzisz tego, co ujrzały już moje oczy: przed chwilą weszło do oberży czterech ze Straży Miejskiej. Nie wiem, czy nie rozumniej byłoby szybko opuścić to miejsce.

Conan wzruszył ramionami. Jedynie ludzie ze Straży Arenjun mieli powody, by chcieć dostać go w ręce, i to nieważne — żywego czy martwego. Tu, w Shadizarze, cóż, pewnie byłoby lepiej, gdyby nie opuszczał bezpiecznych zaułków Pustyni, tak mu zawsze życzliwej jak i Mordownia w Arenjun, ale szczególnych powodów do lęku nie widział, pijąc wino w Oberży Pod Czerwonym Lwem. Toteż z najszczerzym zdumieniem zapytał:

— A to dlaczego? — i dodał spokojnie: — To ty jesteś obcy. Ja nie muszę bać się miejscowych Strażników.

— Jest z nimi królewski Dragoner i wygląda na to, że kogoś szukają.

— Z pewnością ja nie miałem żadnego zatargu z królem Zamory.

— Hmmm. Zapewne. Chyba że — Khassek zniżył głos — dostał skargę z Arenjun.

Słyszałem, ponoć poraniłeś tam dwóch i znieważyłś trzeciego, wyższego rangą... Może gubernator Arenjun poskarżył się królowi? Tych pięciu właśnie tu się zbliża.

— Marnych masz donosicieli — Conan też mówił coraz ciszej. — W Arenjun jeszcze jeden ze Straży został zabity... Je jedynie poturbowałem cokolwiek Strażników, zaś Ajhindar dokończył swego dzieła.

— Jeden z tych tutaj ma kuszę. Hmm, Conanie... może być prawdą, że ja jestem obcy, co widać — kpił szeptem, prawie nie poruszając ustami Khassek — a ty, wysoki na dziewięć stóp, z tymi błękitnuszami oczkami, wyglądasz jak rodowity Zamorańczyk. Ale ta kusza jest jednak wymierzona w twoje plecy.

— Cholera.

Khassek wytrzeszczył oczy.

— Ajhindar też tak mówił!

— A co innego tu można powiedzieć? Jak głupiec byłem pewny siebie, a zapomniałem, że tu, w Zamorze, mają przysłowie „Gdy wchodzisz wejściem, sprawdź, gdzie jest wyjście”, i że zasada „Nigdy nie siadaj plecami do drzwi” w Zamorze obowiązuje równie dobrze jak gdzie indziej. Co tam za mną za nagłe zamieszanie?

— Większość gości opuszcza spiesznie izbę, zaś tamci wolno idą tutaj, z Dragonerem na czele. Nie ty jeden, Conanie, nie korzystasz z mądrości zawartej w przysłowiacz, w Iranistanie mówią bowiem „Gdziekolwiek byś wchodził, upewnij się pierwej, że są tam drugie drzwi”, a ja...

— Cóż, obaj... — Conan powoli zaczął podnosić się z ławy.

— Siądź grzecznie z powrotem, Cymmerianinie. Cokolwiek byś zamyślił — nie umkniesz przed strzałą wycelowaną w środek twoich pleców. Czekają także na ciebie trzy obnażone miecze.

Mówiąc to, Dragoner okrążył stół i z drwiączym uśmieszkiem zająrzył w twarz Conanowi.

Conan odwzajemnił spojrzenie.

Choć niski i chuderlawy był ten człeczyna, znać po nim było zamiłowanie do zbytku i dworskiego życia, do hulank i jada psującego żołądek. Rzadkie włosy błyszczące nadmiarem pomady ufryzowano mu w misterne loczki, modnie przycięty wąsik odsłaniał

przy uśmiechu żółte światło złota, którego miał pełne usta. Conan wzdrygnął się stwierdziwszy, że ów człowiek będący ledwie przed trzydziestką, już musiał korzystać z pomocy dentysty. Jedwabne szatki zdobił złoty wisior z herbem króla Zamory.

— Conanie z Cymmerii, goszczący obecnie w Arenjun, powiadamiam cię oficjalnie, że od tej chwili jesteś więźniem króla. Czy pójdiesz z nami dobrowolnie?

Chłopiec jednak spokojnie lustrował go dalej: błękitne spodnie, robione na miarę i na błysk wypolerowane buty, rzetelnej roboty ozdobny pas, u którego z pochw sterczały mieniąc się nadmiarem szlachetnych kamieni dwie rękojeści — sztyletu i długiego miecza z głowicą w kształcie lwiej głowy, z pewnością srebrnej. Conan przeniósł wzrok na Khasseka, ten wytrzeszczywszy oczy na Conana, trwał długą chwilę w niemym oburzeniu. Conan ostrożnie rozejrzył się po izbie — zostali w niej tylko ze Strażnikami... Trzy obnażone miecze, no i ten kusznik, tam, przy drzwiach, z grotem paskudnej, krótkiej strzały wycelowanym dokładnie w Conana. Chłopak niemal podskoczył, gdy

Khassek nagle odzyskał głos.

— Chodzi ci o to... To znaczy, że ten człowiek jest przestępcą?! — pisnął

Iranistańczyk, zwracając się do Dragonera. — Oooch...

Królewski Dragoner zmierzył wzrokiem Khasseka i pogardliwie uniósł brwi.

— Nie jesteś jego przyjacielem?

— Aach, oczywiście, że nie!!! Ja jestem tutaj dla prowadzenia interesów

królowej Koth — wyjaśnił, krygując się i mizdrząc.

— Koth? Wyglądasz na przybysza ze wschodu, nie z zachodu — Dragoner zainteresował się nagle Khassekiem i bacznie mu się przypatrzył. Z piersi Khasseka wyrwało się ciężkie westchnienie.

— Cóż, moja matka była niewolnicą z Aghrapuru.

— Niewolnicą? Do tego z Aghrapuru? — fircykowi sama ta myśl wydawała się niedorzeczna.

— Tak, panie... — znowu ze smutkiem westchnął Khassek Iranistańczyk. — Zastała

porwana w młodości przez domokrażcę z Koth, sprzedającego oręż. Zabrał ją z sobą, a bogowie chcieli, by w drodze odkrył, że jest w niej zakochany. Urodziłem się, a on mnie wykształcił, i teraz jestem tutaj, z woli samej królowej... — zawiesił głos, by ostatnim słowem dodać znaczenia. Conan musiał przyznać, że słuchał opowieści Khasseka ze sporym zaciekawieniem. — Lecz wracając do tego człowieka: zdawał się czysty, gdy tak

bezczelnie wszedł do dobrej gospody — bo to dobra gospoda, jak wszystko w Shadizarze, nieprawdaż, panie?

Twarz Dragonera pojaśniała, gdy usłyszał pochlebstwo.

— Bywają lepsze w Shadizarze, ale i ta nie jest zła. Agent królowej, powiadasz...?

— Uff, panie mój, Ferhadzie... — wtrącił jeden ze Strażników.

— Milcz. Nie przeszkadzaj w spełnieniu obowiązku człowiekowi króla. A ty — zwrócił się do Khasseka — mów dalej.

Strażnik umilkł natychmiast, Khassek zaś przewrócił oczami.

— On rzucił na stół te złote monety, by pokazać, że nie jest ubogi, i zaproponował mi pierścień, który nosi na palcu, mówiąc, że należał dawniej do jego matki, dodał też ten dziwaczny miecz — a w zamian prosił o dwie sztuki złota, na koszt drogi do Nemedii...

— Do Nemedii, powiadasz... — Jak było do przewidzenia, panem Ferhadem wstrząsnęły te słowa. Conan dalej słuchał w milczeniu, ciekaw, dokąd zawiedzie ich tak kunsztowna opowieść Khasseka.

— Tak, tak powiedział! Teraz zaś okazuje się przestępcą... Czy to możliwe, by zamierzał mnie okraść? Mnie — osobistego dostawcę klejnotów i pachnideł królowej???

— Całkiem możliwe. To jest desperat, dla niego nie istnieje prawo. Okraść czy zabić —

jemu to jedno. Będzie odpowiadać za wielkie sprawy w Arenjun, a ośmielił się przybyć tu, do stolicy, i tutaj szukać schronienia! — Ferhad zwrócił swe lwie spojrzenie na Conana. Stał nad siedzącym chłopcem dumnie wyprostowany, a mając przed sobą tak znaczącą publiczność w osobie dostawcy klejnotów i pachnideł królowej Koth, jeszcze bardziej niż zwykle wypinał

brzuch i prężył pierś. Jego głos też brzmiał jeszcze bardziej władczo, gdy zwrócił się do Conana: — Wstań, barbarzyńco! Ale powoli — dodał szybko na wszelki wypadek. —

Zapewnimy ci nocleg godziwy... choć obawiam się, że nie tak dobry jak w tej gospodzie, skoro byłeś tak nierozważny, by obrażać tu próbą oszustwa znamienitego cudzoziemskiego gościa. Wstań, mówię! Sprzeciwianie się rozkazowi Straży jest obrazą majestatu króla, czyżbyś o tym nie wiedział, barbarzyńco?!

Barbarzyńca patrzył gdzieś hen, przed siebie, nie wiadomo co widząc w tej dali, a jego błękitne oczy zdawały się jaśnieć marzycielskim uśmiechem. Khassek tymczasem zakwilił

rozdrażniony:

— Tak! I zabierzcie ten jego okropny miecz, toż to iście zbójowe narzędzie!!! — I Khassek, wykonując niemal taneczny półobrót, podniósł ogromny ilbarsjański „nóż”. Nim ktokolwiek zdążył się spostrzec — Iranistańczyk stał za plecami Ferhada, objąwszy go przez pierś smagłym muskularnym ramieniem, i przyłożył do gardła Dragonera zimne stalowe ostrze.

— Nie ruszać się! Stój, panie Ferhadzie, i daj rozkaz, by wszystkie miecze i kusza zostały złożone na stole — już!

— Cco... Nnie mmożesz...! Puść mnie!... Au!!! Uważaj z tym żelazem, człowieku!

— Jest ostry, zapewniam cię, codziennie się nim golę, a skórę mam nad wyraz delikatną...

Rozkaz, szybciej, Ferhadzie!

Więc Dragoner wydał rozkaz Strażnikom. Khassek uprzejmie poradził kusznikowi, by ten swą strzałę wypuścił w ścianę — kusznik słysząc rozkaz potwierdzony pospiesznie przez pana Ferhada, zwolnił

cięciwę, a strzała przeszła powietrze z cichutkim bzyknięciem.

Utkwiła w belce, drżąc przez chwilę wysoko pod stropem pamiątka dla właściciela Czerwonego Lwa.

— Conanie — Khassek obejrzał się na osłaniającego mu tyły Conana — spróbuj nakłonić naszego gospodarza, by pokazał nam swoją piwnicę.

— Piwnicę! — jęknął Ferhard jak echo, a jego grdyka podskoczyła pod błyszczącą klingą, gdy głośno przełknął ślinę. Czując draśnięcie ostrzem, ze strachu postarał się już nawet nie oddychać, stał sztywny i cichy jak trup.

POŻEGNANIE SHADIZARU

Imraz, wołooki gospodarz Oberży Pod Czerwonym Lwem, podniósł kwadratową klapę w podłodze spiżarni. Czterej Strażnicy Miasta Shadizar posłusznie, choć mruczając coś pod nosem, zeszli kolejno w mrok cuchnącej stęchliwą piwniczki. Barbarzyńca stał nad ciemnym otworem szczerząc zęby w uśmiechu, gdy z dworskim ukłonem żegnał każdego z nich, wsparty na mieczu — mieczu ich sierżanta...

— Mój drogi panie Ferhadzie — rzekł Khassek ze smutkiem. — Jest mi bezmiernie

przykro, ale właśnie kolej na ciebie. Zechciej, proszę, przyłączyć się do tych ludzi na dole.

— Na dole! — Dragonerem zatrzęsło oburzenie.

— Spróbuj spojrzeć na to z innej strony — wtrącił Conan z niewinnym uśmiechem. —

Może Imraz trzyma w tej piwniczce przednie roczniki win?

— Prędzej trzyma tam zgniłą cebulę, pajęczyny i pleśń — zduszonym głosem wychrypiał

Ferhard, pomny ostrza na swojej grdyce, z głową tak odchyloną w tył, że widział na belce stropu każde pęknięcie i wszystkie gwiazdy. — Dlaczego nie zwińecie mnie i nie zostawicie tu, na górze? J a mam być uwięziony razem z tymi pospolitymi żołdakami?

— Ależ bez wątpienia opowiedzą ku pokrzepieniu twego serca wiele uciesznych

historyjek, mój dobry panie Ferhadzie. — Iranistańczyk uwolnił Dragonera od niemiłego chłodu stali na gardle, równocześnie wyciągając z pochwy u jego pasa dragonerski miecz. —

Na dół. I życzę dobrej nocy.

— Dobrej nocy, panie... — Conan skłonił się nisko, spod rzęs patrząc, jak ten wystrojony lalusz ostrożnie stawia stopę, obutą w polerowany but, na pierwszym z siedmiu dziurawych stopni prowadzących w ciemność. Gdy Dragoner zanurzył się już do połowy w cuchnącym otworze, Conan sięgnął do jego pasa, z pochwy zgrabnie wyłuskał sztylet mrugający wesoło lśnieniami szlachetnych kamieni. Dragoner zatrzęsł się ze zgrozy.

— Jeszcze tego pożałujecie, i to bardzo — przyobiecał znikając w czeluści.

— Cóż, panie Ferhadzie, będziesz musiał przyjechać do Brythunii, by z nami dłużej o tym porozmawiać.

— Do Brythunii! — swoim zwyczajem jak echo powtórzył wstrząśnięty Ferhard. Khassek kopnięciem zatrzaskał nad nim klapę.

— Nie zamyka się — stwierdził zirytowany, i rozejrzał się w poszukiwaniu jakiegoś sposobu zamknięcia. Widząc, że Imraz z cicha wycofuje się rakiem, zerknął znacząco na Conana. Conan nie w ciemność bity dwoma susami dopadł oberżysty, chwytając go za kołnierz.

— Nie, nie, Imrazku, nie uciekaj! Jest dla ciebie robota, mój dobry człowieku, bierz tę beczkę i pchaj ją z nami na klapę.

Stękając i sapiąc, we trzech przeciągnęli beczkę i ustawili na klapie — była teraz nie do podniesienia od wewnątrz. Conan wychylił się przez drzwi spiżarni na ulicę, ze swego ukrycia dojrzał kilkoro ciekawskich przed frontowym wejściem do Czerwonego Lwa, wtykających wścibskie nosy do wnętrza.

— Hej!!! — ryknął do Khasseka — podaj mi kuszę!

Wścibskie nosy jak zdmuchnięte rozpląły się w mroku uliczki, Khassek tymczasem pokłusował na przełaj przez oberżę, by zamknąć od środka na antabę drzwi frontowego wejścia. Nagle odwrócił się z zachmurzonym czołem.

— Imraz! Gdzie ta twoja dziewczucha, co nam wino przyniosła?!

Wolooki zamrugnął, jakby zbudzony ze snu.

— A co... Przecie była...

— Cholera! — Khassek zaklął, nie wiedząc nawet o tym. — Musiała się wymknąć tylnymi drzwiami i ściągnie nam na kark znów jakichś, pewno tym razem królewskich!

— Więc bierzmy ten arsenał i w nogi — Conan nie tracił już czasu. — Imraz przejdzie się z nami kawałek.

Oberżysta aż skulił się pod spojrzeniem Conana. Khassek nie zrozumiał:

— Sam nie odtoczy tej beczki! Na co nam w drodze taki tłumok?

— Sam nie odtoczy, ale otworzy innym drzwi, by mu pomogli!

— Prawda, chyba za wolno dziś myślę... Szkoda, żeś nie wziął z sobą sznura, biorąc od Yavuzza złoto i moje malutkie żądło — Khassek pieszczotliwie klepnął się po boku, gdzie przypasany miał znów swój wielgaśny iranistański miecz. — Jazda, Imrazie!

Oberżysta nie palił się do wyjścia w noc z tymi dwoma, jednak Khassek sięgnąwszy do mieszka brzęknął złotem.

— Idź przodem, a ja ci do tamtych dwóch dodam cztery sztuki złota. Będiesz wspominał, jakeśmy tu przyjęli dobrego Ferhada, a chętni słuchania tej opowieści co wieczór wypełnią oberżę, przysparzając ci zysków jeszcze większych.

Rad nie rad, Imraz przyłączył się do nich, wrzuciwszy przedtem monety do kieski. Conan włożył pięć mieczy i cztery sztylety do pustej małej beczułki i dźwigając ją w objęciach, ruszył za Imrazem do tylnego wyjścia. Od drzwi poszli w zaułek, mało różniący się od tych w Pustyni. Ślizgając się w błocie, śpieszyli przez noc jak trzej przyjaciele.

— W prawo — wystękał Conan, zataczając się z beczką w ramionach, a na następnym skrzyżowaniu:
— W lewo.

— Dziwnie jakoś wyglądasz, taszcząc tę zbrojownię na brzuchu — zauważył Khassek. —

Naprawdę uważasz, że taki arsenał będzie nam niezbędny?

— Broni nigdy... nie jest... za dużo — stęknął chłopiec z uporem i szedł dalej, ugięty pod ciężkim brzemieniem. Zawartość baryłki klekotała na różne tony i pobrzękiwała wesoło.

Za kolejnym zakrętem pożegnali Imraza, wreszcie mogli swobodnie rozmawiać.

— Co z tą Brythunią? — wychrypiał Conan znad beczki.

— Podałem mu nazwy kilku miejsc, w nadziei, że zapamięta je wszystkie.

— Zauważyłem...

— Lecz żadne nie jest dla nas miejscem przeznaczenia, kresem naszej drogi. Niech się pan Ferhad pozastanawia, a my tymczasem... Conanie, czy mamy jedno, wspólne, miejsce przeznaczenia?

— Cóż... Tworzymy razem nieco dziwną parę.

— Trio, mój drogi, nie zapominaj o beczułce. Ale to nie zupełnie jest tak, jak pochopnie zdajesz się sądzić. Popatrz, Conanie: obaj jesteśmy bystrzy, każdy z nas nieźle poradziłby sobie z tymi pięcioma obibokami ze Straży miejskiej i obaj o tym wiemy. Tym razem ja byłem dość bystry a Ferhad dość ustępliwy, dzięki czemu uniknęliśmy zbędnej bijatyki. Ale

— czyś nie pomyślał, że gdy ty pieścisz baryłkę, ja mógłbym ci łatwo wpakować nóż w plecy?

— Khasseku, nie rozśmieszaj mnie, bo się w tym błocku przewrócę. A czyś ty nie pomyślał, że wchodzimy coraz głębiej w Pustynię? Nikogo nie widać, jednak zdaj sobie sprawę, że czyjeś oczy śledzą każdy nasz krok. A to ja mam tu przyjaciół i to mnie nie uważają tutaj za obcego.

— Hm, no tak. To warte przemyślenia. Słuchaj, Conanie, zmieniając temat: nie jesteś przypadkiem wcieleniem kilku wielbłądów?

— Przypadkiem nienawidzę tych bestii, jak mało czego. Za to posiadam zwykle co najmniej cztery konie. Nie poniósłbyś chwilę beczułki?

— Nie, wielkie dzięki.

Conan niechętnie opuścił swe brzemie na skrawek suchej ziemi. Wyjął śliczny sztylecik Ferhada i zatknął sobie za pas. Sięgnął po miecz sierzanta Strażników, trzy razy wyrzucił nim o kamień, oddzielając głowicę od reszty, tak że w dłoni Conana została tylko ładnej roboty srebrna głowa lwa. Cymmerianin podrzucił ją, chwytając z powrotem w garść z łobuzerskim uśmiechem.

— Czy nie przypomina ci ona wielbłąda — zapytał Khasseka — a nawet dwóch?

— Spokojnie, przyjacielu, na razie to tylko kawał srebra.

Conan zmarszczył brwi, zamyślił się ponuro.

— Jeśli będę miał pecha i te klejnoty okażą się fałszywe... A ty? Nie masz żadnego konia czy wielbłąda, przybyłeś tu piechotą?

— Ach, Conanie — żałośnie westchnął Khassek. — Miałem bogate stroje wyszywane

perłami, kilka zmian na różne okazje. I miałem dwadzieścia złotych monet prościutko z Zambouli. I miałem konie, dwa, przepiękne rumaki.

— I...?

— Zostały w Czerwonym Lwie.

— Dwadzieścia! Monet! Na Mitrę, Bela i Croma, człowieku, dlaczegoś nie skoczył na górę, by zabrać ten skarb?!

— Uff. Zapomniałem, jak mi się zdaje. Tym sposobem uiściliśmy grzywnę koronie

Zamory.

— Na gałki oczne Isztar, dwadzieścia sztuk złota...

— Och, spójrz na to z innej strony: wszak uchroniłem cię od poniżenia, aresztu, a pewnie i czegoś gorszego.

— Jedno i drugie niestety nadal nam grozi, jeśli w porę nie opuścimy tego miasta i granic królestwa.

Stali tak, deliberując, na pustej ulicy nad orężem okaleczonym i walającym się w błocie, nad pustą baryłką. Czarne oczy Khasseka wpiły się ostrym spojrzeniem w błękit oczu chłopaka.

— My...? — Iranistańczyk nie był pewny, czy aby się nie przestyszał.

Conan nie odpowiedział, obrócił się na pięcie i ruszył przed siebie. Khassek w okamgnieniu dopędził chłopca i próbował dotrzymać mu kroku.

— Cholera — mruknął Conan w głębokiej zadumie. — Ajhindar był dobrym człowiekiem, od razu go polubiłem. Ba, podziwiałem go: był oddany waszemu panu i waszej misji, gotów poświęcić własne

życie, rzucił się na mnie, choć widział przecież, że jestem silniejszy.

Zaatakował mnie nawet w chwili, gdy ratowałem mu życie! Hm, może zanadto podstępny, ale... ponoć cel uświęca środki... A teraz ty ryzykowałeś życiem, by wybawić z opresji mnie.

Oczywiście, po to, żeby z moją pomocą dopaść Oka Erlika... Chyba chętnie poznałbym khana, który ma tak wiernych i dzielnych poddanych... oddanych.

— On także chętnie pozna ciebie, Conanie. Zatem, przyjacielu z rękami jak szynki — w drogę!

Chwilę milcząc zagłębiali się dalej w Pustynię. Khassek w końcu zamruczał:

— Zapewne, takim dwóch zuchom żadna sztuka wydostać się z Shadizaru, nawet gdyby wszystkie bramy były zamknięte...

— Yhm... — Conan myśłami był gdzieś daleko.

Znów wędrowali w milczeniu, brnąc przez błoto zaułków, gdy noc przed świtaniem zdawała się coraz czarniejsza.

— Conanie? Czy ty masz ten amulet?

Chłopak zaśmiał się cicho.

— Wiem, gdzie on jest, to na pewno. Bo widzisz, zagrzebałem go... gdzieś między

Zamboulą a Shadizarem, w piaskach pustyni... Co ty na to, mój przyjacielu?

— Cholera — rzekł krótko Khassek i opuścił rękę, ujmującą przed chwilą rękojeść sztyletu.

Od tego czasu chyba nie minęła godzina, w każdym razie niedaleko już było do świtu.

Trzej mundurowi pełniący wartę przy Bramie Czarnego Tronu w mieście Shadizar spostrzegli zbliżającą się ku nim dwójkę jeźdźców, przodem jechała owinięta chustą kobieta, za nią na karym wierzchowcu podążał jej młodziutki syn. Każde z nich prowadziło jucznego konia rzetelnie obładowanego na długą wyprawę. Kobieta ściągnęła wodze, a gdy koń stanął, ozwała się krótko:

— Otwierać.

Strażnicy spojrzeli po sobie. Ona jednak patrzyła drwiąco na kołowroty naciągające sznury i ciężki łańcuch, który podnosił olbrzymią belę, blokującą skrzydła wrót.

— Żaden pożytek z pilnowania bram od tej strony... Ja chcę wyjechać, nie wjechać do miasta.

— Dobra kobieto, jestem człowiekiem dość bystrym i uczuciowym, by dojrzeć brak rozwagi w twoim zamiśle — zabrał głos inny Strażnik, który ukazał się w wąskim łukowym oknie — i z serca odradzać ci opuszczanie bezpiecznych murów w porze tak niestosownej.

Nie mógłbym zasnąć, gdybym nie próbował cię przestrec.

— Wdzięczna ci jestem za przestrożę, widać, żeś porządnym człowiekiem. Ale zabronić mi wyjazdu nie możesz. Jechać musimy. To święta misja.

— Pielgrzymka?

— Właśnie. Mój syn i ja służymy świątyni Khosatry Khela Po Dwakroć Ustanowionego Pana Wszystkiego Ojca Mitry, Ishtar i Bela.

— Zawsze zajęty i bez wątpienia godny szacunku to bóg — mruknał Strażnik. — Lecz, moja droga, prawdziwie rozsądna osoba zaczekałaby jednak do świtu. Potem możesz przyłączyć się do którejś karawany, dla waszego bezpieczeństwa w drodze. Czyżbyś nie wiedziała, że tam, poza stolicą potężnego królestwa, czyhać będą na was wielkie niebezpieczeństwa?

Kobieta jednak oznajmiła zdecydowanie:

— Świata na zewnątrz, a nawet pustyni, obawiam się mniej, mój drogi, niż tego brudnego miasta złodziei, rozpustników i najniegodziwszych obrządków poświęconych bogom, o których nikt nigdy nie słyszał — i lepiej o nich nie słyszeć! Więć daj nam odjechać z tego miasta wstrętnego sługom świątyni.

— Gdybym miał władzę wystarczającą, by powstrzymać cię przed tak ryzykownym czynem...

— Wdzięczni ci jesteśmy ogromnie. Ale skoro nie masz tej władzy, nie trzymaj mnie dłużej przed bramą, bo dość czasu już zmitrężyłam, a droga przed nami daleka. I kark mnie boli od zadzierania głowy, gdyż siedzisz w tym oknie niczym dzięcioł na sośnie. Jeżeli nie masz zamiaru otworzyć mi bramy, powiedz przynajmniej, do kogo mogę pójść ze skargą?!

— Do świtu brakuje zaledwie dwóch szklanek, zastanówże się, kobieto!

— Co mam powiedzieć, czy czego nie mówić, by wreszcie się stąd wydostać?! —

wybuchnęła z furią kobieta.

Mężczyzna westchnął i popukał się w czoło. Namyslał się jeszcze chwilę, po czym krzyknął do tych na dole:

— Otworzyć!

Strażnicy ruszyli ku bramie. I żaden z nich, nawet dowódca ze swego okienka, nie spostrzegł dwóch cieni, które osłonięte mrokiem przemknęły bezszelestnie w pewnej odległości od bramy pod wschodni mur i z kocią zwinnością pokonały tę potężną przeszkodę i zsunęły się w ciemność za murem. Zniknęły bez śladu jak zjawy.

A wartownik przy kołowrocie aż stęknął, łańcuch zaszczekał i ciężka belka wolno poczęła unosić się w górę. Wreszcie skrzypnęły wielkie wrota. Uparta kobieta w milczeniu patrzyła, jak otwiera się przed nią droga w pustynię. Skinąwszy głową Strażnikom popuściła wierzchowcom wodze, konie ruszyły niespiesznie, człapiąc kopytami w błotnistych kałużach.

Dowódca warty oparł się łokciami o parapet swojego okienka i spoglądał za nimi, póki mała karawana nie wtopiła się w noc. Potem zawołał do swoich ludzi:

— Nie wróćą. Zamknijcie bramę.

A jednak wrócili. Co prawda — już inną bramą, po wschodzie słońca... Nie mieli koni, wierzchnich okryć, przepadły gdzieś także wszystkie ich bagaże. Kobieta i jej syn weszli do miasta, wmieszali się w tłum, raz na zawsze przepadając w zaułkach Pustyni Shadizaru. Nikt nigdy nie dowiedział się, kim byli.

Tymczasem daleko, daleko od Shadizaru kiwając się sennie na wierzchowcach,

dosiadanych wcześniej przez tamtą tak dziwacznie upartą kobietę z chłopięciem, i prowadząc oba juczne konie jechali Conan z Cymmerii i Khassek z Iranistanu...

— Ślicznie to obmyśliłeś! — Khassek jeszcze nie mógł przestać śmiać się i co chwila z podziwem kręcił głową, podobała mu się zmyślność Conana.

— Ach, Hafiza jest dobrą kobietą i dobrym przyjacielem, Khasseku, a skoro do srebrnej głowy lwa dołożyłeś ten miszek perełek — Conan również zaśmiewał się serdecznie —

pomogła nam z podwójną radością.

— Bardzo dzielna kobieta!

— Zgadzam się z tobą, Khasseku, podjęła wielkie ryzyko i uczciwie zapracowała na srebro i perły. Swoją drogą... Twój khan dobrze cię wyposażył, sporo już wydałeś, a mam nadzieję

— nadal jesteśmy bogaci?

— My? Nie, mój przyjacielu. Strawiłem miesiąc na szukaniu cię od Arenjun do Shadizaru, i nim dotrzemy do Iranistanu, obaj będziemy nędzaczami. Ale na razie ja jeszcze nędzaczem nie jestem.

— Hm. No tak.

Kołysząc się w siodle w takt długich kroków idącego stępa wierzchowca, chłopak oddał

się niewesołym rozmyśleniom. Zwolnili znacznie tempo jazdy, by konie mogły odpocząć po szaleńczej ucieczce spod murów Shadizaru, wyśmiali się już porządnie ze skutecznego nadzwyczaj fortelu, i teraz Conan mógł wreszcie spokojnie zastanowić się, pomyśleć o sobie.

„Co ja tu robię?”, dumał. „I po co wyruszam w tę zwariowaną podróż, daleką,

niebezpieczną?” Ale rozejrzawszy się wkoło, gdy ujrzał nad sobą przestwór bezkresnego nieba i świat ogromny aż hen, za horyzont, uśmiechnął się. „Świat jest wielki, dokładnie tak jak powiedziałem to Khastris w Khautanie. Muszę zobaczyć ciut większy jego kawałek, zanim wreszcie kiedyś ustatkuję się i zmądrzę”.

Khassek aż podskoczył ze zdumienia i przestachu na siodle, gdy Conan, doszedłszy w swych rozmyślaniach do tak radosnego wniosku, nagle wybuchnął beztroskim

niepohamowanym śmiechem.

MONSTRA

— Twój miecz jest gotów, panie.

W ciemnym lochu nikły odblask płomieni pełgał po ścianach ostrymi języczkami,

czerwonymi jak krew. Khan patrzył na miecz, a Zafra patrząc na twarz khana zgadywał myśli swego pana z dziecinną łatwością.

Bo khan, wspaniały Akter Khan, satrapa Cesarstwa Turanu rządzący Zamboulą w imieniu potężnego Yildiza, zasiadający codziennie na swym wielkim rzeźbionym tronie, jeden z możliwych tego świata, prawie dziecko szczęścia — bał się.

— Gotów — powtórzył w zamyśleniu.

— Tak, panie — mag stał przed khanem, trzymając w obu rękach jego zakrzywiony miecz o wysadzanej kamieniami rękojeści. — Pamiętasz jednak: by czar zaczął działać, miecz musi zostać skrwawiony. Żałuję, że nie oszczędziliśmy w tym celu jednego z więźniów.

Khan nie żałował jednak, gdyż pamiętał coraz częstsze — i bardzo obszerne — raporty szpiegów donoszących o spisku, który knuli jego wrogowie, przypomniał sobie, że Oko Erlika jeszcze nie należało do niego i mogło stać się własnością któregoś z zawistnych krwiożerczych władców sąsiednich królestw... Przechylając głowę w bok niczym myszołów wypatrujący zdobyczy — a porównanie było tym trafniejsze, że małe bystre oczy wpatrywały się w maga lśniąc nad garbem nosa jakby nad ptasim dziobiskiem — khan lekko skrzywił

kąciki zmysłowych ust w okrutnym uśmiešku. Już dokonał wyboru...

— Nie żałuj, Zafro. Jest jeszcze ktoś.

Haft na jedwabnej szacie błysnął srebrem i złotem, gdy odwrócił się szybko ku drzwiom.

Drzwi te, prowadzące w głąb pałacowych wnętrz, od strony lochu były stalową płytą, dość potężną, by wytrzymała atak szarżującego nosorożca. Matowej gładzi ich powierzchni nie mąciło nic — od wewnątrz nie miały zamka. Khan trzy razy uderzył w nie pięścią. Zadudniły głucho, gdy khan rozcierał boleśnie stłuczoną dłoń, i po chwili powoli, ciężko, zaczęły otwierać się, wpuszczając do wnętrza jasny blask pałacowych lamp. Khan skinął na jednego z trzymających wartę na zewnątrz żołnierzy.

— Dziewczyna, którą ten Shanki dał mi przed dwoma tygodniami. Przyrowadź mi ją, Farouzie.

— Tak, mój panie. — Jednakże Farouz stał wciąż, wahając się z jakiegoś powodu. Khan spytał zniecierpliwiony:

— Czy wiesz, o kim mówię, Farouzie?

— Tak, mój panie. Ale czy mam ją przyprowadzić jako... więźnia, panie?

— Och, w żadnym wypadku, niemądry Farouzie! Powiedz jej tylko, że jej pan ma dla niej bardzo szczególny, piękny prezent. Niech przybiegnie natychmiast.

— Rozkaz. — Żołnierz służbiście wyprężył się, wykonał przepisowy zwrot, i zniknąwszy z oczu khanowi pędem pobiegł przez korytarze. Gdzieś wśród płyt z różowego marmuru zdobiących ich ściany, kryło się wejście tajemne do najbardziej plugawej części królestwa khana: Zaułka Skwatrów. Zaułek ów był wiecznie mrocznym labiryntem wybudowanym gdzieś przez Stygian i do dziś strzeżony przez krwawych Hyrkanianów. W mroku

rozświetlanym jedynie słabą poświatą nielicznych kaganków żyły w nieszczęściu i brudzie dziwaczne istoty — ludzie-nieludzie, mieszańcy o wynaturzonych ciałach bądź chorych umysłach, najstraszniejsze straszydła trzymane w tym olbrzymim zwierzyńcu... W ścianach tu i ówdzie znajdowały się szybki nieduże, a khan od czasu do czasu popatrywał przez nie dla rozrywki.

Tymczasem w lochu mag słuchał opowieści khana szczerze zadowolonego z siebie. Zafra znał tę historię doskonale, lecz udawał, że słucha z największym zainteresowaniem.

— Tak, dokonałem dobrego wyboru. Mała shankijska suka. Ten suczy syn, Akhimen

„khan” brudnych pustynnych nomadów, przysłał mi ją jako prezent i daninę. Iście stygijska zmysłowa Derketo... — rozmarzył się na samo wspomnienie prawdziwie boskich kształtów dziewczynki.

Mag ze zrozumieniem skinął głową, przytakując władcy. Widywał na ucztach małą, której imienia nikt nie znał, gdyż khan przy pierwszym spotkaniu nazwał ją Derketari na cześć Derketo, lubieżnej bogini z zamierzchłej przeszłości dzikiej Stygii. Gibki stan, krągłe biodra i przeogromne oczy tej córki pustyni poruszyłyby kamienny posąg, wzbudzając w jego lędźwiach ogień pożądania. Na Derketo!

— I wyobraź sobie, Zafro, że ta mała zmija w pierwszą noc, gdy przyprowadzono ją do mojej sypialni, rzuciła się na posadzkę, i czołgając się i krzycząc jakby mordowana błagała, bym jej nie dotykał! Za nic miała zaszczyt pierwszej nocy ze mną, za nic nadzieje na przyszłość — wiła się i pełzała, niespełna rozumu prostytutka! Ona jest...

Khan zamilkł niespodziewanie, zmełł tylko w ustach słowo „winna”. Za wszystkie skarby królestw tego świata nie przyznałby się nawet Zafrze, że była winna temu, iż on, nawykły do kobiet uległych, chętnych, radośnie poddających się w sypialni woli swego pana, dumnych z zaszczytu, jaki je spotyka — przerażony jej niepojętym zachowaniem okrył wstydem swą męskość! Miał ochotę bić ją, batem nauczyć rozumu, albo zadusić własnymi rękami, przypiekać ogniem i po wielekroć brać siłą... a tylko patrzył, pozbawiony męskiej mocy, póki służba nie wywlokła tej zmii do kobiecych komnat.

— Zmija... — syknął mimowolnie, a mag odwracając twarz skrył uśmiech pod rondem kapelusza.

Tamtej nocy Akter Khan musiał zawezwać swoją Tygrysięcę, brązową smukłą Chię, Argosankę, by z jej pomocą udowodnić sobie, że jednak jest mężczyzną i z kobietami w łożu umie radzić sobie po męsku. Rankiem przykazał Tygrysicę, by nauczyła dziewczynę Shanki wszystkiego, co kobieta umieć powinna, by zadowolić swego władcę. Obserwował potem tę małą przez tydzień — ach, jakaż była piękna! Rozkwitała z dnia na dzień, piękniała w oczach, nabywając wdzięku. Gibka, giętka jak wąż, jakby bez kości, prowokująca w każdym gościu, prześcignęła we wschodnich tańcach mistrzynię trzymane specjalnie na królewskim dworze.

Każdy jej ruch, najmniejszy gest budziły pożądanie, była stworzona do miłości. Khan z największym trudem zmusił się, by wytrwać tydzień bez niej — a chciał ją tym sposobem ukarać dotkliwie. Po tygodniu zaprosił dziewczynę do swojego stołu, bawił żartami podczas wspólnej kolacji, podarował jakiś drobiazg ozdobiony rubinem. Lecz gdy tylko powstał od stołu i błysk w jego oczach zdradził przed nią zwykłe męskie zamiary — Shanki runęła na ziemię i znów stała się żalonym stworzeniem, nie wiedzieć czemu skamlącym o litość.

Khan nie odesłał Shanki do domu, dotąd nie okrył jej hańbą. Ale — na Tarima samego Pana Czarnego Tronu: ile może znieść mężczyzna?

Mężczyzna? Khan!!! — na Kamienie Hanuma!!!

Czekali więc w ponurym milczeniu, khan pogrążony we wspomnieniach, mag myślał

wybiegający w przyszłość... pomiędzy nimi leżał miecz, zaczarowany miecz khana. A niżej, na dnie jamy lochu, spoczywały dwa zapomniane ciała więźniów i, wbity w zwłoki, miecz Zafry niczym smukły i cichy pomnik nagrobny.

Khan sięgnął do szyi, obiema rękami ściągnął przez głowę wisior rzadkiej urody: zawieszony na srebrnym łańcuchu wielki krąg wysadzany perłami, w środku kręgu zamigotał

rubin otoczony plejadą topazowych gwiazd.

— Weź to, i mój miecz, zejdź na dół i wbij miecz w klepisko. Chyba nie zaszkodzi to czarom? — zaniepokoił się nagle.

— Nie, panie.

— Więc zawieś naszyjnik na jelcu mojego miecza, a swój miecz przynieś tu, na górę.

Zafra posłusznie zszedł w głąb lochu. Unosząc ostrożnie skraj szaty, by nie powalać go krwią, przestąpił przez ciało leżącego bliżej więźnia. Dziobnął czubkiem miecza ziemię pod stopami, ale krew mordowanych nieszczęśników od tylu lat wsiąkająca w klepisko utwardziła je prawie na kamień i mag musiał się dobrze natrudzić, zanim w końcu udało mu się wbić klingę tak, jak życzył sobie khan. Zawiesił na jelcu naszyjnik — klejnot kołysząc się świecił

prześlicznie i podzwaniał leciutko, gdy dotykał ostrza. Mag upewniwszy się szybkim spojrzeniem, czy khan jest zadowolony z efektu, podszedł do własnego miecza, tkwiącego głęboko w sercu

zamordowanego więźnia, chwycił mocno rękojęść i zaparłszy się nogami szarpnął z całych sił. Nic to nie dało, trzykroć musiał powtórzyć próbę, nim ostrze wysliznęło się z ciała. Z lekkim obrzydzeniem wytarł zakrwawioną klingę o włosy trupa, po czym wstąpił na stopnie wiodące na podest — i natychmiast zatrzymał się, gdy w jasnej ramie światła w otwartych drzwiach ujrzał Derketari. Dziewczynka była tak wiotka i mała, tak dziecinna jeszcze, że choć nie był specjalnie wrażliwy na ludzką krzywdę, serce mu się ścisnęło z żalu, kiedy patrzył na nią stojącą między dwoma rosnącymi żołnierzami.

Akter Khan drgnął, gdy usłyszał ciche westchnienie Derketari, która przystanęła nieśmiało tuż za nim. Odwrócił się jednak ku niej z najbardziej uroczym ze swych dobrotliwych uśmiechów.

— Ach, mój śliczny kwiatuszku pustynny, Derketari najmilsza! Wejdz, podejdz do mnie i spójrz, co dla ciebie mam. Czy widzisz? — wyciągnął do niej rękę i zamknął jej drobną dłoń w swojej, pulchnej i bujnie owłosionej.

Ani on, ani Zafra długo nie mogli oderwać wzroku od niewiarygodnej urody małej Shanki.

Ogromna chmura czarnych połyskliwych włosów, przetykanych perłami na podobieństwo nieba usianego miriadami gwiazd, okalająca słodki owal twarzyczki, w której świeciły wielkie oczy, głębią spojrzenia przywołujące wspomnienie toni leśnego jeziora srebrzonej księżycem. Kuszące usta, malowane purpurą, wygięte w łuk... Z wdziękiem nosiła dworski strój, zapomniawszy już o fałdzistych, starannie kryjących figurę szatach kobiet pustyni.

Napiersniki miała złote, z ich miseczek zwisały cieniutkie łańcuszki, przy najlżejszym poruszeniu łaskoczące płaski kształtny brzuch. Nisko na biodrach wąska pleciana przepaska przetykana złotem podtrzymywała obłok śnieżnobiałej gazy, nie przesłaniający przesadnie jej cudownie zgrabnych nóg, które od małych stóp w miękkich pantofelkach po drobne zachwycające kolana spowijały pasy zdobionego złotym haftem białego jedwabiu. Nie nosiła zbyt wielu klejnotów, jedynie pamiątkę dzieciństwa — plemienny pierścionek z granatem, a na piersiach tęczowo mienił się opal z serca pustyni, wisiołek, który podarował jej khan.

O czym myślał khan, tego teraz Zafra nie umiał odgadnąć. Jemu samemu zaś przyszły na myśl dziewice, których krwi używali czarnoksiężnicy ze Skelos, by na pergaminie z wężowej skóry zapisać nią tajemne inkantacje. Wstrząsnął nim lekki dreszcz, więc odetchnął głęboko i wszedłszy schodami na podest podał swój miecz Farouzowi, dając gestem znać żołnierzowi, by wyniósł się za drzwi, bo warta nie będzie tu potrzebna. Farouz nie był tak głupi, żeby nie usłuchać niemego rozkazu, nawet dla prostego żołnierza było już oczywiste, iż młody mag, jeszcze wczoraj uczeń zaledwie i popychadło, od dziś stał się dla khana pierwszym na dworze człowiekiem. Zniknął, domykając za sobą drzwi, a Zafra cofnął się pod ścianę, i znieruchomiał wtopiony w cień.

— Raduj się ze mną, najśłodsza Derketari — rozkazał khan, widząc, że dziewczynka bliska omdlenia drży cała, wpatrzona pełnymi trwogi oczami w trupy na dnie lochu. — To Iranistańczycy, ohydni szpiedzy nasłani przez największego naszego wroga, khana, który sposobi się do najazdu na nasz piękny kraj.

— Och, panie... Lecz dlaczego mnie... tu?... — szeptała Shanka przez łyzy.

— Ponieważ, mój skarbie prześliczny, jeden z tych tam był jasnowidzem, i nim... zmarł, wyrzekł proroctwo dotyczące twojej przyszłości. Mówił, że ty niebawem urodzisz mi pięknego chłopaka, a będzie mój, nasz, syn gdy dorośnie, władcą Cesarstwa Turanu.

Z bliska wyraźnie było widać smutek i obawę w podkrążonych ciemnymi kręgami oczach dziewczynki. Ale w tej chwili Shanki stała cicha, zniewolona wizją wspaniałej przyszłości.

— Tam, na dole, pozostał mój miecz. Gdy ci dwaj nasi wrogowie zostali zniszczeni, zawiesiłem ów klejnot na jelcu, położyłem rękę na głowicy miecza i przysiągłem, że ta, która ma być pierwszą wśród kobiet Zambouli i przyniesie mi go tu, na górę, będzie pierwszą, i jak teraz ten klejnot, tak później owoc swego łona wyniesie na wyżyny... Cesarstwa...

Shanki, jakby zaczarowana słowami khana, zapatrzyła się w rubinowe światło, migoczące w ciemnościach lochu. Póki był dla niej ten klejnot zapowiedzią szczęścia — cieszyła się po dziecinemu w głębi strwożonego serca, a oczy jej rozpromieniła radość. Gdy jednak pojęła wreszcie, czego chce od niej khan, zadygotała z przerażenia, powstrzymując mdłości wyszeptała:

— Nnnie... Nie, panie mój, nie każ mi tam schodzić, między trupy, do jamy! Ja nie mogę tam zejść!

— O, Derketari, nie bądź niemądra. Nie bądź bojaźliwym dzieckiem, wszak urodzisz cesarza! Czyżbyś chciała utracić szansę, jaką w godzinie śmierci przepowiedział ten prorok?

Czy chcesz, aby Shanki nigdy nie dostąpili zaszczytu wyniesienia ponad inne ludy Cesarstwa?

Dziecko patrzyło to w jaśniejące łagodnym uśmiechem czarne oczy władcy, to w krwawe oko rubinu błyskającego w medalionie. Shanki oblizwała spierzchnięte nagle wargi. Tak, słyszała każde słowo i rozumiała ich wagę. Gdyby z powodu dziecinnej bojaźni zamknęła na zawsze drogę swojemu plemieniu do szczytów i bogactw, gdyby teraz jednym głupim „nie”

przekreśliła wszystkie zabiegi ojca, który poświęcił całe swoje życie trosce o przyszły dobrobyt i bezpieczeństwo plemienia... W końcu, cóż te dwa trupy — nie raz widziała na pustyni ciała poszarpane przez zwierzęta, spuchnięte, cuchnące pod rojem zielonych much.

Powoli skinęła głową.

Akter Khan puścił jej dłoń i patrzył na nią wzrokiem głodnego sępa, wycierając rękę w fałdy swej szaty, gdyż dziecko palce miało wilgotne, spocone. Shanki iście królewskim gestem ujęła nad kolanami skraj mgiełki białej gazy, tworzącej jej spódnicę i zstąpiła na pierwszy stopień.

— Musisz potwierdzić zaklęcie...? — cicho zapytał khan.

Dziewczyna schodziła nie oglądając się za siebie, śmiała teraz, szła pewnie. Nie czuła na sobie palącego spojrzenia płonących jakby w gorączce oczu khana. Dotknęła czubkiem bucika dziewiętnastego z dwudziestu pięciu stopni wiodących w dół.

— Tak, panie — z ciemności jak lekki powiew dobiegł szept maga.

Zafra wyrzekł te słowa, lecz wiele by dał, żeby khan w tej właśnie chwili zmienił decyzję.

I choć khana paliła namiętność, a dziewczyna stawiała małą stopkę dopiero na dwudziestym pierwszym stopniu, i było dość czasu, aby ją jednym słowem powstrzymać, Zafra powiedział, to co powiedział, i w odpowiedzi usłyszał:

— Zatem potwierdź zakłęcie.

— Tak. Panie...

Dziewczynka zawahała się, stojąc na przedostatnim już stopniu rozejrzała się, szukając drogi do klejnotu innej niż ta zmuszająca do przestąpienia przez ciało zabitego „wroga Zambouli”. Była tylko dzieckiem, prezentem–niewolnicą, toteż nie mogła wiedzieć, że martwy Iranistańczyk niegdyś także był niewolnikiem, takim samym więźniem jak ona, a mężnym i godnym podziwu, i nie wiedziała, że straszliwie męczony torturami nie zdradził

nic, i że nawet w ostatniej chwili życia chwycił za miecz, by zabić khana. Shanki, przelotnie spojrzawszy na trupy, zstąpiła z ostatniego stopnia, i przesuając się ostrożnie pod ścianą, tak by nie dotknąć przypadkiem żadnego z ciał, powoli tą okrężną drogą poczęła zbliżać się do miecza.

Akter Khan rzekł cicho:

— Zabij ją.

— Zabij go — powtórzył szeptem jak echo mag.

Miecz niczym koń podcięty batem zadrżał aż po głowicę i wyrwawszy się z uścisku ziemi, dzwoniąc łańcuchem ciężkiego wisiora, pomknął ku dziecku. Lotem błyskawicy osiągnął cel.

Shanki zamarła, w panicznej trwodze wpatrzona w nadlatującą śmierć, z jej gardła ostrze wydarło przedśmiertny krzyk, szepnęła jeszcze cichutko „mamo...”, i upadła na tamte dwa ciała pod ciężarem miecza tkwiącego w jej piersi. Mag z trudem powstrzymał mdłości.

— „Go”? Wszak to była dziewczyna — zaciekał się khan, obojętnie odwracając wzrok od nie interesującej go już Shanki. Był zadowolony: czar działał, miecz, jego miecz, mordował na rozkaz.

— Nawet magiczny miecz nie rozróżnia płci, mój dobry panie.

Khan uśmiechnął się. Popatrzył na bielejącą w lochu sukienkę dziewczynki. Westchnął z przesadnym żalem.

— I pomyśleć, że umarła pozostając dziewicą... Szkoda. Cóż, dość, że dla tak niezwykle ważnego powodu.

Zamyślił się, rozważając coś jeszcze. Zafra stał z boku, pod osłoną cienia. Wciąż było mu niedobrze.

— Jej ludzie w żadnym wypadku nie mogą się dowiedzieć, jaką zginęła śmiercią —

chłodno i rzeczowo oznajmił khan. W tej chwili był przede wszystkim khanem Zambouli. —

Za miesiąc posłańcy zanoszą Shanki żalobną wieść: Derketari zabrała gorączka, która omal i jej ukochanego pana nie pozbawiła życia. Oczywiście, doniosą też Shanki, że mała nosiła w łonie królewskiego syna, może nawet przyszłego cesarza... gdyby się proroctwo spełniło.

Posłańcy zapewnią, że została pogrzebana na Cmentarzu Królów, z szacunkiem i należnymi matce króla honorami.

Zafra nie zdążył jeszcze nawet w myśli zapytać, jak to będzie naprawdę, gdy khan podjął z uśmiechem:

— Ale naprawdę to szykuje się dla ciebie robota, mój Zafro. Otóż udasz się wkrótce do miasta i wynajmiesz dwóch najpodlejszych łotrów, obiecasz im po trzy sztuki złota, możesz obiecać im nawet pięć dalszych, które dostaną po wykonaniu swej pracy... Całe ich zadanie to odrzeć ten tłumok tam w dole z odzienia, pokaleczyć tak, by nikt nigdy nie mógł poznać jej twarzy i członków, podzielić to potem na części — rozumiesz: poćwiartować jak wieprza. I wynieść stąd w kilku skórzanych workach, porzucić w Zaułku Skwatrów gdzieś na

śmietniku.

Khan patrzył prosto w twarz maga, więc Zafra stał, blady, dławiąc się własnym obiadem wracającym do gardła ze ściśniętego obrzydzeniem żołądka, i przysięgając najbardziej wymyślną zemstę...

— Rozumiem, panie. Zapłatą ma być stal?

— Może raczej pucharzek wina dobrze przyprawionego.

— Mam takie przyprawy u siebie.

— Domyślam się, Zafro — khan uśmiechnął się i spojrzał na maga łagodniej, choć w oczach swego pana Zafra nie znalazł nawet śladu tej łagodności, przeciwnie, sępi wzrok władcy przypominał aż zanadto o wszystkim, czego Zafra przed chwilą był świadkiem, o wszystkim, o czym Zafra miał zapomnieć natychmiast i milczeć do końca życia.

— Zafro — odezwał się znowu khan — tylko ty i ja wiemy, co tu się stało. Ja wyjdę i zabiorę ze sobą obu żołnierzy, mówiąc im, że ty sam odprowadzisz tę małą sukę do jej komnaty. Potem ty, Nadworny Czarnoksiężniku Zambouli, tajemnymi przejściami udasz się do swego starego pomieszczenia... Potrzebuję nieco czasu, by przygotować dla ciebie nowe

— khan śmiał się cicho. — A co byś powiedział na noc z tygrysią, mój Zafro? Z Tygrysią z Argos, która pazury przysłania jedwabiem, a jej brzuch jest... Sam się zresztą przekonasz, zostawiam ci przyjemność dokonania nader interesujących odkryć.

— Panie... Twa hojność...

— Moja hojność nie zmniejszy się i nie przeminie, mój Zafro. Nie — dopóki będziesz mi służył.

Zafra przepęłniony wstrętem, wprost dusząc się nienawiścią, prowadził wzrokiem khana, gdy ten niespiesznie szedł do drzwi. Sam jeszcze niedawno był uczniem najpodlejszego z żyjących magów, studiował księgi pisane ludzką krwią, studiował Księgi Skelos i ociekające złem straszliwe tomy Sabatei, klął się na Seta i Erlika, i nawet piktyjskie Dzieci Jhila znały mniej mrocznych tajemnic niż on. Ale był gotów przysiąc na Seta, że od czasów Thugra Khotana, zmarłego przed trzema tysiącami lat, nie było na świecie ohydniejszego zbrodniarza niż Akter Khan.

Mag zbiegł schodami do lochu. Podszedł do nieszczęsnej Shanki, jeszcze mniejszej i bardziej dziecinnej po śmierci, i spojrzawszy w szeroko rozwarte niewidzące oczy dziewczynki — położył dłoń na rękojeści zaczarowanego miecza. Nikt, przenigdy nikt, gdy już Zafra czarami zapanuje całkowicie nad khanem i będzie rządził Zamboulą, Cesarstwem, światem, gdy już nie będzie musiał mówić „mój panie” do żadnego człowieka — nikt wtedy nie dowie się, że był czas, kiedy nazywał panem Akter Khana...

Nim otwarły się ciężkie drzwi, Akter Khan obejrzawszy się jeszcze przez ramię, rzucił magowi na pożegnanie:

— Ten miecz zawieś na złotych hakach na ścianie za moim tronem, pamiętaj, Zafro. Ach, i nie zapomnij oczywiście przed wieczerzą z pomocą swych czarów odszukać Oka Erlika.

Chcę wiedzieć dokładnie, gdzie dzisiaj jest, i czy na pewno przybliży się do mnie.

OPOWIEŚĆ O DWÓCH MAGACH

Conan i Khassek najpierw jechali na wschód, chcąc jak najszybciej przekroczyć granicę Zamory. Z początku zamierzali przeciąć pas stepów i ziemi Turanu w miejscu, z którego z łatwością dotarliby prędko do wybrzeża Vilayet, skąd mogli statkiem płynąć na południe.

Wybrali jednak inną możliwość. Conan był zadowolony — mieli wprawdzie przed sobą szmat drogi przez pustkowia, jednak tu, na lądzie, mógł pozostawić blisko amuletu, nie musząc go mieć przy sobie. Conan śmiał się w duszy na samo wspomnienie, jak to Khassek usiłował go przekonać do drogi przez morze, łudząc się widocznie, że na statku potrafi odebrać mu Oko Erlika... Wobec czego brnęli teraz przez piaski pustyni, od granicy Zamory wciąż spoglądając to na palące słońce, to na bezkres pustyni. Khassek jak ognia bał się nomadów, przesadnie, jak twierdził, przestrzegających nienaruszalności swych granic.

Khassek skracał sobie czas opowiadaniem historyjek zasłyszanych w przeszłości, lecz wyczerpał w końcu bogaty ich zasób, a ponadto wielu rzeczy był ciekaw, zagadnął Conana:

— W wadi za Arenjum znaleziono przypadkiem ciało Ajhindara... Traf chciał, że w tym samym mniej więcej czasie niejaki Conan, Cymmerianin, zniknął z miasta cichaczem, po kryjomu. Czy mógłbyś mnie oświecić, Conanie — Khassek poprawił się w siodle — jak to się stało, żeś spotkał Ajhindara w domu maga tamtej fatalnej nocy? Czy i to ty sprawiłeś, że nagle płomień pochłoniął dom Hisarra Zula?

— Chętnie opowiem ci tę historię — Conan z błękitnym błyskiem nieba w oczach zerknął

z uśmiechem na Khasseka. — Bo widzisz, Khasseku, ja byłem złodziejem. Zwyczajnym, no, może niezupełnie zwyczajnym... Pracowałem w każdym razie w Arenjun i odniosłem nawet w tym mieście kilka znaczących sukcesów. Do owej nocy nie miałem jednak pojęcia, że w ogóle istnieje jakiś Hisarr Zul. Ale zabawiłem się właśnie z milutką dziewczyną w nie najgorszej oberży, gdy nagle do wnętrza rażno wmaszerował okropnie bojowy oddziałek Strażników pod osobistym dowództwem swego podprefekta...

— Na Croma! Skąd ja to znam?! — zaśmiał się Iranistańczyk.

Conan jednakże potrząsnął głową z westchnieniem.

— Choć zdarzyło się to ledwie przed dwoma miesiącami, jakież inny był tamten Conan, jaki jeszcze był młody... Ów Conan, Khasseku, spotkał się w tej oberży z kochanką owego prefekta...

Khassek ryknął śmiechem tak głośnym, że koń zwany Żelazną Głową omal go nie zrzucił.

Iranistańczyk opanował spłoszonego ogiera i, wyśmiawszy się porządnie, pozwolił chłopcu opowiadać dalej.

— Prefekt był typem straszliwie zazdrosnym, rzucił się na mnie z pięściami, gdy tamci patrzyli, lecz kiedy usłyszałem brzęk żelaza dobytego z pochwy — czyż miałem czekać...?

Ich było czterech. Prefekt zranił się lekko, zawadziwszy o mój miecz niechcący, tamci też jakoś mało zręcznie pracowali bronią, widziałem, że ten i ów krwią uwaliał sobie mundur, a szkoda, bo zgrabnie były szyte, na miarę... Wtedy jakiś człowiek, którego nie znałem, stanął

u mego boku z obnażonym mieczem. We dwóch z łatwością wyprosilibyśmy za drzwi tę Straż ospałą, gdyby nie niefortunny wypadek: jeden ze Strażników podszedłszy zbyt blisko, wbił się na ostrze mego towarzysza. Nieznajomy uchylił okno, przez które skoczyłem na ciemne podwórze, a stamtąd wspinałem się na dach oberży. Jak wiesz, my, górale, umiemy się wspinać.

— Czy byłeś zraniony?

— Skąd, ani draśnięty.

— Więc wy, górale, umiecie nie tylko się wspinać...

— Zgoda, nie tylko — skromnie potwierdził chłopak, mrużąc oczy, niebieskie teraz jak niezapominajki. — Tam była kobieta...

— Gdzie? Na tym dachu?!

— Ja byłem na dachu, a oni, agenci khana Zambouli, rozprawiali żywo w pokoju na górze o czymś, co zwali Okiem Erlika, i planowali rabunek, bo to Oko miało znajdować się w domu czarnoksiężnika, Hisarra Zula. Zajrzałem przez okno, ryzykując upadkiem, by zobaczyć kobietę obdarzoną tak wdzięcznym głosem. Khasseku, ach, cóż to za kobieta! Zakręciło mi się w głowie i naprawdę o mało nie spadłem... — oczy chłopca świeciły błękitnie. — No, w każdym razie oni — udało mu się jakoś powrócić do głównego wątku opowieści —

zaplanowali złodziejską wyprawę, wyznaczając sobie termin spotkania równo za dwie noce, a ja pomyślałem, że mógłbym ich wyprzedzić, odwiedzając dom Hisarra Zula o jedną noc wcześniej... Bardzo byłem ciekaw, co to takiego, to Oko Erlika.

Conan wyjął nogi ze strzemion i wyciągnął je w dół na całą długość, by wyprostować kolana i rozluźnić mięśnie. Usiadłszy z powrotem wygodnie w siodle, kontynuował opowieść z Arenjun.

— Następnego dnia obejrzałem sobie dokładnie ów dom i około północy warownia maga stanęła przede mną otworem. Wszedłem i oniemiałem ze zdumienia: mój niedawny obrońca z oberży walczył znowu z przewagą wroga! Dwa paskudne stworzenia, których dusze Hisarr Zul czarami uwięził w specjalnym zwierciadle, i zaraz je potłukł, atakowały go wściekle z niesłychaną wprost zajadłością. Było mi to na rękę, on je zajmował tak doskonale, że spokojnie mogłem przejść obok, wziąć sobie Oko Erlika i opuścić zarobaczony dom.

Wspomniawszy jednak, co zrobił ów nieznajomy dla mnie w gospodzie — dobyłem miecza...

Posiekaliśmy te stwory na kawałki, wyświadczając im łaskę godnej śmierci, stokroć lepszej niż

wieczna niewola u maga. I wyobraź sobie, mój przyjacielu, że wówczas Ajhindar, ledwie wymieniliśmy swoje imiona, gotowi potwierdzić uściśnięciem ręki przyjaźń męską zrodzoną w walce, rzucił się na mnie bez ostrzeżenia i ciał tym „nożem” nieledwie na oślep w furii, odgadłszy łatwo, że ja chcę mu sprzątnąć amulet sprzed nosa... I tylko to, że pośliznął się we krwi jednego z zabitych potworów, uchroniło mnie przed jego śmiertelnym cięciem! A przecież nawzajem ratowaliśmy sobie życie, walczyliśmy razem! Byliśmy braćmi krwi! —

Conan jeszcze teraz nie posiadał się z oburzenia, i by ochłonać, długą chwilę jechał w ponurym milczeniu.

— Pośliznął się i upadł na te przeklęte drzwi... A wtedy dwie wielkie zmije wśliznęły się jakby wyczarowane, i nim zdążyłem sięgnąć po miecz, pokąsały go, leżącego, w twarz. I —

chłopak znów zatrzęsł się z oburzenia — choć umierał, cisnął jeszcze we mnie tymi nienasyconymi bestiami! Na szczęście zdążyłem przeciąć je w locie, miałem już w ręku miecz... A potem patrzyłem, jak Ajhindar umiera. Spuchł, szerniał... Ale zdążył przed śmiercią opowiedzieć mi nieco o Oku. Chciał, żebym za niego dokończył tę misję.

— To wszystko?

— Nie, mój Khasseku. Ja polubiłem tego człowieka, szanowałem jego zręczność i siłę, oddanie każdej sprawie, której się podjął. A on próbował mnie zabić, i sam skończył tak głupio, tak niepotrzebnie...

— Ajhindar zasłużył na lepszą śmierć — przyznał Iranistańczyk w zadumie.

— No więc potem poszedłem po Oko — odpocząwszy chwilę opowiadał Conan już

spokojniej tę przedziwną historię. — W komnacie zastałem tamtych dwoje agentów!

Karamek i Isparana — oczy Conana pojaśniały, na usta wrócił uśmiech — ach, cóż to za kobieta! Zmienili widać zamiary, i o noc wcześniej Oko wpadło w ich ręce... Nie byłem zachwycony. Karamek rzucił się na mnie i zajął mnie walką, a Isparana tymczasem umknęła za drzwi i zdążyła je zabarykadować, nim zdołałem się pozbyć Karameka.

— Jak dotąd — w zadumie zauważył Khassek — życie straciło kilku pachołków maga pozbawionych duszy, Strażnik, Ajhindar, Karamek... Wszyscy, w taki czy inny sposób, z twojej ręki albo z twojego powodu.

— Aha — potwierdził Conan beztróska. — Więc zostawiłem te drzwi i rzuciłem się do okna, najwidoczniej tylko po to, żeby wpaść w pułapkę zastawioną przez Hisarra Zula na każdego takiego głupca jak ja. Unieruchomiły mnie żelazne paszczęki, złamałem miecz, połamałem paznokcie, poraniłem się — na nic, nie mogłem się uwolnić! — chłopak opowiadał z coraz większym przejęciem, jeszcze widać żywe i piekące było wspomnienie. —

Mogłem tylko czekać na powrót Hisarra, i przyszedł, a jakże, rozkoszował się widokiem mnie uwięzionego... Oznajmił, że życzy sobie, bym odebrał Oko Isparanie i dostarczył mu je. Uff, w tamtej

chwili zgodziłbym się tańczyć na węglach ogniska przez cały tydzień albo polecieć do Khitai, żeby przynieść mu stamtąd ogon smoka i brodę cesarza, aby tylko wydostać się z tego domu! Ale on był dość sprytny... Strzepnął mi przed nos trochę śmierdzącego proszku, straciłem przytomność, a gdy się obudziłem — on miał moją duszę!!! Pokazał mi ją, takiego małego mnie w srebrzonym zwierciadelku, i powiedział, że gdyby, przypadkiem, stłukło się — moja dusza nigdy do mnie nie mogłaby wrócić, na zawsze zostałbym bez duszy, posłuszny jemu, jak te dwa potwory...

Zamilkł, próbując sobie wyobrazić takie życie—nieżycie. Khassek przyglądał mu się spod oka, nie chciał przerywać zadumy Conana, nim chłopak sam nie poradzi sobie z

przerazającym wspomnieniem.

— Zgodziłem się, rzecz jasna, i ruszyłem za Isparaną. — Conan znów zamilkł, a Khassek zadrżał, słysząc, że barbarzyńca zgrzyta zębami zacisnąwszy je tak, aż zbieleły mu szczęki.

— Masz... masz już swoją duszę z powrotem, Conanie?

— Mam. Wróciła do mnie przed dwoma tygodniami. Gdyby nie królowa Khauranu... —

chłopak wzdrygnął się na samą myśl.

— Khauranu! To tam byłeś, kiedy ja cię szukałem w Shadizarze! Ale po co wróciłeś w te niegościnne okolice, mając w Khauranie tak mozną opiekunkę?

— Królowa Khauranu nie żyje, Khasseku. Na jej prośbę uratowałem kraj przed

czarnoksięskim spiskiem, oddając go we władanie królowi Koth. Tym samym — ją skazując na śmierć.

Na to już Khassek nic nie odpowiedział. Kolebiąc się w siodle, znużony drogą, z podziwem przyglądał się wyprzedzającemu go o koński łeb Conanowi, jadącemu z tak zaciętym wyrazem twarzy, jakby zaraz zamierzał bić wroga. Jakich przygód już zaznał ten chłopak w wieku, w którym jego rówieśnicy byli jeszcze niemalże dziećmi, chłopiętami przy boku ojców. W jakie spiski bywał wplątany, losy królestw zależały od niego... Ale gdziekolwiek się udawał, zostawiał za sobą krwawy ślad, przecie prócz khaurańskiej królowej niejednen uczestnik czarnoksięskiego spisku musiał tam wtedy utracić życie. Iranistańczyk wiedział skądinąd, że Hisarr Zul był martwy.

— Mów dalej, Conanie. Wszak Isparana żyje?

— Tak... Wyruszyłem za nią w wielkim pośpiechu, trwożąc się o mą uwięzioną duszę.

Sam, na pustyni, z jednym tylko koniem. Och, jaki ja byłem głupi... Ale miałem szczęście. W

pierwszej oazie napadli mnie jacyś dwaj — Conan zaśmiał się, a Khassek zdumiał się niepomiernie:

— To było szczęście?

— Jeszcze jakie! Tym przecie sposobem dostałem ich konie i juki. Gdyby nie to spotkanie, sępy pożarłyby moje szczątki gdzieś wśród piasków pustyni, w sam raz los dla głupiego podrostka z Cymmerii, co wyrusza w drogę bez zapasów i bez rozumu.

— Och... A tamci dwaj?

— Nie żyją — Conan spojrział na Khasseka wymownie.

— Tak, to się samo przez się rozumie...

Khassek potrząsnął głową, w której nie bardzo już się to wszystko mieściło. Niechże kto inny poza samym Conanem nazwie Conana podrostkiem, chłopcem... Iranistańczyk spojrział

w bok i napotkał rozbawione błękitne spojrzenie.

— Nie gapże się na mnie, Conanie! Wiesz, powiem ci, co myślę: masz dziwne upodobanie do zostawiania za sobą krwawego szlaku.

Conan nie musiał zastanawiać się długo nad odpowiedzią.

— Crom, bóg Cymmerii — rzekł mocnym głosem — przy narodzinach każdego z nas

technie w duszę Cymmerianina wolę walki i wolę zwycięstwa. A potem zostawia nas samym sobie. Dlatego my, Cymmerianie, jesteśmy mężczyznami, Khasseku.

— Walczysz. I zwyciężasz.

— Tak. — Po chwili milczenia chłopiec dodał poważnie: — Rzadko szukam kłopotów. To one podkradają się do mnie, wypatrują mnie wszędzie i rzucają się na mnie znienacka.

Conan wyprostował się w siodle i Khassek, który właśnie, poruszony tą niezwykłą, uroczystą powagą, dającą się słyszeć wyraźnie w głosie młodego barbarzyńcy, spojrział na niego, został uraczony zapierającym dech widokiem potężnej klatki piersiowej wznoszącej się w ciężkim westchnieniu:

— A ja przed nimi nie uciekam! — oznajmił chłopiec całemu światu.

— Cóż... W moim kraju sagi wspominają i o tym, że człowiek iść musi drogą, którą mu wyznaczili na ziemi bogowie, drogą, która nań czeka od chwili narodzin. I schwytałeś Isparanę?

Conan wybuchnął śmiechem, domyślając się łatwo, że jego towarzysza bardziej niż los człowieka ciekawi los amuletu. Toteż odsunął na bok własne smutne wspomnienia i śmiejąc się potwierdził:

— Tak. W końcu tak.

I chłopiec zamilkł na długi czas, ciesząc oczy skrytą irytacją Khasseka, który musiał

powściągnąć nadmierną ciekawość.

Cienkie pasemka trawy, pojawiające się od czasu do czasu pomiędzy wydymami, zniknęły zupełnie — Conan i Khassek zbliżali się do serca wielkiej pustyni. Na południe od niej, na granicy piasków, wznosiły się mury Zambouli, jej wieże i lśniące w słońcu kopuły pałaców.

Na południowy wschód za Zamboulą rozpościerało się królestwo Iranistanu. Jakże daleko...

Teraz z kolei Khassek zastanawiał się, czy droga, którą jechali, zaprowadzi ich tam, do Iranistanu, czy też zupełnie gdzie indziej. Conan jednak te rozważania miał dawno za sobą i bez skrupułów zakłócił spokój swego towarzysza — tak jak przedtem nagle przerwał

opowieść, tak teraz powrócił do niej równie niespodziewanie.

— Kiedy tak jechałem samotnie przez piaski, natknąłem się na oddział żołnierzy z Samary.

Byli to porządni ludzie, podążali tropem złodziei, na północ. Kiedy okazało się, że ja zdążyłem już rozprawić się ze złodziejami, ci dobrzy ludzie pomogli mi w zamian uwolnić się od nadmiaru mych łupów... Na przykład od wielbłądów, z którymi w żaden sposób nie umiałem sobie poradzić.

— A kto to umie?!

— O, teraz już potrafię. W każdym razie pozostawili mi konie i trochę jedzenia — i dobrą radę: abym się trzymał z dala od pewnej przełęczy.

— Od Gardzieli Piaskowego Demona!

— Zgadłeś. O, pamiętałem o tej przestrodze bardzo dobrze... Dopóki nie ujrzałem

Isparany, wyprzedzającej mnie o kilka mil, akurat o tyle, ile nadrobiłbym lekko, jadąc skrótem przez przełęcz. Więc pojechałem.

— I żyjesz!!!

— I żyję, Khasseku, ale przyznam uczciwie, że chyba przez przypadek... Nie było nawet walki — ot, moje konie natychmiast uciekły, piaski powstały ze swego leża, uniosły się i zawirowały, formując kształt niby-ludzkiej, zasłoniętej mgiełką, postaci płynącej nad wydymą... Byłem bezradny jak dziecko, dusiłem się w tumanie pyłu, gdy to coś pochwyciło mnie... I nagle głos jakiś zahuczał wśród wirów, pytając, czy to ja jestem Hisarr Zul. Dławiąc się i ledwie dobywając głosu odrzekłem, że przeciwnie — ja przemierzam kraj, by dopaść i zabić Hisarra Zula. Nieco przesadziłem, ale — Conan mrugnął do Iranistańczyka łobuzersko

— ty, osobisty dostawca pachnideł królowej Koth, z pewnością potrafisz mnie zrozumieć?

Khassek nie odwzajemnił uśmiechu, pokiwał tylko głową, myśląc ze smutkiem, że chyba nikomu nie uda się przejść przez ten świat bez kłamstw. Trochę jednak zazdrościł chłopcu odwagi i bystrości umysłu, nie był pewien, czy sam odważyłby się okłamać demona, będąc przez potwora akurat

duszonym...

— Trudno dać wiarę, lecz demon wypuścił mnie wtedy z morderczych objęć, i

przysiadłszy na skraju wydmy, opowiedział mi swoją historię. Był rodzonym bratem Hisarra Zula, i od lat już dziesięciu ścigał okrutnego maga, by dokonać zemsty. Słusznej zemsty, bowiem Hisarr Zul oślepił go i zabił. Po śmierci przemieniony w demona, przez tych dziesięć lat ślepy Tosya Zul polował na ludzi, tkwiąc w ciasnej, głębokiej jak wąwóz przełęcz. Nie wiem, czy wiesz, Khasseku, że przełęcz ta usiana jest od krańca do krańca kośćmi, odzieniem, bronią... Bardzo ponure miejsce.

— Cóż, nie brak było takich, co nie wiedzieli, że na przełęcz zawładną nimi gadające piaski, ni głupców, co wybierali jazdę na skrót.

— Tak, nie brak było takich głupców jak ja! — Conan nie zamierzał się obrazić o to niezręczne, mimowolne porównanie. — Ale muszę przyznać, że gdy poznałem niedole Tosyi Zula, zrobiło mi się go szczerze żal. Obaj z Hisarrem od młodości studiowali mądrość starożytnych ksiąg, arkana wiedzy tajemnej, wszystko co przetrwało do naszych czasów po minionych czarnoksięskich potęgach. Poznali sekrety nieznane nikomu innemu pośród ludzi naszego świata, poznali naukę tych istot mrocznych, bezkształtnych, obcych zupełnie nam, mieszkańcom tej ziemi, istot, które czają się na szczytach świata i w ciemnych jaskiniach i w ruchomych piaskach spalanych słońcem. Obaj szukali Mocy. Gdy warzyli paskudztwa w swym domu w Zambouli, o ich czarnoksięskich praktykach zwiędział się khan, zaraz wysłał

swoich ludzi, by obu braci pojмали. Hisarr jednak był sprytny, oszukał i khana, i brata —

umknął w góry, zabierając ze sobą Tosyę i worki złota, i udawał przed bratem, że cała ich wiedza przepadła, bo cenne manuskrypty zostawił w pośpiechu w pracowni... Nie była to prawda, owszem, w domu pozostały na żer ludziom khana nic nie warte zwoje, lecz najcenniejsze rękopisy Hisarr miał przy sobie i nie zamierzał wcale dzielić się nimi z bratem.

Kiedy Tosya to odkrył, pokłócili się strasznie, wszak w czasie ucieczki Tosya ratował życie brata narażając własne, a teraz Hisarr okazał się oszustem i niewdzięcznikiem. Niestety...

Hisarr naprawdę był sprytniejszy. Udał skrucę, prosił Tosyę o przebaczenie — a potem, nocą, zamordował brata okrutnie i wypalił mu oczy, by Tosya po śmierci nie mógł znaleźć drogi do świata umarłych. I w ten oto sposób Tosya Zul został demonem, przez ślepotę uwięzionym w przełęcz... A Hisarr Zul powędrował do Arenjun, tam osiadł i doskonalił się w sposobach wykradania ludziom dusz, by mordowali dla niego, by go strzegli, by znosili mu złoto i czarnoksięskie księgi z całego świata. Czy wyobrażasz sobie, Khasseku — chciał

opanować królestwo za pomocą panowania nad duszami ludzi z otoczenia króla! Zaś Tosya, choć ślepy, wiedział co wyczynia Hisarr, i czuł, jak tamtej nocy szakale pożerają jego własne martwe ciało, i wiedział, co spotka ten świat, gdy Hisarr zdobędzie władzę. I Tosya mnie tłumaczył, jak to jest, gdy Hisarr Zul odbierze komuś duszę. Nie musiał tłumaczyć, na Croma, nie musiał!!!

— I ty stałeś tam i tak zwyczajnie, jak z człowiekiem, rozmawiałeś z demonem? Conanie!

Widziałeś go?

Zdumienie i podziw Khasseka były tak głębokie i szczere, że chłopiec musiał się uśmiechnąć.

— Stałem jak z tobą, mój przyjacielu, a widziałem go... widziałem przesuwającą się wolno kolumnę piasku, wysoką pod niebo, wirującą, migotliwą. Ale czyż to ma znaczenie?

Najważniejsze, że Tosya powiedział mi, jak mam odzyskać moją duszę. Otóż za wszelką cenę musiałem uchronić zwierciadło od rozbicia, bo gdyby ono się stłukło — nigdy już nie odzyskałbym duszy. Ale, i tu słuchaj uważnie, Khasseku, Tosya kazał mi doprowadzić do tego, by zwierciadło rozbił człowiek noszący koronę, bowiem ci, którzy mają władzę, mają też Moc — o czym sami nie wiedzą.

— No, no, ciekawe rzeczy opowiadasz, Conanie. Mówisz, że sami nie wiedzą?

Conan wzruszył ramionami. Dla niego i tak nic nie znaczyli królowie, ani królewska moc

— był dziki i wolny, był barbarzyńcą.

— No więc najpierw musiałem odzyskać zwierciadło, które trzymało moją duszę.

Rozumiesz, ani przez chwilę nie wątpiłem, że gdy tylko dostarczę Hisarrowi amulet, trzaśnie zwierciadłem o marmury posadzki, czyniąc mnie na wieki swoim niewolnikiem. A

tymczasem ja, wiedząc od Tosyi, co zrobić, by uwolnić nie tylko własną, ale i innych biedaków dusze, zacząłem myśleć, jak, by przechytrzyć tego potwora w ludzkim ciele...

Khassek widział, że szczęki Conana znowu się zwały, gdy przywołał w pamięci widok tych innych nie-ludzi, zdanych na okrucieństwo i chciwość Hisarra. Profil Conana rysował

się ostro, niby wykuty w granicie posąg któregoś z potężnych starożytnych bogów. Conan zaś mówił dalej spokojnie:

— Zdobyłem zwierciadła. Odciąłem głowę Hisarra Zula równiutko w połowie szyi.

Czaszkę, nozdrza i uszy zapchałem ziemią. I oddałem tę głowę na pastwę płomieni.

Khassek nie zadrzał, słuchając straszliwej opowieści, ani też nie przejął się losem czarnoksiężnika. Mruknął ze zrozumieniem:

— Ach, i wtedy warownię Hisarra Zula strawiły płomienie.

— Tak. Płomienie rozpełzły się z czaszki na wszystkie strony, i Hisarr zabrał dom swój ze sobą do piekła.

— Czy zdradzisz mi, jak go pokonałeś?

— Nie jest to żadna tajemnica, lecz... sposoby, które zdradził mi Tosya, były doprawdy...

— Conanem wstrząsnął dreszcz.

— Ciekaw jestem sposobów, które nawet dla Conana były zbyt straszne! Czy je pamiętasz?

— Ja chyba nigdy ich nie zapomnę, choć wierz mi — chciałbym. Tosya powiedział mi, że gdy umrze jego brat, on zostanie uwolniony i będzie mógł odejść do świata umarłych...

— Do piekła. To tam odchodzą takie złe dusze. Demony...

— Nie wiem, Khasseku. Czy Tosya był tak zły, że zasłużył na piekło? Nie wiem. Dla mnie Tosya był dobry. I podał mi sposoby... tylko co do wyboru któregoś długo nie mogliśmy się zgodzić, bo co jeden to okrutniejszy był, ha, takie są te czarnoksiężskie sposoby... W końcu po odrzuceniu innych zostały nam trzy najłagodniejsze, na przykład mogłem Hisarra Zula udusić włosami dziewczycy zamordowanej nożem wykonanym z brązu, a tuż przed wyrwaniem włosa, w chwili śmierci, tę dziewczycę należało uczynić kobietą.

— I...? Zgodziłeś się?

— Wiesz, chyba nie lubię gwałcić dziewczyc, a jeszcze do tego zabijać... Tyle ci powiem, że zrobiło mi się niedobrze i o mało co nie zwymiotowałem. — Conan zerknął na nagle pobladałą twarz Khasseka i roześmiał się. — Demon musiał zaproponować inny sposób, był zresztą bardzo prosty i skuteczny: należało utopić Hisarra w zatrutych wodach rzeki Zarkheby.

Niestety, trudność polegała na tym, że Zarkheba płynęła daleko, daleko, na krańcach państwa Kush. No, Tosya przypomniał sobie jeszcze jeden sposób: czarnoksiężnika można zarżnąć stygijskim nożem, żelaznym, wykutym w ogniu ze stosu ludzkich kości.

— Na bogów i krew bogów! — zawołał Khassek z drzeniem, którego nie próbował ukryć.

Stygia i jej czarnoksiężnicy, i te kości... Raz po raz Iranistańczyka przeszywał dreszcz.

— Ha, powiedziałem ci! Takie są te czarnoksiężskie sposoby! Ale w końcu demon wpadł na całkiem dobry pomysł, żeby czarnoksiężskie zaklęcia Hisarra obrócić przeciwko niemu, rozumiesz: on powie na przykład „zmień się w ropuchę”, a ja robię tak, że to on się zmienia...

Tyle że nie szło o ropuchę.

— Na bogów i krew bogów!!! — powtórzył Khassek, szarzejąc na twarzy. — Zrobiłeś to?!

— Tak.

Po chwili milczenia Khassek zapytał nieśmiało:

— Czy możesz mi zdradzić ten sposób?

— Nie. — Conan wypowiedział to słowo tak, że Khassekowi ścierpła skóra. Więcej nie pytał.

Chłopak po krótkiej przerwie, kiedy to zatrzymali się dla spożycia posiłku i

rozprostowania nóg, obolałych od długiej jazdy bez postojów i wypoczynku, opowiedział

Iranistańczykowi, jak to demon przeniósł go w obłoku piaskowego pyłu wiele mil na południe, do oazy. Tosya łudził się, że zastaną tam Hisarra Zula, ale Conan wiedział, że to zbliża się Isparana, by napoić wielbłądy. W oazie znalazł się przed nią. A Tosya wrócił do swej przełęczy i tam czekał na wyzwolenie, na śmierć Hisarra Zula.

— Demon—czarnoksiężnik dał mi wierną kopię amuletu, każde badanie wykazałoby, że to prawdziwy klejnot, Oko Erlika. Ale była to tylko nieszkodliwa, nic nie warta kopia. I gdy Isparana przybyła do oazy — podmieniłem amulet, zastępując go kopią. Isparana spała dość mocno, uśmiechała się nawet przez sen — Conan też się uśmiechnął na wspomnienie tej nocy z Isparaną. Khassek był na tyle dyskretny, że tym razem nie zapytał o szczegóły. — Isparana jest jednak, musisz o tym pamiętać, mój przyjacielu, kobietą. Dobra w mieczu, wspaniała w miłości — i niezrównana w zdradzie. Gorsza niż Hisarr Zul. W piaskach dogoniła nas karawana, jechali z Khawarizmu, a byli łowcami niewolników. Nietrudno zgadnąć, co stało się dalej... dość, że na skutek tego spotkania my też skierowaliśmy się na północ, jako ich towarzysze podróży, z tą tylko różnicą, że oni wolni, a my — w pętach.

— Dałeś się wziąć do niewoli? Takim...?

— Spróbowałbyś się nie dać! Oczywiście kilku zabiłem, kilku poraniłem tak, że długo mnie będą pamiętać. Ale ja byłem sam, ich było więcej.

„I jeszcze więcej trupów na szlaku barbarzyńcy”, ze smutkiem pomyślał Iranistańczyk, który mimo sprzeczności interesów coraz bardziej lubił walecznego chłopaka z gór, i szczerze żałował, że żadna z licznych przygód Conana nie mogła się obyć bez rozlewu krwi. Conan już jednak pienieł się ze złości, wspomniawszy zdradziecką naturę Isparany.

— Przeklęta Isparana, gorsza niż demony, wyrznęła mnie kamieniem w głowę, gdym się niczego nie spodziewałem, i próbowała uciec. Och, oczywiście ją złapali natychmiast, i na wszelki wypadek oboje nas zakuli w łańcuchy!

— Więc jakże, na Erlika i Drooda, udało ci się zbiec na otwartej pustyni, zakutemu w łańcuchy?

— Drood jest bogiem, którego nie znam... — rzekł z namysłem Conan, doprowadzając do rozpaczy Khasseka, ciekawego zakończenia przygody.

— To najstarszy z bogów, ciągle jeszcze czczony w Iranistanie — wyjaśnił krótko Khassek, zgrzytając zębami.

— A, rozumiem. Wracając zaś do mej opowieści — przyznaję, nie uciekłem. Pamiętasz, przedtem spotkałem żołnierzy z Samary, ścigających złodziei, teraz wyjechali nam niemal naprzeciw, będąc w

powrotnej już drodze. Dotąd wrzeszczałem, aż kapitan Arsil usłyszał

mnie. Żołnierze rozprawili się z łowcami niewolników i oto byłem wolny. Niestety, ponieważ jestem głupim dzieciuchem, pozwoliłem, by wolność odzyskała też Isparana. — Conan zaśmiał się gorzko. — Wtedy widziałem ją ostatni raz... Odjeżdżała na południe, do Zambouli, „eskortowana” przez Arsila i jego żołnierzy. Ja ruszyłem na północ z jej wielbłądami i końmi.

— A ona zawiozła fałszywe Oko do Akter Khana! Z pewnością syci się posiadaniem tak doskonałej ochrony przed złymi czarami.

— Nie.

— Nie?! Cóżżeś ty jeszcze wymyślił, Conanie?

— Nie ja. Hisarr Zul, by upewnić się, że amulet, który ma dostać za chwilę Akter Khan, jest prawdziwy, rzucił czar, sprawił, że kopia w okamgnieniu stopiła się na kawał żuzłu. Cóż, żałuję. Nawet Isparana nie życzyłem tak dotkliwych oparzeń. Zwłaszcza na piersiach, były naprawdę wspaniałe.

Jak niegdyś jego rodak, Ajhindar z Iranistanu, tak i Khassek w chwilach wielkiego wzburzenia reagował jedynym słowem:

— Cholera.

Conan zerknął na niego, a spojrzenie wąskich, jakby zmrużonych oczu pojaśniało, świeciły śliczną błękitną poświatą. Jak na oczy barbarzyńcy — zdumiewająco łagodne.

— Aha.

W sercu pustyni słońce zdawało się słać jeszcze bardziej palące, wprost zabójcze promienie. Niebo było niemal białe, gdy, niby w zwierciadle, odbijała się w nim wyblakła płaszczyna piasków. Khassek zdążył zatęsknić do widoku wzgardzonych wcześniej płatków żółto — białej spękanej skorupy, gdzie nad krawędziami szczelin połyskiwały szarawą zielenią pasemka wyschłej trawy.

— Conanie, czy nie zdarzyło ci się słyszeć jakiejś plotki, pogłosek mówiących o zniszczeniu wieżycy, która była pracownią niejakiego Yary, kapłana w Arenjun?

Conan pamiętał. I choć sama sprawa nie należała może do przyjemnych, na jej wspomnienie zachichotał.

— Może Yara rozgniewał boga, któremu służył nie dość godnie? I może zagniewany bóg strzaskał wieżę piorunem, jak spróchniałe drzewo?

— Może. A może to jest tak, że ja tu jadę przez przekłete piaski w towarzystwie postrachu wszystkich złych magów, i największego złodzieja wszechczasów?

Conan roześmiał się serdecznie. Lecz gdy milcząc jechali dalej, co chwila ocierając pot zalewający oczy, zastanowił się nieco, nad tymi słowami. Postrach złych magów? No cóż.

Miał kilka całkiem interesujących doświadczeń z bardzo sprytnymi czarnoksiężnikami. I przeżył. A oni — nie. I to właśnie było w tym wszystkim najciekawsze. I dlatego Conan zamyślił się nagle naprawdę poważnie.

CZARNOKSIĘŻNIK ZAMBOULI

— Na wiatr i posuchę! Stawiam swą prawą rękę w zakład, że to sprawka tej wiedźmy!

Otumaniała naszego Sarida! — Kapitan Arsil wznosił oczy ku niebu, tam szukając sił do zatrzymania opuszczającej go cierpliwości i wrodzonej łagodności charakteru.

Bowiem na tej pustyni, którą przemierzali Conan z Khassekiem, ale o kilka dni drogi od Zambouli, czterej żołnierze samaryjscy obudziwszy się rankiem odkryli brak eskortowanej przez nich kobiety i jej osobistego strażnika, żołnierza imieniem Sarid. Rozpętało się piekło

— przetrząsnęli pustynię, każde ziarnko piasku w okolicy obozowiska, zajrzeli pod każdą wydnię. Po dwójce uciekinierów nie było ani śladu. No, to znaczy: ślad był, ślad kopyt ciągnął się pośród wydm, i ginał tam, gdzie piaski przechodziły w ubitą przez wiatry, skamieniałą nieledwie, skorupę. O znalezieniu i schwytaniu pary zbiegów nie było co marzyć.

Kapitan Arsil wałnął pięścią w dłoń.

— Przeklęta wiedźma!

— Tak, kapitanie. To z pewnością jej sprawka. Sarid od początku wlepił w nią oczy. Od kiedy uwolniliśmy ją i Cymmerianina z khawarizmijskich łańcuchów, Sarid wyznaczył się na jej strażnika, nie odstępował jej nawet na krok, prawda. Żaden z nas nie pomyślał, że mogą coś knuć.

Inny żołnierz dorzucił:

— I żaden z nas nie pomyślał, żeby ich obserwować czy słuchać, o czym gadają podczas jazdy, w obozowiskach. A gadali dużo ze sobą...

— I namówiła go, i uciekł z nią! — w głosie kapitana Arsila dźwięczała rozpacz. — Sarid, mój Sarid! Zdrajca, porzucił służbę dla króla, porzucił mnie, nas... I to dla jednej zamboulańskiej dziwki rodem z Zaułka Skwatrów! Niech Tarim przeklnie dzień, w którym pozwoliliśmy, by Conan nam ją wpakował pod ochronę!

— Może ona umrze od tego poparzenia?

— Nie ma obawy — gorzko zaśmiał się kapitan Arsil. — Zbyt dobrze opatrzyliśmy jej ranę, zostanie ledwie mała blizna. Poza tym to zapamiętaj, Saliku, boś młody jeszcze: takie jak Isparana żyją wiecznie.

Salik, choć grosza by nie dał za to, że kapitan mówi poważnie, jednak zadrżał na myśl, że miał do czynienia z czarownicą, i ucieszył się, że wyszedł z tego cało.

— Kapitanie Arsil... Ona przysięgała, że jest agentem khana Zambouli, że zwierzęta i zapasy, które

zabrał Cymmerianin, należały do niej. A kiedy opatrywaliśmy jej to paskudne oparzenie, pamiętasz, kapitanie, krzyczała, że ten łotr, ten zdrajca, ma przy sobie amulet należący do khana. Które z nich mówiło prawdę? Wszak Conan mówił nam co innego...

Kapitan Arsil potrząsnął głową.

— Tak, Conan mówił co innego. Teraz zastanawiam się... Kamburze, czy ona i Sarid pojechali na północ?

— Na to wygląda, sądząc po śladach — rzekł trzeci żołnierz.

— Tak, odwróciła się plecami do Zambouli, choć była tak niedaleko! Bez wątpienia spróbuje wytropić Conana, żeby nie wrócić do khana z pustymi rękami. Cóż. Może ten smarkacz o dziwnych oczach i posturze barbarzyńskiego posągu okłamał nas... Choć polubiłem go, i myślę, że jeśli kłamał, to w dobrej wierze. Nie nam dochodzić, komu i po co potrzebny jest ten amulet... Tylko Sarida mi żal. Biedny chłopak, idę o zakład, że nie doczeka nowego księżycy. Conan go pożre przed nowiem. Na Tarima, mam nadzieję, że Conan posieka na kawałeczki także tę przeklętą czarownicę, bo przez nią to wszystko!

— Arsilu, kapitanie... Czy jednak nie powinniśmy pojechać za nimi?

— Nie, na Tarima — nie! Nie mam zamiaru reszty mojego życia spędzić na pustyni, ani was po niej ganiać w tę i z powrotem. Dzięki Conanowi odzyskaliśmy towary, które ukradli w Zambouli złodzieje, wracamy zwycięsko. Wracamy. I nie zamierzam powiedzieć dziewczynie Sarida, co się przytrafiło jej narzeczonemu. Ani... jego matce. A... dowódcy...? — kapitan jęknął z największą żalnością. Nawet gdyby ich w pień wycięto, cały oddział, nie byłoby takiej sromoty, jaką przyniosła ta zdrada jednego z nich.

— Uch. Może lepiej byłoby wszystkim, gdybyśmy przywieźli wieść, że Sarid zginął mężnie, w walce, i zabił wroga, lecz z ciężkich ran sam poległ?

— Ślicznie. A dzień później, albo za tydzień, Sarid pojawiłby się w Samarze, mając u boku tę... Nie! A więc, Kamburze i wy wszyscy: gdy będziemy przejeżdżać przez terytorium Zambouli — milczmy. Nie wspominajmy ani o Conanie z Cymmerii, ani o tej przeklętej Ispanie. Czy musieliśmy ich spotkać? Wszak pustynia jest wielka...

Kambur, Iranistańczyk w służbie Samary, z uznaniem skinął głową. Kapitan Arsil myślał

rozumnie, tak dla wszystkich było najlepiej — nic nie widzieli, nic nie słyszeli, pustynia jest wielka. Ale Kambur założyłby się o własne buty, że nad podziw odważny chłopak o oczach zimnych jak błękitne diamenty wykiwał ich wszystkich...

Przybory magiczne mieszały się w tej komnacie z rzeczami codziennego użytku, nawet po podłodze walały się czarki i stare kości, na stolikach pełno było puzder, kryształowych kul, jakichś szmat, trzcin, rylców. I nawet wypchane nastroszone ptaszyska krzywo gapiły się spod sufitu na krążącego po izbie gospodarza. Zafra, bo on tu właśnie był gospodarzem, przechadzał się po pracowni,

przystając raz po raz przed szklaną kulą większą niż inne znajdujące się w tym śmietniku. Wreszcie usiadł przed kulą ze skrzyżowanymi nogami i zapatrzył się w nią z uwagą. W kuli kłębiły się dziwne opary, to błękitne, to szare i doprawdy nie sposób było odgadnąć, co widzi w nich młody mag, wpatrujący się w mgłę z tak wielką uwagą.

Na piersiach Zafry kołysał się poruszony gestem nowy prezent od khana: olbrzymie koło, obrysowane matowym blaskiem sznura przecudnych pereł, w ich środku lśnił rubin w otoczeniu dwunastu topazowych gwiazd... Tak, ten sam naszyjnik, po który na dno lochu, po swoją śmierć, schodziła nieszczęsna mała Shanki. Lecz czarnoksiężnik zdawał się nie pamiętać już tragedii sprzed chwili czy też godziny — przebrany w jasną tunikę, wykąpany i świeży oderwał na moment wzrok od kuli, by spojrzeć w kryształowe zwierciadło na własne odbicie, na naszyjnik tak pysznie iskrzący lśnieniami na jedwabiu tuniki. Patrząc na naszyjnik nie mógł nie pamiętać o dwóch pierścieniach zdobiących niegdyś dłonie khana, a od dziś palce jego, Zafry, rąk.

Mgła w kuli zafalowała nagle, zawirowała, i w mgnieniu oka zniknęła. Kulę wypełniało już jedynie łagodne światło lamp. Zafra wstał, niedbale strzepnął kurz z aksamitnych spodni, szmatą podjętą z posadzki przetarł czubki czerwonych miękkich bucików. Przejrzał się jeszcze raz w kryształowym zwierciadle, a potem przeciął komnatę idąc krokiem człowieka zdecydowanego, pogwizdując przy tym cichutko. Zbliżył się do wysokich drzwi, zastukał w nie mocno dwa razy, i pogwizdując, powrócił do kuli.

Drzwi otwarto dopiero po kilku minutach, uchyliły się i stanął w nich łysy niewysoki mężczyzna. Zarost spływał mu po policzkach i szczęce bujną falą, lecz środek brody był

gładko wygolony, tworząc szeroki pas nagiej skóry. Mankiety, kołnierz oraz skraj ciemnobrązowej szaty zdobiły splątane pędy winorośli wyszyte na aksamicie szkarłatem. Na przegubie dłoni połyskiwała głębokim tonem mosiężna gruba bransoleta.

Ni on, ni mag nie odezwali się słowem, mężczyzna przytrzymał drzwi i Zafra przeszedł, nie spojrzawszy na tamtego. Wszedł do ogromnej, wysokiej komnaty, sklepienie pomalowane na kolor nieba powiększało jeszcze złudzenie ogromu przestrzeni. Podtrzymywały owo sklepienie kolumny na podobieństwo drzew rzeźbione, wyglądały jak żywe drzewa akacjowe.

Komnata była zupełnie pusta, tylko na końcu, pod ścianą, znajdowało się podium dosyć wysokie, a na nim tron. Wspaniałały tron z bezcennego drewna, w dodatku gęsto

inkrustowanego srebrem i złotymi ćwiekami, znaczącymi poszczególne elementy rzeźby, pięknie rysujące się miękkimi wypukłościami. Wyściełały go haftowane złotem i srebrem wygodne poduszki barwione szafranem, purpurą i indygo. Na poduszkach we wdzięcznej pozie spoczywał khan — dla maga nie musiał siedzieć sztywno jak na wszystkich

audiencjach, podparł więc brodę pięścią i w zadumie patrzył na Zafre. Zafra zaś idąc po puszystym dywanie zastanawiał się, ile kosztować może szata z kithajskiej materii, bladobłękitna, wycięta tak, by ukazywała w rozchyleniu fałd mocny szafran sukni, na którą była narzucona. Zafra westchnął w duszy z nadzieją, iż może wkrótce i on pozwoli sobie na tak zbytkowny strój — i wrócił do rzeczywistości. Gestem dał khanowi znak, khan skinął

głową.

— Hafarze, opuść nas.

Łysy porzucił swój posterunek przy otwartych drzwiach komnaty maga, wyszedł z sali przez małe drzwi, zamykając je za sobą starannie. Khan pytająco patrzył na maga. Zafra nie kazał mu czekać.

— Panie... — skłonił się, lecz nie nazbyt nisko. — Oko Erlika jest znowu w drodze na południe.

— I dobrze!

— Wiozą je Khassek z Iranistanu i Conan, barbarzyńca.

Rumieniec zniknął z oblicza Akter Khana, khan walnął pięścią w poręcz tronu.

— Niech piekło pochłonie... Zafro, który z nich ma Oko???!!!

— Panie, moc moja nie jest nieograniczona.

Choć oczy khana miały błyskawice, czarnoksiężnik stał nadal spokojnie, nie zdradzając najmniejszej obawy, skruchy, pokory... Bez lęku patrzył, zadarłszy nieco głowę, na miecz wiszący za Akter Khanem na złotych łańcuchach, mocowany do ściany złotymi klamrami, tkwiący w rękojeści równie kunsztownej roboty. Samotny na wielkiej białej ścianie rwał oczy przepyszną urodą. Zafra nieledwie uśmiechnął się do swych myśli, jednak puste spojrzenie wężowych oczu skierował na khana, twarzą także nie wyrażając nic.

— Ci dwaj podróżują razem, mój dobry khanie, i mogę być pewny jedynie tego, że amulet ma któryś z nich. Lecz który? Nie wymagaj ode mnie zbyt wiele, mój panie...

— Zafro — khan z namysłem zawiesił głos. — Masz u mnie chyba dobre utrzymanie. I chyba nie traktuję cię źle. Ty rządysz tu, Zafro, twoja komnata przylega do mojej, na jeden twój znak opróżniłem moją komnatę odprawiając visira. Czy zbyt wiele wymagam, chcąc wiedzieć wszystko???

— Khanie: nikt, czy pojmujesz? Nikt na ziemi nie zdoła powiedzieć ci dziś o Oku więcej niż ja! — Zafra skłonił się. — Który z nich wiezie Oko, dowiemy się wkrótce, gdy będą bliżej nas. I na razie nie ma potrzeby czynić cokolwiek, ja czuwam, i to wystarczy.

— A jeśli, mój mądry magu, oni zбочą na wschód, mijając Zamboulę w drodze do...

Iranistanu?

— Ja czuwam. Panie, oni są na południe od Drogi Królów. Lecz jeśli nawet skreśliliby później ku morzu, jak wyobrażasz sobie pościg? O ile wiem, nie ma sposobu, by nasi ludzie zdążyli przeciąć im drogę. Pomyśl o ziemskich sposobach panie, mnie zaś pozwól skupić się nad magicznymi.

Khan patrzył na swego maga, i Zafra pomyślał, że wprowadzie wobec khańów nie używa się

pospolitych określeń, dotyczących zazwyczaj gminu lub zbójów grasujących po drogach, ale akurat teraz można było o khanie powiedzieć, iż patrzył spode łba. Widać było, że sam nawykły do kłamstwa i zdrady, nie jest w stanie zaufać magowi. Zafra wyprostował się dumnie, odwracając wzrok od palców khana bębniących po poręczy tronu.

— Cokolwiek uczynisz, panie, uczynisz mądrze. Wysłuchaj jednak tego, co przez moje usta mówi ci mądrość przedwieczna, ona cię nie zawiedzie. Ona nie zawodzi nigdy tych, których sobie upodobała.

Paznokcie Akter Khana skrobały srebro inkrustacji, palce nerwowo przemierzały poręcz od początku do końca i z powrotem. Nagle uniósł głowę, dłonie spokojnie złożył na kolanach.

— Pilnuj tych dwóch, mój Zafro. Melduj mi o nich trzy razy każdego dnia, nie rzadziej.

Przyjdź natychmiast, jeśli zrobią cokolwiek niepokojącego. Lub... gdy dowiesz się, który ma Oko.

— Tak, panie — tym razem Zafra skłonił się prawie do ziemi, aż musiał przytrzymać kapelusz. — Wiemy dużo, mój khanie, wiemy, że amulet zbliża się do nas.

— Lub do Iranistanu. I twoją rzeczą jest sprawić, by nigdy tam nie dotarł. Czy rozumiałeś?

— Tak, panie. Będę mego pana powiadamiał o każdym ruchu jego amuletu.

— Ummm... — Akter Khan, pokazawszy swą gromowładną pięść, teraz postanowił

pogłaskać maga, okazać łaskawość. — Jeżeli sprowadzisz mi Oko, mój Zafro... Jeżeli sprowadzisz mi Oko Erlika bezpiecznie... — głos khana obiecywał magowi niezmierny ogrom łask, gdy Zafra stał cichy, z opuszczoną głową. — Ummm... Ciągle jeszcze nie wiemy nic o Ispanie i Karameku. Niech to zaraza. Ummm... Zaczynam dopuszczać niemiłą myśl, że obraziłem któregoś z bogów. Rozsądnie będzie złożyć daninę na początek dla Erlika i Yoga. Hafar! Hafar!!!

Oznaczało to koniec rozmowy. Zafra wycofał się cicho, znikając w czeluściach swojej pracowni. Akter Khan, nieledwie wykręcając kark, obejrzał się na miecz — lubił patrzeć na ulubiony oręż, lubił marzyć... Tyle chciał osiągnąć mając na piersi Oko Erlika a u boku miecz, ten miecz.

A Hafar, przytrzymując dłońmi ciężki srebrny łańcuch, by nie chrzęściły nazbyt ozdobne ogniwa, zastanawiał się, czym miecz ten stał się dla jego pana i co z tym wspólnego mają wyraźnie widoczne, rosnące z chwili na chwilę wpływy czarnoksiężnika...

Tymczasem Zafra zamknawszy za sobą drzwi, oparł się plecami o nie, aby chwilę

odetchnąć po tej trudnej rozmowie — i oniemiał: w komnacie była kobieta.

Stała jak posąg, wysmukła statuetka zrobiona z brązu. Gdy patrzył na nią nic nie pojmując jeszcze, uśmiechnęła się lekko, kusząco... I pozwoliła, by przejrzyste okrycie spłynęło z niej, by rozlało się na posadzce kroplą ametystu. Na tym polegał wdzięk Tygryscy.

Zafra oprzytomniał.

— Chia... — wyszeptał. I potrząsając głową mówił prędko: — Chia, nie wolno było

więcej ci tu przychodzić. Czy mam przed tobą zamykać drzwi?

Uśmiechnęła się, niczym rozleniwiona kotka przeciągając się i kołysząc. Wysunęła nieco w przód prześliczne biodro. Na biodrze połyskiwał cieniuseńki jak nitka złoty łańcuszek spływający z krągłości jej cudownego brzucha. Ów łańcuszek był wszystkim co miała na sobie, no, jeszcze pierścienie, będące prezentem od khana. Zafra czuł, że coraz mocniej kręci mu się w głowie.

— Byłam ostrożna, byłam jak duch... Khan się nie dowie. Chodź, chodź i spraw, by twoja tygrysica znowu zaczęła mruczeć...

Świat zawirował przed oczami Zafry. Ruszył na spotkanie idącej ku niemu dziewczyny, i tylko jeszcze gdzieś w zakamarkach mózgu błysnęła mu myśl, że oto niezaprzeczalnie pierwszy faworyt khana tuli w ramionach niezaprzeczalnie pierwszą faworytę khana. To było nawet podniecające...

ISPARANA Z ZAMBOULI

— Spokojnie, Żelazna Głowo, spokojnie, chłopcze! Mamy to już za sobą — Khassek uspokajał swego wierzchowca, używając najczulszych słów na zmianę z krótkimi cięciami batem. — Przebyliśmy tę straszną przełęcz, nawet z daleka nie widząc śladu demona czy ducha! Conanie... — uporawszy się ze znarowionym zwierzęciem Iranistańczyk ściągnął

wodze, by zrównać się z towarzyszem. — Przepraszam cię za to, że wątpiłem. Że wątpiłem w prawdziwość twojej opowieści, i w to, że nie ma już piaskowego demona w jego przełęczy.

Wybacz, dobry człowieku. Ba, czemu człowieku — herosem jesteś, Conanie!

Conan uprzejmie skłonił głowę. Heros? Dlaczego nie? Tak się jakoś złożyło, że już zapomniał zupełnie, iż w owym czasie tylko chłopięcy brak rozwagi i najzwyczajsza brawura kazały mu puścić się drogą przez przełęcz, i że tylko szczęście lub opieka któregoś z dobrych bogów wyratowały go od śmierci w uścisku piaskowego demona, podsuwając mu właściwą odpowiedź na pytanie Tosyi.

— Ten skrót pozwala zyskać dzień w drodze do Zambouli — rezonował Khassek,

obdarzony wyraźnie kupiecką naturą — warto więc pomyśleć, ile to warte, bo dla nas na przykład okazało się wprost bezcenne. Pomyśl, Conanie, ty zwyciężyłeś demona, więc przełęcz jest twoja. Gdybyśmy zaczęli pobierać myto...

— My? — grzecznie zdziwił się Conan. — Zresztą, mój przyjacielu, wiedzę o przełęczy moim zdaniem powinniśmy zatrzymać na razie dla siebie. Zbyt wiele byłoby pytań, a my potrzebujemy jak najdłużej pozostać w cieniu i milczeć.

— Rozumiem, amulet. — Khassek westchnął sobie z żalnością. I po krótkim namyśle dodał

niewinnie: — Wiesz, ja byłbym chyba spokojniejszy, gdybyś mi go pokazał.

Z gardła Conana dobył się dźwięk, który Khassek wziął za lekki bronchit lwa gdzieś tu w pobliżu na pustyni, nim pojął, że to nie kaszle lew — że to Conan się śmieje.

— Ja zaś będę spokojny, kiedy zobaczę, iż ty cieszysz się szczerze, gdy wspólnie podamy amulet na tacy twemu panu. Oj, Khass, Khass... Widziałeś przecie, jak raz odjechałem w piaski i wykopałem go. Mam, mam ten amulet, Khasseku. My mamy Oko Erlika. Wierzysz mi?

— Lubię cię, przyjacielu. Pokazałeś, jak dobrym jesteś wojownikiem, nie brak ci także sprytu, rozumu... Myślę też, że jesteś uczciwym chłopcem.

— Gdybym miał więcej sprytu i rozumu, bez wątpienia byłbym o wiele mniej uczciwy —

odrzekł filozoficznie Conan, choć twarz mu okrył rumieniec gniewu, gdy padło słowo

„chłopiec”. Mimo że czasem sam tak siebie nazywał, nie lubił, gdy mówili tak o nim inni.

Khassek udał, że nie zauważył rumieńca.

— Wątpię, Conanie. Lecz tak czy owak — znam mego pana, wiem, że nagrodzi rzetelnie nas obu. Nie mam najmniejszego powodu, by próbować ci wykraść amulet lub życzyć ci źle.

A nawet gdybyśmy mieli być wrogami, przyznaję, że wolę jechać przez piaski w twoim towarzystwie niż sam.

Conan parsknął śmiechem, a widząc zdziwienie w oczach Khasseka, wyjaśnił pospiesznie:

— Nie z tego, co mówiłeś, począłem się śmiać, tylko dlatego, że wspomniałem kogoś, kto bez wątpienia życzy mi jak najgorzej, i ma dosyć powodów, by próbować skraść mi amulet, a już najchętniej: zabrać amulet, a moje zwłoki rzucić na żer padlinożercom!

— Myślisz o tej zamboulańskiej dziewczce?

— Zgadłeś, mój przyjacielu!

— Jak sądzisz, miała na szyi ten amulet, gdy Hisarr Zul zaklęciem zamienił go w żużel?

— Tak właśnie sędzę. O, biedna, biedna Isparana. Lubiłem ją, wiesz? Dobry z niej złodziej, i jaka sprytna, zręczna... I tak przyjemnie na nią patrzeć!

— Więc pewnie się napatrzyłeś, nim poniosła słuszną karę za złodziejstwo — rzekł

Khassek wesoło, zapomniał bowiem zupełnie, że i sam był złodziejem, i podróżował w towarzystwie złodzieja... — Czy miałeś ją?

— Nie.

— No cóż. I tak bywa. A teraz za późno, jej śliczne piersiątko zeszpeciły blizny.

— Pewnie zeszpeciły.

— I nie miałeś jej przedtem. Jakie to smutne, mój przyjacielu — Khassek wybuchnął

gromkim śmiechem, Conan mu zawtórował, i tak śmiejąc się jechali na południe, zostawiając za sobą gardziel Przełęczy Piaskowego Demona i Smocze Wzgórza.

Podróżowali teraz w wolniejszym tempie, częściej biorąc pod wierzch juczne konie w miarę ubywania dźwiganych przez nie zapasów, aby oszczędzać wierzchowce i mieć je świeże na wypadek pościgu czy innego nieszczęścia. Khassek każdego, na którym akurat przypadło mu jechać, nazywał Żelazną Głową, tak przynajmniej objaśnił Conanowi iranistańskie słowo, lecz Conan przypuszczał, że w rzeczywistości imię to brzmiało raczej Zakuty Łeb, lub jakoś podobnie. Wierzchowiec Conana, rodem z jednej z najlepszych stajni Shadizaru, szybko nauczył się reagować na niewymyślne imię

Koń. I Khassek, i Conan zbyt wiele ulubionych koni stracili już w bitwach i innych przygodach zsyłanych im przez bogów, aby przywiązywać się do zwierząt i za chwilę znów opłakiwać stratę ulubieńca. Również ich konie niejednego miały już w życiu pana, i było im obojętne, jak je kto nazywał. Tyle tylko, że wierzchowce boczyły się nieco, gdy kazano im zmieniać się w juczne, a juczne buntowały się zmuszane do biegu. Conan te humory znosił z filozoficznym spokojem, Khassek jednak kilka razy omal nie wyładował na ziemi. Pustynia kilometrami wlokła się monotennie, i gdyby nie nieliczne punkty orientacyjne, mogliby myśleć, że tkwią w tym samym miejscu, nie posuwając się nawet kroku do przodu, toteż kaprysy wierzchowców były dla Conana nieledwie miłym urozmaiceniem, gdy zmęczeni rozmową wlekli się milcząc pod palącym słońcem. Barbarzyńca oddawał się rozmyślaniom o tym co było, o tym co będzie, o naturze zwierzęcia, o naturze pustynnych wichrów. Khassek drzemał kiwając się w siodle lub skracał

sobie czas pogwizdując iranistańskie melodie.

— Isparana, mój przyjacielu — chłopak zdecydował się wrócić do przerwanej rozmowy —

próbowała mnie zabić. Nawet dwa razy. I w końcu jeszcze ten raz. Czyli trzy. I zostawiła mnie na pustyni, wiedząc, że mogę zginąć z rąk tych khawarizmijskich łotrów. I pomyśl, ja ją z rąk łowców niewolników uratowałem, chociaż to przez nią, po tym jak ogłuszyła mnie zdradziecko, dostaliśmy się w łańcuchy i gdyby nie trochę szczęścia, może zginęlibyśmy marnie, dzieląc los innych niewolników. Och, Khass... Lata mijały mi w niewoli boleśnie.

— Lata?

— Czyż nie wiesz, że dla Cymmerianina dzień bez wolności jest jak rok?

Chłopak powiedział to z takim przejęciem, że Iranistańczyk musiał uśmiechnąć się w duszy. Ale, ogólnie rzecz biorąc, zgadzał się z chłopcem w pełni — dla Iranistańczyka pół

dnia niewoli jest jak rok.

Lecz teraz byli wolni, i Khassek poprawiając spodnie uwierające go w kroku i podciągając szarfę służącą za pas, zapytał jak zwykle niewinnie:

— A co z Okiem, Conanie? Skoro Hisarr na odległość umiał dostrzec i zniszczyć kopię, to musiał widzieć także oryginał.

— I widział je. Przywieźć amulet Hisarrowi to było moje zadanie, wyznaczył mi czas...

Widział. Po prostu amuletu nie dostał.

— Opłakałem go rzęsiстыми łzami... Ale, widzisz, Conanie, wydaje mi się nieco dziwne, że ty, po tym jak wróciłeś do Arenjun, jak pokazałeś amulet Hisarrowi, jak Hisarra zabiłeś i odzyskałeś swą duszą... nagle ruszyłeś znów w pustynię tylko po to, żeby zakopać tam amulet. To nawet więcej niż dziwne.

— Nie wierzysz mi? — głos Conana pobrzmiwał dziecinną goryczą, jak u chłopca, co zaraz ma się

rozplakać, bo matka nie wierzy, że nie zjadł konfitur. Poza tym jednak Conan jechał spokojnie, zajęty poprawianiem opaski, z wdziękiem noszonej na czole, by chroniła oczy przed spływającym potem.
— No cóż.

Khassek ściągnął wodze Żelaznej Głowy, by zrównać się ze znacznie pozostającym w tyle Koniem Conana.

— Od tamtej pory bardzo dbasz, by zawsze być za mną, synu Cymmerianina!

— No cóż — rzekł Conan. Obaj parsknęli śmiechem. W końcu chłopak potrząsnął głową:

— Słusznie. Gdyby moja historia była kubłem, z pewnością nie utrzymałaby nawet kropli wody, jest tak dziurawa jak stare sito. Masz rację. Nie zagrzebałem Oka Erlika w piaskach pustyni.

— Pewnie! — Khassek teraz klepnął się w czoło. — Ukryłeś je w Arenjun? Przy koniach!

— Przez cały czas miałem je przy sobie, Khasseku...

To łagodne wyznanie Conana sprawiło, że Khassek bluznął tysiącem przekleństw w kilku językach, powołując się przy tym na parunastu bogów. Conan błysnął zębami w szerokim uśmiechu i z aprobatą pokiwał głową: tej klasy wiązanka znakomicie poprawia

samopoczucie. A poza tym dobrze jest umieć mówić w kilku językach, to bywa w życiu bardzo pomocne...

— Ale... dlaczego???!!!

— Och, z bardzo prostego powodu: wołałem upewnić się, że uciekać będziemy we dwóch, bo bardzo cię polubiłem, mój przyjacielu, i nie chciałem się z tobą rozstawać. Ale wołałem też być już bardzo daleko za Shadizarem i za Arenjun, gdy przyjdzie pora rozmawiać o talizmanie, bo gdy jesteśmy tu tylko we dwóch, to chyba sobie z tobą poradzę. No, przyznaj

— czy w moim myśleniu zabrakło rozumu?

— Wołałeś się ze mną nie rozsta... Wołałeś mieć mnie na oku, nie za plecami, wołałeś, bym ci nie ściągnął na kark oddziału jezdnych... Ty przebiegły, zrodzony w skałach barbarzyńco!!! — ryknął zaśmiewając się Khassek.

— Ty posępny wężu pustynny!!! — zawtórował mu Conan, szczerząc zęby.

Ale Khassek ściągając wodze swego wierzchowca, by spojrzeć na Conana i przy okazji zobaczyć grań ostrych jak brzytwa wzgórz zwanych Smoczymi, pozostającą daleko w tyle na znak przebytej dzisiaj przez konie drogi, wspiął nagle konia i tylko wrzasnąwszy: — Łap mego konia! — zeskoczył z siodła.

Żelazna Głowa i Conan jednakowo zgłupieli. Stali gapiąc się na Khasseka, który z nożem w zębach rzucił się na skraj wydmy i nagle jego sztylet błysnął w słońcu, zgrabnie ciśnięty wprawną ręką.

Po chwili Khassek wrócił, uśmiechnięty od ucha do ucha, powiewając jak proporcem — obrzydliwą tłustą jaszczurką.

— Mięsko na kolację! — oznajmił radośnie.

Piach chrzęścił pod butami Iranistańczyka, gdy niósł swą zdobycz.

— Uff — sapnął Conan, któremu zrobiło się niedobrze.

— Nie krzyw się. To ucztą w porównaniu z tym solonym mięsem, które jemy od dnia wyjazdu — Khassek nie przejmując się minami Conana przeciągnął jaszczurkę przez pętlę na boku cholewy buta, potem niespiesznie dosiadł konia.

— Jeszcze się przekonasz, ile wart jest w pustyni ten tłusty, świeży kąsek.

Conan nic nie powiedział, ale wieczorem, gdy upiekli jaszczurkę nad ogniskiem z suchego wielbłądziego łajna, musiał przyznać, że jaszczurka pustynna smakuje nie gorzej niż najświetniej przyrządzona wołowina i bez trudu można takie danie polubić. Było jednak coś jeszcze, co Conan postanowił sobie zapamiętać: umiejętność Khasseka, a nawet talent, rzucania nożem. W przyszłości ta umiejętność bardzo mogła się przydać.

O świcie ruszyli dalej. Wielkie oko słońca płonęło nad pustynią, zdawało się, że w południe spali na popiół nawet piach. Już dwa dni wcześniej nos Conana zaczął obłazić ze skóry, dziś chłopak obawiał się, że przyszła kolej na żywe ciało — obleźć ze skóry, obleźć z ciała, obleźć z kości... Conan pomyślał, że chyba rozum traci z tego żaru, i ucieszył się, gdy Khassek, mniej wrażliwy na upał, zagadnął go, powracając do przerwanej opowieści.

— Conanie, wróćmy jeszcze na chwilę do Isparany... Po tym, co ci zrobiła, ty uwolniłeś ją i oddałeś pod opiekę swoim samariańskim przyjaciom, tak?

— Tak. Nikomu nie życzę niewoli, Khass. W końcu: ona wiernie służyła swemu panu, a ja byłem jej rywalem w wyścigu po Oko, a więc — byłem wrogiem. Jak na wojnie, Khasseku.

Ona dobrze służyła khanowi Zambouli. I chociaż mogłem przez nią stracić życie, nie miałem przecież powodu, by darzyć ją pogardą czy nienawiścią i skazać na niewolę, na lata cierpienia i poniżeń. Zrobiłem to, co powinienem był zrobić.

— To, co uważałeś, że powinieneś zrobić.

Conan ściągnął z czoła opaskę i wyżał ją z potu, słone krople strużką ściekły w piach.

— Przecież to dokładnie to samo... Dla Cymmerianina — zauważył z uśmiechem, okręcając na powrót czoło opaską.

— Ja nie musiałbym jej uwalniać. To nie jest to samo dla Iranistańczyka.

— Zapamiętam to sobie, Khasseku z Iranistanu.

— Conanie! Jesteśmy przecież przyjaciółmi!

— Więc po prostu trzymaj się zawsze z przodu, tak, żebym mógł cię widzieć, Khasseku, mój przyjacielu.

I choć na wspólnej podróży przez piaski upłynęło im już kilka dni, upieczonych na słońcu niczym słodkie placuszki — Conan nadal ani myślał zdradzić „przyjacielowi” miejsca, w którym ukrył amulet. Choć wiele razy Khassek łudził się, że wreszcie je odkrył, Conan tylko uśmiechał się tajemniczo, mrużąc w tym uśmiechu swe wąskie oczy podobne dwóm

odpryskom pogodnego nieba.

Wyjeżdżając zza wydmy Khassek pierwszy wpadł na parę jadącą z przeciwka. I tamtych, i jego jednakowo zaskoczyło spotkanie, ścigali gwałtownie wodze osadzając konie na zadach.

Conan jadący tuż za Khassekiem ujrzał nagle przed sobą żołnierza w spiczastym hełmie, z brodą rozdzieloną w dwa loki na sposób samariański. Za plecami żołnierza drobniejszy jeździec otulony jallabą i z twarzą zasłoniętą przed piaskowym pyłem bystro wpatrzył się w przybyszów i z nagłą wykrzyknął:

— Saridzie, to Conan!!!

— Co, do... — Khassek nie zdążył dokończyć, sięgał po miecz, gdy koń stanął dęba, o włos od runięcia w tył i zmiążdżenia swojego jeźdźca. Khassek przytomnie chwycił się końskiej szyi, czekając aż spłoszony koń spadnie na cztery kopyta. Lecz Sarid nie czekał, i nim ręka Iranistańczyka dotknęła rękojęści, miecz Sarida błysnął, ostrze cięło twarz Khasseka od oka po brodę. Zalany krwią Iranistańczyk bełkotał, płaty szkarłatnej piany plamiły bluzę na piersiach, strzępy języka i warg zsunęły się po nogawce bufiastych spodni i spadły na piach...

Tak, Sarid nie czekał. Nim Khassek zrozumiał, co się stało i trwał nieruchomy, odchylony w siodle do tyłu, zmartwiały — Sarid ciął drugi raz. Stał przeorała z chrzęstem cały bok twarzy. Khassek runął bezwładnie na ziemię, spadając niczym ciężki wór. Wił się po piasku, jęcząc nieludzko w potwornym cierpieniu.

Conan dotąd nie zrobił nic! Zaklinowany w wąskim przejściu, liną związany z jucznymi końmi mógł tylko patrzeć, jak o trzy kroki przed nim ginie w męczarniach Khassek... Z

sercem porażonym rozpaczą spojrział w płonące oczy Sarida. I ryknął jak dziki zwierz...

Spłoszony rumak Khasseka runął do przodu. Roznosząc niemal konie Sarida i Isparany utorował sobie drogę w przód. Conan jednym cięciem miecza uwolnił się od jucznych szkap, wspiał ogiera i gdy kopyta przemieliły powietrze nad głową Sarida — rycząc wściekle natarł

na wroga.

— Uciekaj, głupcze! — zawył Sarid, ruszając na spotkanie Cymmerianina. Popełnił

tragiczny błąd... Starli się, jakby biorąc udział w turnieju, lecz Conan teraz na całej ziemi nie znalazłby równego sobie przeciwnika. Barbarzyńca z rykiem wznosił miecz i ostrze wbiło się w lewe ramię Sarida, przechodząc przez mięśnie bez żadnego wysiłku.

Rozpędzony Koń barbarzyńcy nie zwolnił, Conan poczuł, że miecz wbity w ramię

Samarianina odwraca mu rękę przez bark do tyłu, skręca w łokciu w spiralę, a potworny ból daje znać, że stawy tego nie wytrzymają. Rozwarł palce pod wpływem tego bólu, pociemniało mu przed oczami. Krzyknął. I koziołkując rąbnął o ziemię, niemal wbijając się w piach. Tylne kopyto bojowego gniadosza Sarida o palec minęło głowę Conana... Zaprawiony w

pojedynekach gniadosz zwolnił i prawie w miejscu wykonał przepisowy zwrot, zahaczając o sakwy na boku jucznego konia. Sarid wrzasnął z bólu — lewą nogę mógł spisać na straty.

Conan poderwał się z ziemi, w lot pojmując swą szansę. Szczęście mu dopisało, znów jakiś dobry bóg czuwał i sprawił, że wspaniale wyszkolenie samariańskiego rumaka obróciło się przeciw żołnierzowi. Jednym skokiem Conan dopadł wroga, z nadludzką siłą pociągnął, szarpnął, zakręcił zranioną nogą Sarida. Ściągał go z siodła, a Sarid wrzeszcząc bronił się wściekle, tnąc na oślep sztyletem, Conan zręcznie unikał ostrza, aż wreszcie udało mu się obalić przeciwnika i cisnąć nim w piach. Bryznęła fontanna jasnego pyłu — i zabarwiła się krwią. Sarid jęknął cichutko. Westchnął.

Barbarzyńca z mieczem gotowym do ciosu cofnął się. I nagle opuścił miecz. Wierzchem dłoni stał pot z oczu i ust, potem pochylił się, i końcem ostrza podważywszy ciało Sarida przewrócił je na wznak. Martwe oczy żołnierza patrzyły w słońce. W piersi Sarida tkwił jego własny nóż. Conan zatoczył się. Usiadł na piasku przy zwłokach. Przed chwilą skonał tu Khassek, a teraz ten... Bogowie!!!

I choć był bardzo dużym chłopcem i nawykłym do grozy pól bitewnych mężczyzn, poczuł, że ma ochotę zapłakać.

I może zapłakałby, gdyby nie przypomniało mu się, że w spotkaniu wzięła udział Isparana!

Główna przyczyna obu tych niepotrzebnych śmierci! Przeklęta Isparana!

Podniósł głowę, by się rozejrzeć — uczynił to w samą porę, Isparana bowiem, niczym mityczna bogini walki, cwałowała prosto na niego, z mieczem w dłoni, z nienawiścią na odsłoniętej już twarzy. Conan na chwilę skamieniał, widząc tę rozpędzoną furję, śmigły pustynny konik Zamboulanki zbliżał się na podobieństwo trąby powietrznej... Conan parsknął śmiechem, odczekał, i gdy koń był o krok, barbarzyńca jedną ręką pochwycił wodze, drugą sięgnął po amazonkę.

Koń stanął dęba i nie przewrócił się tylko dlatego, że Conan swą niesamowitą siłą zdołał

utrzymać go w miejscu, lecz Isparana straciła równowagę, wylatując z siodła runęła bezwładnie w ramiona Conana, zbijając go z nóg impetem uderzenia. Upadli na ziemię.

Zaplątana w długą szatę kobieta nie miała wielkich szans, choć walczyła jak lwica — Conan, bawiąc się tylko, ani na mgnienie nie wypuścił jej z uścisku potężnych ramion.

Przez moment jednak Isparana była górą, leżała, przygniatając barbarzyńcę do ziemi swym drobnym, ale zdumiewająco prężnym, gibkim i silnym ciałem. Conan zobaczył nad sobą jej oczy, gorzały nienawiścią i żądzą krwi, a promień słońca prześliznął się po krawędzi ostrza, gdy wzniosła nad głowę sztylet, by zadać zabójczy cios. Conan zaśmiał się, chwycił

nadgarstek Isparany w dłoń i zacisnął palce. Patrzył, jak drobna kobieca dłoń bieleje, jak palce rozwierają się wolno. Sztylet wypadł z bezsilnej dłoni. Wrzasnęła wściekle. Ostrze spadając otworzyło przód jej jallaby prawie do pępka, tnąc równo materiał. Conan śmiejąc się ogarnął jednym spojrzeniem ów widok doprawdy zachwycający: jej ślicznych piersi nie zeszpeciła żadna blizna! Wciąż były krągłe, i smągła skóra pięknie kontrastowała z jasnożółtym kolorem bawełnianego pasa, który podtrzymywał szerokie bufiaste szarawary.

Isparanie zdawało się jeszcze, że walczy o życie, i tym zacieklej walczyła, iż czuła, że nie tylko o życie tu chodzi. Znów potoczyli się po piasku, raz Conan był górą, raz ona, a gryzła przy tym, kopała wierzgając nogami jak oszalała klacz, jej paznokcie raz po raz orały mu skórę na twarzy i ramionach. W końcu leżąc na niej, przydusił dziewczynę mocniej do ziemi.

Gdy ugryzła go w rękę, puścił ją na mgnienie, by wymierzyć siarczysty policzek.

— Niech cię diabli, NIE!!! — krzyknęła i szarpnęła się dziko. Zaśmiał się tylko i przydusił ją mocniej, sięgając do krągłości jej piersi. Wiła się pod nim mokra od potu i łez, jeszcze próbując drapać i gryźć. Lecz Conan wkrótce ujrzał niewielką bliznę na jej biodrze, ślad po spalonym amulecie. Dotknął ustami krawędzi blizny.

W oczach Isparany nie było już nienawiści.

DZIWNE STOSUNKI

W drodze na południe Conan i Isparana wjechali teraz do iście mitycznej krainy —

pośrodku Serca Pustyni piętrzyły się wydmy tworząc niezbyt wysokie wąwozy, nad którymi, nigdy nie przefrunął ptak, w których nigdy nie odezwał się głos inny niż tylko skrzywienie ziaren piasku prażonych upałem. Słońce było tutaj wszechwładnym panem, niebo i ziemię wypełniając żarem nie do wytrzymania ni dla człowieka, ni dla zwierzęcia.

Jednak Conan uparł się jechać najkrótszą drogą, więc jechali. Konie posuwały się noga za nogą, nisko zwiesiwszy głowy. Isparana wiodła na postronku cztery juczne konie, prócz zapasowych siodeł dźwigały ciężkie sakwy; zarówno wierzchowce, jak konie juczne sierść miały zmydloną, białą od słonego potu, którego strużki ciekły spod siodeł i juków. Ta kraina nie była dla żywych istot, nawet Conan to czuł...

Isparana i Conan stanowili przedziwną parę. On wysoki i krzepki, piękny jak starożytni bogowie, odziany był w śnieżnobiały czyściutki burnus, wyjęty niedawno z sakw, włosy czarną grzywą sięgały na czole szerokiej skręconej przepaski z bawełny barwionej szafranem zatrzymującej strumyki potu tuż nad czarnymi brwiami, a wąskie niebieskie oczy iskrzyły wesołością na przekór przeciwnościom losu i trudom podróży. Isparana była od chłopca starsza, lecz wiek nie dawał jej nad nim żadnej przewagi, zaś nieustanne pamiętanie o własnym wieku, gdy jechała obok Conana, doprowadzało Isparanę niemal do łez — ze złości, rzecz jasna. Lecz przecież nie była ani stara, ani brzydka, coś takiego mogłaby o niej powiedzieć jedynie inna, zawistna kobieta. Podłużna twarzyczka o mocno zarysowanych kościach policzkowych przypominała kształtem migdał, zaś wyraziste ciemne oczy, zgrabny nos z maleńkim garbkim i przeuroczy dołeczek w brodzie pod pięknym łukiem jakby nieco odętych ust nadawały jej niepowtarzalny wdzięk, zwłaszcza gdy, jak w tej chwili, patrzyła na chłopaka spod rzęs oczami gorejącymi, pełnymi nienawiści. Każdy jej ruch zdradzał tę nienawiść, kotłującą się w duszy Isparany niby najczarniejsze mikstury ważone w tyglu podłego maga. Falował na plecach wspaniały płaszcz bujnych włosów, kiedy widocznie nie mogąc pogodzić się z nową niewolą potrzasała głową, klnąc w myślach. Bo Conan jechał

piękny, młody, wyniosły i przebrany w świeże ubranie, ją zmuszając, by podróżowała brudna, w podartej, poplamionej jallabie, noszącej ślady walki i gwałtu, zadanego Isparanie przez jej zwycięzcę, i teraz słońce bezlitośnie paliło jej piersi, gdyż Conan z bawełnianej przepaski uczynił dla siebie opaskę na czoło, zaś kolana, skoro nie pozwolił brance zmienić spodni wiszących już w strzępach, były boleśnie, do krwi otarte od siodła. Toteż milczała z zaciśniętymi ustami, przygarbiona, obolała, nieszczęśliwa — i wściekła. Conan przeciwnie, pogwizdywał cichutko, wpatrzony w linię horyzontu chyba nie pamiętał o jej, Isparany, istnieniu.

Gdy jednak koń branki potknął się, a ona jęknęła boleśnie, trąciwszy łokciem zeschnięty opatrunek na biodrze, Conan zatrzymał Konia. Zsiadł, na wszelki wypadek nie wypuszczając z ręki rzemienia, na którym prowadził wierzchowca Isparany, z jednej z sakw wydobył

świeże bandażę. Wodą z bukłaka ostrożnie przemył biodro Isparany i delikatnie jak dziecku zmienił opatrunek, Isparana z wysokości siodła patrzyła na niego z dziką nienawiścią, wreszcie, gdy skończył, bluznęła:

— Piecze mnie skóra na piersiach, ty psie!!!

— Nie szkodzi. Jesteś śniada jak Shanki, nic ci nie będzie — zaśmiał się, dosiadając na powrót Konia.

Och, najchętniej by go pogryzła, podrapała! Ach, gdyby miała sztylet przy sobie!

— Czemu zabrałeś mnie z sobą i wleciesz przez te przekłete piaski?! Czemuś nie zostawił mnie tam, żebym umarła w hańbie, wykorzystana, ty barbarzyńco?!

— O, przecież sporo razem przeszliśmy, nie mogłem mojej przyjaciółki pozostawić padlinożercom. Isparana, Isparana, za kogo ty mnie masz, kobieto? — kpił Conan udając powagę. — Poza tym, twoim celem jest dostarczyć Oko Erlika do rąk khana Zambouli, czy tak?

— Taaak... — szepnęła, a Conan udawał także, iż nie widzi jej błyszczących oczu ani półnagich piersi, które uniosły się lekko przy tym cichym westchnieniu.

— Dobrze. Khassek, którego zdążyłem szczerze polubić, zginął przez ciebie, niech cię diabli, kobieto, bo nie był to zły człowiek. Lecz tak czy owak, jego śmierć dała mi wolny wybór, a ja wybrałem Zamboulę, gdyż uznałem, że Iranistan leży stanowczo zbyt daleko. Jadę więc z tobą, Isparano, do twego khana. Oddasz amulet tak jak chcesz, prosto do rąk Akter Khana. Tyle tylko, że ja mu go wręczę, a ty przystaniesz na to bez sprzeciwu. W dodatku powiem twemu władcy, że ty namówiłaś mnie, bym przybył doń w twoim towarzystwie. Czy zrozumiałaś?

Isparana nie odezwała się jednak, patrzyła na niego mrużąc oczy, koniuszkiem języka oblizwała spieczone usta. Mocno zaintrygowana zastanawiała się, co właściwie chciał przez to powiedzieć. I jak zmienna jest jego góralska natura. Czyżby ten pies, ohydny barbarzyńca, potrafił radzić sobie w każdej sytuacji? I — co z tego wyniknąć może dla niej? Westchnęła.

Cóż, jest wspaniały. Cenny opiekun, świetny wojownik, uczciwy kompan, no i, a niech go diabli: niezrównany kochanek... A poza tym rzeczywiście jechali do Zambouli, a on twierdził, że ma amulet.

— Słuchaj, barbarzyńco — rzekła z namysłem. — Czy nie sądzisz, że przydałby mi się strój bardziej odpowiedni dla kobiety niż te cuchnące gałgany?

Conan parsknął śmiechem, i poufale klepnąwszy Isparanę w siedzenie, w ów zgrabny krągły tyłeczek, wyjaśnił życzliwie:

— Mniej ładna — jesteś dla mnie mniej niebezpieczna, Ispa.

— Więc ty uważasz za bardzo dobre i pożyteczne, kiedy mi skórę opieka słońce przez dziury w łachmanach?

— Ależ ty nie masz delikatnej białej skóry, kobieto, dla ciebie słońce nie jest groźne!

Nie sposób było się z nim dogadać. Jechała chwilę z nisko opuszczoną głową, chmurą niesfornych loków ocieniając twarz. Conan przyglądał się jej, zaciekawiony, był szczerze ciekaw, do czego zmierza, bo wprost słyszał przekleństwa, które przeżuwała w myślach, nie śmiać wyrzec ich głośno. Nagle powiedziała bez gniewu, z bezradnością dziecka:

— Jeśli ktoś nas zaatakuje... Ja nie mam żadnej broni! Oczy Conana pociemniały, spotkała jego mroczne, poważne spojrzenie.

— Jeśli ktoś nas zaatakuje, Ispa, ty nie będziesz potrzebowała broni.

Na jedno mgnienie odtajało jej serce, nawykłe do żądz, do mord, do kręctw i zrad. Bo coś takiego było w głosie tego chłopaka, że nagle poczuła się kobietą, bezpieczną u boku mądrego, dzielnego mężczyzny. Przemknęło jej przez myśl, że warto było pchać się przez to parszywe życie, by teraz zaznać tak słodkiego uczucia... Lecz nie dała nic poznać po sobie, i zacisnąwszy usta w wąską kreskę patrzyła przed siebie. Tam, na południu, była Zamboula.

— Powiedziałem ci już, żebyś nie przychodziła, gdy ja pracuję. Powiedziałem ci też, że nie lubię wymyślnych kadzideł i pachnących świec. To jest moje miejsce pracy, nie sypialnia —

Zafra patrzył na Chię oczami bez wyrazu, lecz w jego głosie słyszała tłumiony gniew. I obawę. — Ta komnata przylega do sali tronowej. Gdyby on dowiedział się, że tu jesteś...

— On! — Chia rzygnęła tym słowem, jakby to było najbrudniejsze wyzwisko. — A nie wiesz, jak miałby się dowiedzieć? On nie pamięta ani o tobie, ani o mnie, on umiera ze strachu, Balad go przeraził śmiertelnie. — Zaśmiała się nagle, jej serce wciąż radowała ta myśl. — Balad chce tronu, a ja myślę, że go dostanie, Zafro! Akter gotów już wleźć w mysia norę i nie wychodzić za żadne skarby świata, syna ukrył i strażę bronią dostępu do małego khaniątka. Akter jest tchórzem, największym tchórzem, jakiego znam, i nigdy nie wystąpi przeciw Baladowi otwarcie, ze strachu, że ludzie staną po stronie Balada, nie jego!

Zsunęła się z łoża i podeszła do stołu Zafry, gdzie mag próbował coś pisać. Miała na sobie ledwie kilka uncji przejrystego jak obłok jedwabiu, lecz aż kilka funtów bransolet, pierścieni i sznurów pereł. Niezłe sobie radząc z tym całym ciężarem, przeszła przez pokój tanecznym krokiem, giętka niby skradająca się nocą kocica. Miękka, puszysta... ale futro kryło pazury i kły. Doprawdy — podniecająca. Choć zirytowany, Zafra z przyjemnością przyglądał się Chii, drobnej, zmysłowej. Jej wielkim szarym oczom, niepokojąco szarym; tak jak chmury lub mgła zasłaniająca wędrowcom ścieżkę przez góry, tak ta szarość oczu Chii kryła przed obcym jej myśli, uczucia. Lecz Zafra dobrze ją znał, jej uczucia mało go obchodziły, patrzył na burzę brązowych włosów, na ruchy zwinne, pełne gracji... Jednak Zafra musiał poważnie myśleć o swej przyszłości, jeśli chciał włączyć nie tylko pustynną Zamboula. Zafra Khan — to pięknie brzmi, lecz aby zdobyć ten tytuł, trzeba panować najpierw nad sobą, potem nad krajem. Akter oddawał się wszelkim możliwym przyjemnościom bez umiaru, obżarstwo, nadmiar kochanek, pijaństwo i lenistwo wyciskały na khanie widoczne już dla każdego piętno. Zafra chciał być inny, zupełnie inny. Obecność Chii rozważał wielokrotnie, tak, Chia była godna nawet imperatora, lecz...

— Znasz Totrasmeka... Akter wierzy, że dzięki donosom tego młodziutkiego kapłana zna każdy krok Balada — pogardliwy chichot dziewczyny wypełnił komnatę — a tymczasem Balad mówi dokładnie Totrasmekowi, co ten ma „donieść” khanowi, i płaci mu za to!

Chia śmiejąc się, zawsze pamiętała, by lewy kącik jej ust nie unosił się zbyt wysoko i nie odsłonił brzydkiego, pociemniałego zęba, widocznego przy zbyt szerokim uśmiechu. Zafra zauważył to dawno, ale nie wiedział, że i on sam uśmiechał się ułomnie — choć śmiały się usta, to oczy maga nie umiały się śmiać. I teraz, chociaż uśmiechał się, słuchając rozwścieczonej Chii, jego oczy, jak zwykle, pozostały bez wyrazu. Odwrócił wzrok od dziewczyny, by przelotnie spojrzeć na mgłę w szklanej kuli, uspokoiwszy się, że tamci dwaj wciąż brną przez piaski Zambouli, znów skupił uwagę na słowach Chii.

— Akter jest śpiący, nim skończy kolację, a kompletnie pijany w godzinę później. Nie jest khanem, jest tchórzliwym opojem... Czy słyszałeś już, że żołnierze mówią o nim Spasiony Wół?

— Chia, czy ty często... widzisz się z Totrasmekiem? — Zafra o mało co nie zapytał, czy często sypia z Totrasmekiem, gdyż co do zasad moralnych Chii nie miał najmniejszych wątpliwości, wiedział, że ona kocha wszystkich, którzy są młodzi i mają choćby cień nadziei na zdobycie władzy.

Patrzyła na niego oburzona do głębi, jej oczy zrobiły się niemal okrągłe, przybierając wyraz skrzywdzonej niewinności.

— Ja? Czy ja wyglądam na kobietę, która zadaje się z tymi, co swoją męskość poświęcili bogom?!

— Cóż... Nie chciałem cię obrazić, Chio — Zafra hamował śmiech, gdyż teraz miał już pewność, że Chia go zdradza z młodym ambitnym kapłanem. — Znajdź więc jakiś sposób, by dać mu do zrozumienia, że ze śmiercią małej Shanki nie jest tak wszystko w porządku, jak rozgłosił to khan. Niech Balad spróbuje dojść, czy naprawdę umarła z gorączki.

— Myślisz... myślisz, że została zamordowana?

— Cóż może myśleć zwyczajny nadworny mag? Nie byłem przy jej śmierci. Ale niech Balad przemyśli tę sprawę.

— Och, cóż. To proste. Nie muszę się widzieć z Totrasmekiem. Moja służka, Mitralia, szpieguje Balada.

— Co? Twoja niewolnica? Ta jasnowłosa Akwilonka? — Zafra wziął się pod boki ze śmiechu. — Czemuś nie powiedziała mi wcześniej?

— Mówię teraz, mój kochanku czarnoksięski i... Przeciągnęła się, prężąc miedziane ciało, burząc wspaniałe włosy, szcnotkowane godzinami przez małą Mitralię, spoglądając na Zafre z zalotnie — eh, gdyby wiedział, że ani na chwilę nie przestała i ona myśleć o swojej, a może wspólnej z nim, przyszłości. Wiedziała, jakby sama była magiem, że Akter nie utrzyma się na tronie dłużej niż rok. Wiedziała też, że Zafra stracił dla niej głowę. Sama nie bardzo to rozumiała, był przecież młody, nieludzko ambitny, chciał podbić świat, i pewnie mu się to wszystko uda, wszak znał czary Skelos,

Jhil, wiedział więcej niż czarni Piktowie. Ale skoro stracił dla niej głowę, a był młody, niebrzydki i miał przyszłość przed sobą... Podobała się jej ta jego zuchwałość, był inny niż ci, których znała. A jeśli kiedyś znuży się nim, to cóż, to będzie kiedyś.

— Balad ma poparcie — powiedziała, przysłaniając blask oczu ciężkimi powiekami barwionymi niebieskim proszkiem i kreską czernidła. — Ma popleczników nawet w samym Aghrapurze, w stolicy, wśród ludzi cesarza.

Mówiąc „Aghrapur” nigdy nie omieszkła dodać „stolica” i Zafra czuł, że dałaby wszystko, by zamieszkać na dworze — w stolicy. Nawet spróbowałaby rozkochać w sobie Balada.

— Posłuchaj, wiedźmo, czarownico...

— Czy znasz, czy możesz sobie wyobrazić lepszą małżonkę dla czarnoksiężnika...?

Stała tuż przy lampie, jej skóra nabrała bursztynowego odcienia, każdy ruch ukazywał

niezrównaną grę mięśni, każdy błysk spojrzenia mówił, na co Chia ma teraz ochotę, coraz większą ochotę.

— Chia, przestań! Przestań, albo pokaże ci moją moc. Czy wiesz, że mogę z łatwością sprawić, byś padła na posadzkę i pełzała tu przede mną, czołgała się na brzuchu jak wąż?

Oparła się o krawędź stołu, bynajmniej nie przestraszona. Jej oczy migotały odbijając płomyki lamp, jej biodra kołysały się — stała w najbardziej wyzywającej pozie, jaka mogła się Zafrze przyśnić.

— Mógłbyś mi to zrobić? Naprawdę? Lecz — po co? Jedno twe słowo, mój piękny

kochanku ze Skelos, a padnę przed tobą i będę się tu czołgać... z tobą...

— Przestań! Mogę zadać ci ból, taki ból, że będziesz błagać o litość i wić się u moich stóp!

— Zafro... Ja zrobię to bez czarów. Bij mnie. Jeżeli chcesz mnie zobaczyć u twych stóp

— uderz.

— Chia... — Zafra nie miał już siły się bronić. Jej oczy, jej ciało... Wszystko obiecywało mu rozkosz, jakiej jeszcze nie zaznał. Jednocześnie naprawdę miał chęć pokryć to ciało wstrętnymi brodawkami, te oczy zasnuć starczą mgłą, i rzucić ją na kolana, i niechaj cierpi męki, niech kona...

— Chia.

— Tak, ukochany?...

— Ja muszę iść. Muszę powiedzieć Akterowi, że jego agentka Isparana kieruje się do Zambouli, towarzyszy jej ten, który ma Oko. Pora, by wysłać im na spotkanie honorową...

eskortę.

— Jesteś mądry, najmądrzejszy na świecie, zawsze wybiegasz myślą do przodu. Powiedz, czemu nie usuniesz Balada? Akter obsypałby cię złotem.

Zafra potrząsnęła głową.

— Złoto to nic. Jeszcze nie nadszedł czas. A teraz, Chia, gdy będę przechodził przez drzwi do sali tronowej — milcz, milcz, błagam, bo zgubisz siebie i mnie.

— Przyrzekam: będę cichutko jak mysz.

Jednym szarpnięciem zerwała z siebie kawałki jedwabiu — a trzeba było dużej wyobraźni, by nazwać je strojem, tak były cienkie, przejrzyste i małe — i legła na podłodze w wymyślnej pozie wyuzdanych tancerek z Południa. Na jej brzuchu, przywiązane cienkim łańcuszkiem, zamrugało wesoło Tygrysie Oko, prezent od khana.

Zafra odwrócił się i odszedł szybko ku drzwiom. Idąc rozważał, ile zostało jej lat — czy dni? — nim on będzie musiał uwolnić od niej ten świat.

ŚMIERĆ WŚRÓD WYDM

Sześciu mężczyzn na rączych koniach blokowało wyjazd z wąwozu. Conan gapił się na ich zielone szaty, na twarze aż po oczy zasłonięte chustami, i czuł w głowie zupełną pustkę. Na Croma! — jakże ominąć tych zbirów?!

— Moja siostra nie jest na sprzedaż — rzekł na pozór spokojnie, i bardzo uprzejmie.

— My wcale nie chcemy jej kupić, barani łbie! — ryknął przywódca, a towarzysze zawtórowali mu gromkim śmiechem. Ich oczy obmacywały Isparanę, starającą się skryć za plecami Conana.

— Och... Ach, Isparana, jeśli dobrze rozumiem, ci dzielni wojownicy mają na ciebie ochotę. Chyba nic nie masz przeciwko temu, prawda? Więc odwiąż juczne konie, oddał się sama w miłym ci towarzystwie.

Isparana, łamiąc sobie paznokcie, w okamgnieniu uwolniła juczne zwierzęta, Conan wypuścił z dłoni rzemień, na którym wiódł jej wierzchowca. Była wolna! Lecz nie umknęła.

Patrzyła, jak Conan wykorzystuje moment nieuwagi zbira, jak dłoń Conana ujmuje miecz, jak czubek miecza tnie twarz tamtego.

Przywódca ryknął nieludzkim głosem, rękami na próżno zakrywał oczodoły, nie mógł

powstrzymać lejącej się strumieniami krwi, oślepiiony ryczał z bólu i strachu jak dziki zwierz.

Nim tamci dobyli mieczy — Conan wpadł między nich niczym piorun, pierwszego

staranował tak, że zbir wyleciał z siodła jak z procy, drugiego zepchnął pod końskie kopyta, trzeciego ciął mieczem w bok, odwrócił się i runął na czwartego, który stał nieco z boku, wciąż nie pojmując, ogłupiały. Conan zakręcił mieczem młynka. Jazikhim okazał się jednak trudniejszym przeciwnikiem, niż się Conanowi wydało, pustynny płaszcz krył silne mięśnie, a zbir ruszył na Conana unosząc miecz. Klingi starły się z przeraźliwym zgrzytem metalu, miecz zbira zatrzymał oręż Conana. Conan zablokował następne cięcie, czubkiem buta wyrzwał

ogiera przeciwnika w pischel tak mocno, że biedne zwierzę przyklęknęło, wtedy wziął zamach potężny i odciął rękę zbira w nadgarstku. Byłby go dobił natychmiast, gdy nagle usłyszał

świszczący szmer tuż za swymi plecami. Zgiął się, ścisnął boki konia piętami. Kasztan wyrwał do przodu jak wystrzelony, ale Conan czuł instynktownie, że wszystko to było grubo spóźnione, że życie zawdzięcza czemu innemu. Obejrzał się.

Ten, który przed chwilą natarł na Conana od tyłu, walił się teraz z siodła — w jego plecach po lewej stronie, wbity po samą rękę, tkwił zamboulański sztylet. Isparana nie czekała, co będzie dalej, wypuściła swego wierzchowca w cwał, śmignęła między wydmami.

— Dzięki, ‘Sparana!!! — wrzasnął Conan. — Uciekaj!!!

Nie trzeba jej było tego powtarzać, czuła na karku cuchnący oddech goniącego ją zbira.

Pozostali jazikhim rzucili się na Conana...

Z tymi poradził sobie już łatwo, potłuczeni i ranni nie stanowili dla niego

niebezpieczeństwa, odparował ich ciosy i ruszył za Isparana. Nie mieli łuków, jedno co mogli jazikhim, to gonić oboje. Przodem gnała Isparana, za nią Conan, za nim z wyciem i wrzaskiem pięciu jazikhim rozciągniętych w szereg za nimi, wreszcie kary ogier przywódcy.

Na koniec pogalopowały i juczne konie, stratowawszy po drodze ślepego przywódcę. Żelazna Głowa i kasztan Conana doskonale biegły, nawykłe do galopów po piasku, mknęły przed siebie, popędzane ogłuszającym wyciem jazikhim. Zielone szaty zbirów powiewały niby chorągwie, miecze błyskały w słońcu. Conan przytulony do szyi Konia wrzasnął na Isparanę, lecz ona go nie słyszała, a gdyby nawet — przecież nie czekałaby na niego. Jej koń prowadził ten morderczy wyścig, niósł najmniejszy ciężar, a zyskał dystans od razu na starcie... I dobrze! Dzielna Isparana, uratowała mu życie, Conan o tym pamiętał, i teraz szczerze żałował, że nie dał jej miecza. Ba, pocieszył się zaraz — jeżeli umiała ukryć przed nim sztylet, niewykluczone, że za cholewą drugiego buta ukryła drugi. Może dwa? Zaśmiał

się i piętami przynaglił kasztana do jeszcze szybszego biegu. Krzyknął, gdy zwierzę wyprężyło się nagle jak struna, biorąc w szaleńczym tempie przeszkodę — lot nad szeroką rozpadliną omal nie wyrwał Conana z siodła, a gdy koń wylądował bezpiecznie, jeździec prawie że stracił zęby. Ogłuszony łopotem burnusa i świstem powietrza chłopak westchnął

ciężko, nie było cienia nadziei, że prześladowcy zechcą przerwać pościg, pozostało jedynie galopować, i galopować, i...

W końcu przecież konie będą musiały zwolnić. Żelazna Głowa i Koń nie były tak

wypoczęte, jak konie tych tam, zielonych. Nadejdzie chwila, gdy trzeba będzie znów stawić czoło wrogom, by uniknąć posiekania mieczami od tyłu... Uff, gdyby trafić na wąwóz, na jakieś skały czy rozpadliny. Ale przed nimi było tylko morze piasków i płaskie grzbiety wydmy.

Ze szczytu jednej Conan obejrzał się w tył przez ramię. Jeden ze zbirów wyraźnie słabł.

„To ten, któremu odrąbałem dłoń. Padnie z upływu krwi”, pomyślał Conan. Isparana cwałowała przez podnóże kolejnej, wyższej niż inne wydmy, najwidoczniej chcąc wziąć wzniesienie skosem. I w tym momencie Conan wpadł na iście barbarzyński, szalony pomysł.

Koń stęknął, gdy nagłym szarpnięciem Conan osadził go na zadzie, przy tym prawie skręcając mu kark. Kasztan wierzgnął wściekle, pchnięty z powrotem po zboczu pod górę. Nie miał

jednak wyboru, Conan uparł się dotrzeć na szczyt, z którego przed chwileczką zjechali.

Trzymając się grzywy, Conan młócił piętami boki Konia, przywarł z całych sił do wierzchowca i pchał go pod górę, póki tamten nie pokonał stromizny. Znalazłszy się na grzbiecie wydmy, Conan wrzasnął ile sił w płucach i wywijając mieczem młynka, natarł na zaskoczonych jazikhim... On jeden, a ich pięciu — ale runął na nich ze szczytu,

wykorzystując moment zaskoczenia, spadł jak lawina... Pierwszy zbir rzucił się do ucieczki, reszta stanęła do walki. Cymmerianin zamachnął się mieczem i rozplątał nogę człowieka po lewej, równocześnie czując, jak ten z prawej orze mu mieczem policzek. Szarpnął kasztana w lewo, jak się spodziewał — kasztan uderzył zadem w bok konia drugiego zbira, zbijając go z nóg. I bez takich ciosów konie z trudem radziły sobie w grząskim piasku na szczytach wydmy, teraz srokaty ogier osuwał się w dół, straciwszy oparcie, wreszcie zachwiał się i ciężko zwałił

w piach. Jeździec, który nie zdążył wyciągnąć stóp ze strzemion, runął na ziemię razem z nim, a w słońcu Conan dostrzegł rękojeść noża Isparany, wciąż tkwiącego za jego lewą łopatką. Zbir krzyknął słabo, krzyk zamarł, gdy koń tocząc się przygniótł go całym ciężarem, i jeszcze raz, i zsuwał się po zboczu, a jeździec nie było już widać... Conan nie miał czasu, by sycić się tym zwycięstwem, szczęśliwy, że kasztan utrzymał się na nogach mimo zderzenia, pognął w dół dużym łukiem, atakował szaleńczo i siał spustoszenie wśród wrogów. W końcu opuścił miecz, galopując wokół pobojuwiska, szybkim spojrzeniem ocenił swą siłę rażenia.

Koń toczył z pyska pianę, z mokrych boków piana odpadała wielkimi płatami, lecz Conan nie miał litości. Sam ledwie trzymał się w siodle, czuł jednak, że to nie koniec walki.

W piasku leżeli dwaj ludzie, jeden z nich jeszcze się raz poruszył, drugi skonał wcześniej, na zboczu, trzeci stał ponad nimi, patrząc na barbarzyńcę w niemym przerażeniu. Oto ten, który zdawał się łatwym łupem dla sześciu zbójów zaprawionych w pustynnych napadach, w jednej chwili oślepił i skazał na śmierć herszta, a teraz rozprawił się z resztą w parę minut, jakby byli zbieraniną ostatnich fajtłap i kalek.

Conan znów pchał kasztana pod górę, koń stękał, jęczał prawie że ludzkim głosem. Ledwie znaleźli się na szczycie, Conan ryknął wojowniczo:

— Hej tam, szakale!!! Chodźcie, ja czekam na was! — rozejrzał się. Jeden ścisnął dłońmi rozplątane udo, chcąc powstrzymać upływ krwi, inny ledwie mógł usiedzieć w siodle, kiwał

się i kolebał, a dół jego płaszcz przesiąknięty był krwią z odrąbanej ręki. — Was już mniej o połowę, a ja nawet nie zostałem draśnięty! I wy, niedołęgi, mówicie o sobie

„mężczyźni”?!“

Krew cienkim strumyczkiem płynęła po twarzy Conana, lecz małej ranki nie uznał za draśnięcie, kasztan tańczył pod nim, znowu gotowy do bitwy. Chłopak wybuchnął gromkim, obraźliwym rechotem. Wydmy zadrżały, zaskrzypiał piasek. Śmiech barbarzyńcy niósł się ponad pustynią.

Jego prześladowcy spojrzeli po sobie niepewnie. I może by zaniechali walki, gdyby jeden, widząc doznawszy pomieszczenia zmysłów, nie wrzasnął nagle „Pomsty!!!” i wymachując mieczem nie ruszył

zboczem po śladach Conana.

„Żeby cię piekło pochłonęło!!! Poniechaliby mnie, gdyby nie twój pysk rozdarty!!!”, Conan klął w duszy, patrząc jak zielony płaszcz łopocze, gdy tamten się zbliża.

Isparana tymczasem zyskała dużą przewagę, oszczędzając siły wierzchowca z wolna osiągnęła szczyt wysokiej wydmy. Conan pokiwał głową, mruknął:

— Cholera. — I podjął decyzję.

Postanowił zjechać w dół, mijając tych tam, obwiesiów, i wgramoliwszy się na pół wysokości sąsiedniej wydmy, zaatakować ich ostro.

Jednak gdy skręcił i miał ruszyć galopem, jego i innych uwagę przyciągnęły bojowe okrzyki. Teraz i Conan zbladł. „Trudno”, pomyślał. „To moja śmierć”. Siedmiu kolejnych zielonych, świeżych, na wypoczętych rumakach, cwałowało im na spotkanie...

„Cóż. Będę uciekał, jak długo się da. A potem jeszcze trochę spróbuję powalczyć. Ale oni zabijają mnie w walce, i niech będę przeklęty, jeśli pozwolę, by mnie pojмали i bawili się, zadając mi męczeńską śmierć na torturach. Co to, to nie! Będę uciekał i będę się bił, i zobaczę, ilu ich wezmę na przejażdżkę do piekła!!!”

W ten sposób uporawszy się z planem na najbliższą swą przyszłość, puścił kasztanowi wodze, zostawiając zwierzęciu wolny wybór drogi. Koń przekroczył ostry szczyt wydmy i ostrożnie zstępował w dół. Już nie galopował, nie skakał, a tylko ślizgał się, grzęznąc w piasku, gdy kopytami zapierał się, ratując przed upadkiem. — Wyciągnij mnie z tego, a dam ci najpiękniejsze imię! Koń potrząsnął łbem — nawet jemu umknięcie wydało się

niemożliwe... Ścigający zbliżali się z wrzaskiem, ujrawszy posiłki chcieli jeszcze ocalić honor i zatłuc wroga, nim otrzymają wsparcie. Bo jakże się przyznać kompanom, że jeden chłystek niedorosły, choć prawda, że krzepki, rozprawił się z oddziałem najdzielniejszych jazikhim?... Conan chciał jeszcze raz, może już po raz ostatni spojrzeć na Isparanę. Poszukał

jej wzrokiem. Wjechała właśnie na sam szczyt garbatej wydmy. Z tej odległości nie mógł

dojrzeć jej twarzy, nie musiał przecież — pamiętał kształt jej ust, żar oczu, jedwabistość loków... Dlaczego teraz wstrzymała konia?

Spiął kasztana, by zawrócić i z nagłą runąć na napastników i choćby zginąć, lecz w walce

— gdy nowy, silny jak grzmot okrzyk bojowy wstrząsnął wydmami. Tam, niczym fale mijające stojącą Isparanę, wypływały zza wydmy szeregi wielbłądów. Odziani w białe kaffije i białe burnusy władcy pustyni chórem wyśpiewywali swój okrzyk bojowy, ich miecze, szerokie i długie, lśniły w słońcu srebrem i złotem. Wiódł ich jadący przodem na białym wielbłądzie młodzieńki wódz. Rozkołysane galopujące wielbłądy, zwane okrętami pustyni, wielkimi kopytami wzbijały piaskowy pył, i płynęły tak w jasnym obłoku niepowstrzymane, niezwyciężone.

Conan z radości wywinął młynka mieczem, wrzasnął dziko podrywając znów Konia do cwału, pognął na spotkanie wielbłądom — zmierzali do tego samego celu! Przed nimi zbóje zawrócili gwałtownie, rzucając się do szaleńczej, beznadziejnej ucieczki. Ten z odrąbaną ręką spadł, konał z upływu krwi. Conan zaśmiał się mściwie, sam nie wiedział, co wrzeszczał, zmuszał Konia do cwału, a wielbłądy mijaly go, jeźdźcy w białych burnusach zdawali się go w ogóle nie widzieć.

Wreszcie chłopak oprzytomniał na tyle, by zwolnić, dać odpocząć zwierzęciu, które nie miało już sił oddychać i charczało z największym wysiłkiem przy każdej próbie wciągnięcia powietrza do płuc. Conan zeskoczył z Konia, prowadząc go wolno i klepiąc po szyi patrzył, jak wybawcy ściągają z siodeł ostatnich dwóch zbirów, nim ci zdążyli dotrzeć do równego terenu u stóp wydmy. Przez myśl przemknęło chłopcu spostrzeżenie, iż wszyscy ludzie pustyni nieprzytomnie wprost hałasują przy każdym ataku... Lecz w tym momencie stanęło mu przed oczami Venariu i hordac wrzeszczących Cymmerian przypuszczających szturm i parsknął śmiechem, przestając natychmiast wysnuwać głupie wnioski.

Władcy pustyni dopędzali już drugą grupę zielonych, miecze zawirowały, piaski zadrżały od potwornego wycia, od chrzęstu stali. Kwik koni, rzenie, mieszały się ze stękaniem i gardłowym skrzeczeniem wielbłądów. Jeden z jazikhim, wiodący na postronku juczne konie Cofana, wymknął się z pola bitwy, pocwałował na wschód. Conan zgrzytnął zębami, jednym skokiem znówu był w yiodle. Zanim jednak zdołał ruszyć za zbiegiem — doganiali go jeźdźcy na wielbłądach, więc Conan stał tylko i patrzył. Zbieg obejrział się, słysząc tuż za plecami ryk pogoni, przytomnie puścił postronek. Uwolnione juczne zwierzęta stawały dęba i wierzgały przerażone, usiłując trafić któregoś wielbłąda, ale te przemknęły obok nich obojętnie, nietknięte, gnane wściekłym wrzaskiem władców pustyni. Słyszając nawołujące, radosne rzenie Żelaznej Głowy, juczne konie zawróciły w miejscu i ruszając galopem odpowiedziały rzeniem na zew towarzysza. Przez bitewny zgiełk Conan usłyszał śmiech Isparany. Obejrzał się. Wciąż stała na szczycie wydmy, na tle nieba piękna jak statuetka amazonki odlana w brązie. Pomachała mu ręką. Daleko w dole ostatni zielony wrzasnął, jęknął — i skonał.

Conan przeciął drogę zwierzętom i w galopie sięgnął na ziemię po postronek, chwytając juczne konie. Zaryły się kopytami głęboko w piach, gdy szarpnięciem osadził je w miejscu.

Teraz dopiero poczuł, że burnus ma mokry od potu i że jest straszliwie, ale to straszliwie gorąco. Mokrym rękawem wytarł twarz, szyję i kark, usta go piekły, palone przez sól, spękane. Co za Zły go podkusił, by przysiągł sobie pierwszego dnia tej podróży nie jechać inaczej, jak tylko ubrany w kolczugę ze stalowych kółek, kupioną w Shadizarze, palącą żywym ogniem pod burnusem w ten przeklęty, upalny dzień! Ociekając znów potem skłonił

się nisko, gdy zbliżyli się czterej władcy pustyni, i zawołał z promiennym uśmiechem:

— Witajcie, jastrzębie pustyni! Witajcie, najmilszi z gości!

Odezwał się w turańskim języku, wiedząc, że choć w części go rozumieją. Nie

odpowiedzieli. Choć młodziutki dowódca uśmiechał się lekko i dosyć przyjaźnie, przyglądali się Conanowi bacznie. Spokojnie wytrzymał te oględziny. Wszyscy czterej spodobali mu się, mieli gęste krótko strzyżone brody, czarne, o kruczym i gniadym połysku, a obwiedzione czarnym malunkiem

oczy nadawały śniadym twarzom upiorny wygląd. Mocno siedzieli w siodłach, zaś przed chwilą w pustyni dali świadectwo doskonałości wojennego rzemiosła.

— Te konie należą do mnie i do mojej kobiety — Conan przerwał milczenie, wskazując juczne i czekającą na zboczu Isparanę. — Te psy w zielonych szatach napadły na nas podstępnie w ciasnym wąwozie, tam czekali w zasadzce. Pobiliśmy czterech, nim zmusili nas do ucieczki przewagą swych sił. Ich dowódca, ich herszt, leży kilka lig z tyłu, nie wiem, czy żywy, wiem, że oślepiłem go.

Wódz, niewiele starszy od Conana, przyglądał mu się nadal z wysokości garbu białego wielbłąda. Patrzyli chwilę na siebie w milczeniu. Conan nie odwrócił wzroku.

— Kim jesteś? Dokąd jedziesz? Czemu twoja kobieta jest bez broni?

Wszyscy wpatrywali się w jasne oczy Conana, tak inne od oczu mieszkańców pustyni.

Uśmiechnął się, podnosząc wyżej głowę.

— Jestem Conan z Cymmerii — powiedział dobitnie, powoli. — Jedziemy do Zambouli, gdyż Zamboula jest domem mojej kobiety. Co do jej broni — sztylet zostawiła w plecach pierwszego wroga, miecz wyrwał jej i cisnął w piaski inny z jazikhim. Pozbawiona w ten sposób broni rzuciła się do ucieczki po wspaniałej walce, podczas gdy ja w bitwie przez chwilę jeszcze wiązałem tych zbirów, aby jej nie dopadli. Jednemu rozplątałem nogę, innego wywróciłem wraz z koniem i zmiądzony tam leży, a jej sztylet... widzicie rękojeść?

Oślepiłem herszta, czwartemu uciąłem rękę. Cóż mogę wam więcej rzec?

— Jedzicie sami? Nie znam tej, jak mówisz, Cym... Cymmerii. Nigdy nie słyszałem o takim kraju.

Conan skinął poważnie głową.

— Cymmeria leży daleko, daleko na północ stąd. To kraina gór, jasnowłosych kobiet i mężczyzn wojowników o oczach tak niebieskich jak moje. Lecz dawno wyruszyłem w świat, widocznie przeznaczone mi było pokochać Zamboulankę — Conan łągał, gładko robiąc z siebie niewinnego baranka i nad podziw zręcznego wojownika zarazem, dziwiąc się tylko przelotnie, jak łatwo mu z gardła wychodzą dziś słowa. Wódz poruszył się w siodle, a wtedy Conan dostrzegł na jego czole wytrawioną na biało niedużą bliznę w kształcie litery v.

— A gdzie masz uszy twych wrogów?

Pytanie tak zaskoczyło Conana, że zachwiał się w siodle.

— My... Uff. Cymmerianie nie zabierają uszu swych wrogów. Nigdy.

Teraz oni zdumieni spojrzeli po sobie. Jeden z nich odpiął rzemyk przy siodle i w wyciągniętej wysoko ręce ukazał obcemu krwawiące trofeum, parę uszu przed chwilą odciętych.

— My tak. Zawsze — rzekł ich młody wódz. — Conanie z Cymmerii, odpowiedz na moje pytania:

jedziecie sami?

— Teraz tak. Było nas czworo, lecz dwóch wcześniej zostało zabitych, ich broń wisi tu, przy siodłach ich koni. Ciała moich przyjaciół przyjęła łaskawa pustynia.

Przelotnym spojrzeniem władcy pustyni obrzucili juczne konie, dwa z nich dźwigały siodła i broń, także iranistański „nóż” Khasseka, broń ludzi z Gór Ilbarsu.

— Proszę, zabierzcie uszy tych, których ja tu zabiłem — na wszelki wypadek rzekł Conan, by nie nabrali ochoty na oręż, z którym sam nie zamierzał się rozstawać. I zaraz dodał

pospiesznie: — Jeśli, rzecz jasna, nie będzie to niehonorowe.

Wszyscy mieli nad jedną brwią to małe białe v.

— Będzie niehonorowe. Te uszy są twoje.

— Hmm. Cóż, może wódz zechciałby je przyjąć jako prezent?

Widząc, że i tym pomysłem nie są zbyt zachwyceni, zmienił temat.

— Powiedzcie mi... Turan rości sobie prawa do tego obszaru, to wiem. Czy jesteście obywatelami Cesarstwa Turanu?

— Nie.

— I nie jesteście obywatelami Zambouli, choć to tak blisko?

— Nie.

— Eh, jastrzębie pustyni — mruknął z westchnieniem Conan. Władcy pustyni, wolni, nie uznający niczyjego zwierzchnictwa, patrzyli na niego w milczeniu. „Cholera”, pomyślał.

„Zdaje się, że znowu jesteśmy w kłopotach”...

NAMIOTY SHANKI

Brama Zambouli, zwąca się Orle Wrota, stanęła otworem i podwójny szereg dumnych żołnierzy Cesarstwa pocwałował w pustynię.

Wartownicy na wieży z zazdrością w sercach patrzyli za nimi, śledząc wzrokiem ciężkie, lecz jakże zgrabne i strojne sylwetki jeźdźców. Na czubkach hełmów powiewały pęki żółtych wstęg, odbłask słonecznych promieni migotał w siatkach stalowych z maleńkich kółeczek, spływających na ramiona zbrojnych, na szkarłatne tuniki i białe płaszcze z wyszytymi złotą nicią Gryfami Turanu. Każdy przepasany był dwiema szkarłatnymi szarfami, szarfy przydawały w słońcu ostrości kolorom, aż płonęły wśród piasków jak ognie. W pochwach dzwoniły miecze, u łęków siodeł topory i małe trąbki, sygnałówki. Mieli też wielkie, okute metalem łuki. Żołnierzy było dwudziestu, a każdy wiódł jucznego konia z zapasem wody i żywności. Wkrótce zniknęli z oczu wartom, a ciężkie Orle Wrota zatrzaśnięte z łoskotem za nimi. Jechali na pomoc.

Piątego dnia rozciągnęli się w tyralierę, wypatrując uparcie jednej kobiety i jednego mężczyzny, podróżujących konno w kierunku Zambouli. Tyle wiedzieli, że mają rozkaz zatrzymać pielgrzymów, przywitać, udzielić im wszelkiej koniecznej pomocy. O nic nie pytać. Lecz gdyby ta dziwna para — bo któż, będący przy zdrowych zmysłach, wyrusza w dwójkę przez pustynię, narażając się na spotkanie z rozbójnikami, z wojownikami dzikich plemion lub, w najlepszym razie, z drapieżnikami grasującymi wśród wydm? — więc gdyby dziwni pielgrzymi zdecydowali się jednak ominąć Zamboulę i zmienić cel swej podróży, wówczas oni, żołnierze Cesarstwa Turanu, mieli pielgrzymów nakłonić łagodną przemową, przekonać, by udali się jednak do khana Zambouli. A gdyby i wtedy sprzeciwili się woli khana i trwali w bezrozumnym uporze, rzeczą wojska było wybrać stosowny sposób, by w całości, z dobytkiem, bronią i końmi, dostarczyć ich do pałacu — żywych czy martwych. Bez względu na cenę, jaką przyszłoby żołnierzom zapłacić.

Rozkaz ten był całkowicie jasny i zrozumiały. Słońce paliło, płonące w zenicie. Strumienie potu płynęły pod białymi płaszczami, plamiąc szkarłatne kaftany i spodnie. Piaskowy pył

osiadł na długich butach z polerowanej skóry, wbijając się w każdą rysę, w najmniejsze pęknięcie na gładkiej powierzchni. Nigdy nie opadający obłok pyłu wzbijanego przez końskie kopyta wyżerał oczy jeźdźców szczypiąc mocno, boleśnie.

W Zambouli Zafra wpatrywał się w szklaną kulę, śledząc drogę Conana i Isparany, i trzy razy każdego dnia szedł z raportem do Akter Khana. I za plecami wiecznie pijanego, obrastającego w tłuszcz Aktera knuł, budując sobie lepszą przyszłość. W cienistych ogrodach pewnej willi na drugim końcu miasta Balad naradzał się ze swymi poplecznikami, jak przejąć władzę, jak zniszczyć na zawsze Akter Khana i jego ludzi. Po ulicach, oberżach, ogrodach snuli się szpiedzy, donosiciele i skrytobójcy. Wyniosła, jaśniejąca blaskiem kopuła

wspaniałych budowli Zamboula, zachwycająca bujnością ogrodów, przepychem pałaców i bogactwem bazarów — w środku była jak cuchnący, pełen zgnilizny wrzód.

Conan pomylił się. Zostali gośćmi Shanki.

Byłby ostatnim głupcem, gdyby tak do końca zaufał zawsze każdemu, toteż także i teraz nie ufał do końca jastrzębiom pustyni — jednak na razie, kłopoty szczęśliwie skończyły się, przechodząc do przeszłości.

Shanki tworzyli małą pustynną wspólnotę, kierującą się starożytną, niepojętą dziś dla nikogo tradycją. Wedle dawnych zwyczajów malutkim v znaczyli czoła chłopców nad lewą brwią, a nad prawą — dziewczynkę. Żyli w namiotach rozstawionych w prześlicznej oazie, i jak kazał obyczaj, używali do jazdy wyłącznie wielbłądów. Z tej wyprawy przywieźli jednak aż osiemnaście zdobycznych koni.

Conan i Isparana ciekawie, choć w miarę dyskretnie, rozglądali się, wjeżdżając do oazy.

Hajimen, wódz oddziału a syn wodza całego plemienia, Akhimen Khana, powiedział im wcześniej, że Shanki zamieszkują oazę od setek lat, toteż Conan zdumiał się widząc tylko lekkie namioty i kilka niskich okrągłych spichlerzy z błota i wielbłądziego łajna. Do barwienia tkanin wciąż używali po dawnemu wielbłądziej uryny i roślinnych wywarów nie znanych gdzie indziej, mężczyźni nosili białe kaftany i luźne spodnie w różnych kolorach od bieli i żółci przez błękit i zieleń po czerń. Ich kobiety kryły swe kształty w fałdzistych, przesadnie obfitych spódnicach, głowy ich spowijały zawoje, u mężatek zasłaniające też twarz. Tylko mężczyźni z rodziny Akhimen Khana wyróżniali się strojem, odziani pod białymi podróżnymi płaszczami w szkarłatne kaftany, żółte kamizele wypuszczone na sięgające ziemi białe obszerne spodnie, a ich piersi zdobiła czarna gwiazda o pięciu ramionach.

Akhimen Khan, według tego, co opowiadał Hajimen, władał swym małym ludem mądrze, i równie mądrze poczynił sobie z całym okolicznym światem; córki rozesłał w darze do haremów Cesarza i kilku khanów, szlachetne kamienie rodem z piasków zdobiły klejnoty Cesarza i khanów, zaś oddziały jastrzębi pustyni patrolowały całą okolicę, strzegły karawan kupieckich — w zamian Cesarz Turanu tolerował w granicach cesarstwa obecność tych prawdziwych władców pustyni, nie nękał ich wojskiem ni podatkami, żyli więc spokojnie, zajmując się swymi sprawami i od czasu do czasu urządzając zbrojne wyprawy przeciwko jedynym wrogom, za to odwiecznym: Yoggitom w zielonych szatach.

Słońce wisiało nisko nad wydmami, barwiąc niebo krwawą łuną zachodu, kiedy zmęczeni bitwą, upałem i jazdą mogli zsiąść wreszcie z wierzchowców, przywitać Akhimen Khana i napić się niezrównanej, krystalicznej wody z najlepszego źródła w oazie. Żona wodza, cała okryta szkarłatem ciężkim od opali, ogromnych granatów i srebra, zajęła się Isparana, zabierając młodą kobietę do swego namiotu. Akhimen gestem wskazał Conanowi swój namiot.

— Conan z Cymmerii jest gościem Shanki, mile tutaj widzianym. Wejdz, wojowniku, i zechciej odpocząć. Zagonimy do zagrody twoje konie.

— Co Shanki robią ze zdobycznymi końmi? — zapytał Conan skłoniwszy się w

odpowiedzi na dobre słowo wodza.

— Shanki sprzedają konie do Zambouli. Zamboulańcy są szczęśliwi, kiedy dostaną dobre pustynne konie i rzeźbione kamee z opali i takie kamienie — błysnął przed oczyma chłopca pierścieniem z najpiękniejszym granatem, jaki Conan widział w swym obfitującym w przygody i spotkania z ludźmi życiu. — Oczywiście nie aż tak duże i rzadkiej urody, ale dość piękne, by zdobić ręce khanów, a nawet Cesarza. My dostajemy z Zambouli wielbłądy z najlepszych stajni i inne rzeczy, potrzebne nam w codziennym życiu. To dobra wymiana.

— Zauważyłem, że wszystkie opale, choć Shanki mają ich wiele, są piękne i pięknie rzeźbione. Jesteście artystami, Akhimen Khanie. — Conan starał się dworskimi manierami dorównać wodzowi Shanki. — Ale, wracając do koni: Shanki dziś zdobyli osiem koni, a ja pięć.

Szli ku namiotom, otoczeni luźnym kręgiem ciekawie oglądających Conana Shanki.

Zdumiewał ich wzrost i potężna budowa młodego chłopca, który obok niewysokiego, jak wszyscy Shanki Akhimen Khana wydawał się olbrzymem, a przede wszystkim jego oczy, gdyż wśród ludzi południa jasne oczy zdarzały się nadzwyczaj rzadko, a i wtedy nie miały tak pięknego, tak głębokiego czysto niebieskiego odcienia, jaki miewa tafla wody w sadzawce oazy, kiedy przegląda się w niej niebo.

— Szanujemy prawo Conana do zatrzymania wszystkich koni, takie jest prawo pustyni, prawo napadniętego. Lecz syn mój powtórzył mi twoje słowa i zgadzam się, aby prawem wygranej walki Conan zatrzymał pięć, gdy nam przypadnie osiem.

— Proszę, by khan Shanki sam wybrał trzy spośród moich pięciu jako dar wdzięczności, gdyż bez pomocy walecznych Shanki ja i moja kobieta nie doczekalibyśmy zachodu słońca.

Weszli do namiotu. Nie był ani większy, ani wspanialszy od innych, jednak pomieścił

wszystko, czego może potrzebować wojownik, aby mógł wygodnie wypocząć. Niskie, wykładane śliczną mozaiką z różnych gatunków drewna i w dodatku bogato inkrustowane srebrem stoły z całą pewnością pochodziły z Zambouli, jak również kształtne, przepięknie zdobione wysokie dzbany z doskonałej blachy z wzorem powleczonym emalią w różnych kolorach. Jednak miękko wyprawione wielbłądzie skóry, bajeczne dywany i draperia barwione brązem — a produkcję tego barwnika znali jedynie Shanki — były bez wątpienia dziełem pustynnego ludu, dając świadectwo kunsztu i niezwykłego wyczucia możliwości każdego materiału, którego dotknęły ich ręce.

— Napełnij kubek naszego gościa — rzekł głośniejszym głosem wódz, a wówczas do namiotu

bezszelestnie wsunął się chłopiec, nie więcej niż dwunastoletni, i napełnił dwa duże pękate puchary z wypalanej gliny połyskującej śnieżno — błękitną polewą, będącą tajemnicą i chlubą rzemieślników Shanki. Akhimen podając puchar Conanowi a drugi zatrzymując dla siebie, przechylił głowę uśmiechając się lekko, zmarszczki na jego twarzy od narodzin smagane pustynnym wiatrem i dodające mu lat, pogłębiły się przy tym uśmiechu.

— Conan jest szczodry do przesady — Akhimen Khan wolną ręką musnął starannie

wypielegnowany wąs, natłuszczony wonną oliwą, wąsy, jak zauważył już wcześniej Conan, stanowiły o urodzie tutejszych mężczyzn, podobnie jak strzyżone pięknie brody. — Szczodry w darach i szczodry w słowach. Przecie tak dzielnemu wojownikowi, który z szczęściu pozbawił życia pięciu, nim przybyli wojownicy Shangi, nasza pomoc nie była potrzebna.

— To byli tylko podstępni Yoggici, których żaden wojownik nie może nazwać

wojownikami, więc moja chwała jest żadna. Niemniej wasza pomoc nadeszła w porę. —

Conan znowu zgiął się w ukłonie, bo też szczerze szanował i coraz bardziej lubił dzielnych i pracowitych ludzi pustyni. Odpowiadał dwornością na dworność, choć nieco bawiła go ta rozmowa, w której i on przesadzał, i khan dodawał nadmiernego znaczenia faktom i słowom.

— W takim razie przyjmę jednego konia jako miły prezent od Conana dla ludu Shangi.

— Akhimen Khan sprawi mi więc przykrość, jeżeli nie zechce przyjąć... pięciu.

Tym razem Conan grubo przesadził, i poczuł na krzyżu niemiłą gęsią skórkę. Co będzie, jeżeli khan przyjmie ten prezent, a oni zostaną bez koni...?

— Może mój szlachetny gość nie pogniewa się, jeżeli zgodzę się przyjąć trzy, choć i to dar zbyt wspaniały, więc chciałbym, aby Conan sam wybrał te trzy spośród pięciu.

— Trzy, lecz wybrane przez Akhimen Khana — rzekł Conan, podkreślając głosem

ostateczność decyzji. Pomyślał przy tym ze smutkiem, że jeśli kiedyś zdobędzie ogromne bogactwo, to chyba jednak nie dzięki podobnym interesom...

— Byłbym zaszczycony — khan nie zamierzał się poddać — gdyby pozwolił mi wybrać dwa spośród pięciu, Conan, mój gość.

— Ufam, iż Akhimen Khan dokona dobrego wyboru i będzie rad, chociaż to tylko konie, a nie wspaniałe wielbłądy.

— Już jestem rad.

— I moje serce uradował Akhimen Khan.

— Napełnij kubki — polecił khan usługującemu im chłopcu, dotąd cicho stojącemu u wejścia, które zdobiły sznury ciężkie od nanizanych na nie suszonych uszu wrogów Shangi.

Gdy wypili, Akhimen dwakroć pstryknął palcami. Zza zasłony wysunęły się dwie dziewczyny.

Mogłyby być siostrami, i może były, przynajmniej na to wskazywało podobieństwo urody.

Chude, drobne, miały po jakieś dziesięć czy jedenaście lat, jeszcze dziecińczy kształtów. Ich wielkie smutne oczy patrzyły pustym, jakby nie widzącym spojrzeniem. Obie miały w uszach ciężkie kolczyki z brązu, wydłużające płatki uszu — kiedyś te uszy pewnie dosięgną ramion.

Na kostkach nóg i na nadgarstkach dźwigały lżejsze bransolety z mosiądzu, które Conanowi bardziej przywodziły na myśl kajdany niż dziewczęce ozdoby. Każda nad łokciem lewej ręki miała zaciśniętą opaskę plecioną z wielbłądziego włosia, wrzynającą się głęboko w ciało, powyżej niej czerwone i spuchnięte. Poza tym obie były nagie, lecz swym wyglądem obudzić mogły tylko litość, nie pożądanie. Upadły na kolana, czołami dotykając ziemi. Za nimi weszła młoda kobieta. Conan po stroju poznał, że należała do rodziny khana, obfitość czerwonych szat nie dawała nawet mglistego pojęcia o urodzie dziewczyny, jej twarz także zmieniał nie do poznania dziwny rodzaj upiększenia, jaki wybrał dla swoich kobiet ten oryginalny lud: oczy płonęły w czarnych kręgach, usta umalowane czarną szminką przecinały twarz upiorną krechę, w przedziurawionym nozdrzu tkwił wielkich rozmiarów tęczy opal. Mimo że na brzuchu poniżej talii nosiła działającą na zmysły ozdobę z kości słoniowej — Conan nie uznał

kobiety za zbyt pociągającą i skłoniwszy się raczej pięcioramiennej gwiazdzie na jej piersi, spojrział pytająco na khana.

— To moja córka, Zulfi. Jest niezamężna.

Gdy Conan szukał słów, które nie obraziłyby dziewczyny ani jej ojca, a dały wyraz szacunkowi i podziwowi gościa dla urody młodej Shanki, Zulfi zakryła twarz dłońmi i skłoniła się bardzo nisko gościowi i ojcu. Cóż, Conan musiał zaryzykować, i gdyby się pomylił, mógł zaraz przeprosić, przypomniawszy, że pochodzi z daleka, gdyby i to nie wystarczyło — przy biodrze u pasa miał ostre, zawsze skuteczne rozwiązanie większości swoich problemów...

— Córka khana przynosi zaszczyt jego namiotom i lędźwiom — wykrztusił ostrożnie, udając spokój i opanowanie.

Na szczęście te słowa zdały się zadowolić Akhimen Khana, gdyż zamruczał coś tonem przyjaznym, w języku nie znanym Conanowi. Gdy jednak zza zasłony wyłoniła się kolejna postać, chłopak zamilkł i stał zrozpaczony. Że to postać kobieca, mógł się tylko domyślać, bo nie miała ni figury, ni głowy, ni twarzy, spowita szkarłatnym welonem tak fałdzistym i grubym, iż utrzymywały go w jakim takim porządku ciężkie brosze, agrafy i długi sznur monet, dość dużych, ze srebra.

— Moja żona. Aqbi — rzekł władca pustyni. Kobieta milcząc skłoniła się, nie tak nisko jak przedtem jej córka.

Conan odkaszlnął.

— Jestem niewypowiedzianie szczęśliwy, że Akhimen Khan zechciał oszczędzić mi

widoku matki pięknej Zulfi i po męsku pięknego Hajimena, gdyż blask jej urody niewątpliwie poraziłby mnie jak słońce, oślepiając na wieki. Rodzina Akhimen Khana przynosi mu chwałę

— gnąc się w ukłonie Conan pomyślał, że jeśli jeszcze jakaś kobieta wynurzy się w tych swoich szmatach spoza zasłony, to on już tego nie wytrzyma i zwróci całe wypite piwo do stóp gospodarza. Miał dosyć widoku czarnej szminki, umazanych warg i ust, i tych tobołów bezkształtnych, nagle zatęsknił do zgrabnej, smukłej figurki Isparany, do jej uśmiechu.

Aqbi znów się lekko skłoniła, obie z Zulfi odpłynęły w mroczny kącik namiotu i tam usiadły na stosie wyszywanych poduszek. Dwie niewolnice popęzły na kolanach za nią, legły u stóp swej pani.

— Córki Yoggitów — objaśnił khan, splunąwszy z pogardą.

Conan skinął głową. Nie śmiał zapytać, kiedy dziewczynkom uschną i odpadną od łokci lewe ręce, bo do tego przecież służyły owe wrzynające się w ciało opaski, nie śmiał też pytać o ich późniejszy los.

— Zulfi, usłużysz nam przy wieczerzy w namiocie, ty zaś, kobieto zabierz swoje zwierzęta i dopilnuj, by podano nam jadło godne podniebienia tak szlachetnego gościa.

Aqbi wstała, a „zwierzęta” poderwawszy się z ziemi, utykając z powodu ciężkich bransolet pospieszyły przed panią do wyjścia. Zulfi posłusznie zaczerpnąwszy z nowego dzbana, napełniła puchary. Conan uśmiechnął się — nawet tu, na pustyni, gdzie ziarno osiąga wysokie ceny, mężczyźni potrafią zadbać o dostatek piwa. Smak tego napoju przewyższał inne, znane już Conanowi, więc domyślał się, że nie kupują go w Zambouli, lecz warzą sami, z przedniego ziarna, zdobywanego za cenę koni zabranych zabitym wrogom.

Miał Conan nadzieję, że Isparanie starczyło rozumu, żeby zostawszy sam na sam z Shanki, nazywać siebie „kobietą Conana”. Musiał przyznać przed sobą, że lękał się o nią, znając jej dumę i porywczosć.

— Czy wolno mi zapytać, gdzie jest moja kobieta, Isparana?

— Przebiera się w stroje, hmm, bardziej dla kobiety odpowiednie — uśmiechnął się Akhimen Khan.

— Później będzie pilnować wbijania kołków przy stawianiu namiotu Conana, jak przystało kobiecie, podróżującej ze swoim mężczyzną.

Zulfi ponownie napełniła gliniane puchary, a oni usiedli wygodnie na miękkich matach, wsparci o stosy poduszek. Z dworu, gdzie Conan zauważył idąc dwa gliniane piece, płynęła smużkami unoszącymi się w spokojnym powietrzu woń czosnku i tłuszczu, jakichś jarzyn i ostrych przypraw. Conan przełknął ślinę, trochę kręciło mu się w głowie.

— Mój gość nie jest przyzwyczajony do pustyni. Czy z dużym trudem zniósł daleką podróż?

— Żar dał się nam we znaki. W mojej ojczyźnie nie ma gorących pustyni, przez większą część roku panują tam chłody, zimą szczyty, przełęcz, a nawet doliny zalega grubo śnieg.

— Słyszałem o wielkiej bieli i o prawdziwym zimnie — khan skinął głową. — Wprawdzie i na pustyni często nocą bywa straszliwy ziąb, ostry chłód ścina piaski, ale to podobno jest słabym podobieństwem tego, co zdarza się w północnych krainach. Czy tak jasne oczy Conana nie cierpią

bólu od nadmiaru światła?

— Nie, czemu?

— Więc Conan jest błogosławiony i chroni go silny bóg. Choroba ta jest plagą pustyni, nas ratuje ciemna barwa oczu i kamienie żywiące się promieniami słońca, malujemy też oczy czernidłem, lecz i tak zdarza się czasem komuś pustynna piaskowa ślepotą. Na wszelki wypadek podaruję ci taki kamień. Zulfi...

Dziewczyna zniknęła za zasłoną, wróciła po chwili z okazałym granatem, drobiazg, większym od śliwki.

— Mogę przyjąć dar jedynie nie większy niż pięćdziesiąta część tego skarbu.

— Ach!!! Bogini Theba poskąpiła mi łaski i gość mój nie chce przyjąć prezentu! Zulfi, ratuj nasz honor, przynieś kamień o połowę mniejszy.

Conan westchnął skrycie, pomyślał „I znowu się zaczęło”.

— Niech khan powstrzyma swą córkę, Zulfi. Honor nie pozwoli mi przyjąć daru

większego niż dwudziesta część tego kamienia — honor nie miał tu nic do rzeczy, cierpiała tylko chciwość złodzieja, granat rwał oczy i ręce same wyciągały się po tak cudny klejnot, i Conan musiał największym wysiłkiem woli hamować złodziejskie żądze.

Myślał przy tym, że choćby usta jego nauczyły się najwykwintniejszych słów, a kark pozostawał wciąż zgięty od nieskończonych ukłonów, to w głębi duszy Conan będzie Conanem, złodziej zostanie złodziejem, i na widok klejnotów zawsze oczy mu błysną pożądaniem jak sroce.

Akhimen jawnie okazywał swą irytację.

— Nasz gość, Zulfi, zlekceważy nas i nigdy już nie będzie szanował, jeśli przyniesiesz mu kamień mniejszy niż trzecia część tego.

— Zbyt wiele żądasz, Akhimen Khanie — Conan przełknął grudę zaciskającą mu gardło, długim spojrzeniem żegnając granat leżący w rękach Zulfi. — Nie mogę, wierz mi, proszę, nie mogę przyjąć więcej niż dziesiąta część tego kamienia.

— Skromność jest wielką cnotą naszego gościa, przyznaję.

To rzekłszy khan wyrwał zza pasa nóż o szerokim zakrzywionym ostrzu. Nim dłoń Conan wystrzeliła, by sparować cios, ostrze dotknęło gardła Shanki.

— Jeżeli mój gość nie przyjmie dwóch kamieni, każdy wartości dziesiątej części tego, ja w tejże chwili zadam sobie śmierć.

— Niech nóż khana odpocznie na swym miejscu za pasem. Wolałbym wytoczyć z żył

ostatnią kroplę krwi, niżby Shanki mieli ucierpieć z mojego powodu.

Akhimen Khan zatopił wzrok w oczach Conana. Chłopak nie miał pewności, czy smutek, który dostrzegł w oczach wodza, jest skutkiem zbyt łatwego poddania się gościa w tym targu, czy też wódz tylko zazdrości mu tej pięknej przemowy. Zulfi odeszła z szelestem spódnicy, dzwoniąc ciężkimi ozdobami.

— Czy dopuszcza obyczaj Shanki — Conan swoim zwyczajem zmienił temat — abym przy powrocie córki wodza złożył jej ukłon?

Akhimen Khan znieruchomiał.

— Czymże obraziłem mojego gościa, że chce się kłaniać kobiecie w moim namiocie...?

— Cóż. Wśród wielu ludów pokłonienie się córce jest wielkim zaszczytem dla ojca dziewczyny — i w nagłej determinacji sztylecik używany podczas jedzenia do krojenia kawałków mięsa przyłożył ostrzem do swojej szyi, tam gdzie pulsowała miarowo tętnica. —

Jeśli obraziłem mego gospodarza, zabiję się.

— Ach, nie pozwolę na to mojemu gościowi! Rozumiem, iż Conan chciał tylko okazać mi swój szacunek i nadzwyczajną grzeczność. Hm, swoją drogą szczególnie to pomysł, kłaniać się kobiecie... Lecz ludzie w dalekich krajach żyją tak różni. Dziwne obyczaje zapewne zna mój gość, który tak wiele po wielu krajach podróżował.

— Tak — potwierdził Conan, odkładając swój nożyk. — Na przykład u niektórych ludów jest przyjęte wyzwalanie niewolników. Jeżeli przyjmą zwyczaje tego ludu i wejdą doń poprzez żonę czy męża, ich dzieci traktowane są tak jak inne, jak wszystkie dzieci tego ludu.

— Och, nie... — Shanki wyglądał, jakby miał właśnie zwymiotować. — Mam... Mam nadzieję, że nie leży to w zwyczajach dzielnych Cymmerian?

— O, nie. — I Conan dodał z łagodnym uśmiechem: — My nie bierzemy niewolników.

Cymmerianin zabija swych wrogów, wojowników. Żony bierzemy spośród równych nam.

Obaj zamyśliли się głęboko. Akhimen Khan rozważał sens słów Conana, nie będąc

pewnym, czy dobrze pojął, lecz nie chciał pytać. Conan rozmyślał o przyszłości małego ludu, który prędzej czy później będzie musiał wyginać, gdy krew zepsuta, bez dopływu świeżej od obcych, ściągnie na nich choroby, ułomność, a w końcu śmierć. Zdolni, inteligentni, doskonale znający się na wielbłądach — czyż nie rozumieli, że tak jak wielbłądy, potrzebują domieszki dobrej krwi? Cóż.

Zulfi wróciła, złożyła przed Conanem dwa granaty, a każdy był dość duży i piękny, by nadać się na głowicę miecza.

— Niech Theba błogosławi, niech chroni oczy Conana przed słońcem — rzekła z powagą, a Akhimen powtórzył za nią te słowa.

Conan z godnością przyjął wspaniały dar.

— Akhimen Khanie — zapytał po chwili milczenia. — Czy gościowi przystoi zapytać, co znaczą te czarne gwiazdy? Na początku sądziłem, że to oznaka władzy wśród ludu Shanki...

— Nie. — Akhimen wbił wzrok w matę przed sobą, jego głos dźwięczał głucho w ciszy panującej w namiocie. — Nie, wędrowcu z dalekiej Cymmerii. Opłakujemy. Reszta naszych braci już zdjęła gwiazdy śmierci, lecz ja i moi bliscy zostawimy je jeszcze na długie miesiące.

Potem przypniemy je na piersiach naszych jeńców, zbudujemy wielki stos. I spłoną.

Conan drgnął, pomyślawszy o dwóch dziewczynkach, „zwierzętach”. Nie był zanadto wrażliwy, był wojownikiem, a włączając się po świetle zajrzał do świątyni Shadizaru, słynących w obecnych czasach sławą nie gorszą niż dawniej Skelos. Na cześć krwiożerczych bóstw uprawiano w świątyniach praktyki, od których włosy dęba stawały na głowie, Conan widział ołtarze zalane krwią małych dzieci i zwierząt. Ofiary dręczono przed śmiercią i zabijano na wiele obrzydliwych sposobów. Nieobce były mu też poczynania szalonych magów, którzy dla zdobycia władzy nad światem i śmiercią mordowali niewinne istoty, by pić krew i krwią pisać zaklęcia. Widział, wiedział — i przywykł. Lecz brzydził się przemocą wobec niewinnych, bezbronnych. Brzydził się przemocą użytą nie w walce równego z równym, nie w obronie życia. Jednak przemoc była stara jak świat, stara jak rasa ludzi —

najokrutniejszych zwierząt spośród wszystkich zamieszkujących ten świat. Więc Conan mógł tylko okazać współczucie temu, który cierpiąc ból zamierzał zadać ból innym.

— Gość cierpi i płacze ze swym gospodarzem. Czy khan Shanki miał jeszcze jednego syna, i utracił go w bitwie?

— Nie.

Milczał długą chwilę, nim opowiedział smutną historię do końca.

— To była córka. Najmłodsza. Piękna jak kwiat. Nie dotknęła jej ręka mężczyzny.

Posłałem ją w darze Akterowi, khanowi Zambouli. Tam, w murach wielkiego miasta, ten kwiat, ta róża pustyni, zachorowała, a potem umarła. Khan przez posłańców przysłał nam tę żalobną wieść... Nosila w łonie jego dziecko, z pewnością syna, więc powiadomił nas, że jako matka królów spoczęła obok jego przodków i ich kobiet. Och, a my musieliśmy mu wybaczyć ten potworny czyn — on nie wiedział, że dziecko pustyni powinno tu wrócić, spłonąć, by prochy jak piaskowy pył mógł roznieść po pustyni wiatr. A ona leży tam, przygnieciona czarną ziemią, pod kamieniami...

Milczenie wydawało się Conanowi ciężkie jak te kamienie. Znał różne pochówki, i sam jakoś z niechęcią myślał, że miałby leżeć głęboko pod ziemią, nie słysząc śpiewu wiatru, nie widząc orłów

szybujących wysoko — głuchy, ślepy, w niewoli ciemności i czarnej ziemi.

Nie!

— Współczuję z Shanki.

— Uraczyłem cię smutną historią... Czy mój gość mi wybaczy? „Pozostaw ból jego

czasowi, czyń tak, by gość z radością wchodził do twego namiotu i opuszczał go rad”, tak uczy nas Theba. Zulfl, napełnij nam kubki! — I zwróciwszy wilgotne oczy na Conana uśmiechnął się: — Spijemy się razem, Conanie z Cymmerii.

„A rano ruszę do Zambouli ze spuchniętą głową”, jęknął w duszy Conan, mając cichą nadzieję, że wprawdzie jednak dostanie kolację.

Tym razem nadzieja go nie zawiodła. Aqbi dała popis prawdziwej sztuki kulinarnej —

misy jarzyn i korzeni duszonych w piwie stanęły na matach, i choć dla Conana,

Cymmerianina, urodzonego mięsożercy, płaskie chleby obłożone plasterkami tłuszczu i pieczonym czosnkiem lub polewka z korzonków i ziaren zbóż nie były tym, czym mógł być udziec barani pieczony na rożnie, jednak jadł z apetytem, doceniając talent Aqbi, obfitość i różnorodność pikantnych, smacznych dań.

Przy tym ta dziwna kuchnia wzmagała pragnienie, które ugasić mogły jedynie kolejne kubki piwa, doskonałego piwa Shanki...

— Oooh... — Conan rankiem przetoczył się z boku na bok na swym posłaniu, ujrzał

Isparanę i jęknął z rozpaczą, nie wiedząc, czy mu się to śni, czy też ogląda jakiś koszmar na jawie.

Oto siedziała przy nim. Jej brwi były wyskubane i świeciły oliwą, usta pomalowała na czarno, czarne kręgi wokół oczu. Olbrzymi opał zawieszony na szyi ciężko opadał na czerwone szaty Shanki. Połyskiwały barwnikiem paznokcie na palcach rąk i stóp.

— Oooh, nieee... Kto cię przerobił na taką „piękność”?

— Kto cię przerobił na opoja spitego piwem, cuchnącego czosnkiem? — śmiała się. —

Przywleczono cię tu długo po wschodzie księżyca, bełkotałeś, śmierdziałeś. Uff, fe!

Wyszczrzył zęby, próbując uśmiechu. Głowę miał ciężką jak głaz. Nawet myśleć mu się nie chciało.

— Nie zabiłaś mnie.

— A dlaczego miałabym cię zabijać? Czyś stracił rozum?

— Dlatego, ‘Sparana — dźwignął się na łokciu, położył wielką dłoń na jej udzie przy biodrze — że jesteśmy parą rywali, wrogami krwi! Już zapomniałaś?

— Nie. Ale pamiętam też co innego: pewien sztylet, który uratował ci życie. Już zapomniałeś?

— O, Sparana. Jestem ci wdzięczny. Bardzo. Zatem... Jesteśmy sprzymierzeńcami, czy tak? Sprawdziłaś, czy czegoś nie zgubiłem, gdy mnie tu wlekli spitego?

— Masz sztylet, masz dwa granaty uwiązane na sznurku z wielbłądziego włosia, mały pierścionek ukryty w sakiewce i ten kawałek śmiecia na szyi, który zanieczyściłeś wymiocinami.

— Ja nie wymiotowałem — oburzył się Conan, jak zrobiłby to każdy pijak w tej chwili, i uśmiechnął się. A więc dobrze go przeszukała, nadzwyczaj starannie. — Nie brak niczego.

A... czy znalazłaś Oko Erlika na mej skromnej osobie, nagiej i nieprzytomnej?

— Drogi mój wybawco, szlachetny Conanie... Gdyby tak było, gdyby dopisało mi

szczęście, to przysięgam ci: otworzyłabym tył tego namiotu twym nożem, potem ukryłabym nóż w dobrej pochwie pomiędzy twymi żebrami cuchnącymi czosnkiem, a teraz byłabym kilka lig dalej w drodze na południe.

— Ech, ‘Sparana, ‘Sparana! Więc to ja miałem szczęście.

Przyciągnął ją lekko do siebie. Nie broniła się. Mruknęła tylko marszcząc nosek:

— Uff, piwo i czosss...

Głowa Conana cokolwiek protestowała, lecz Conan oddalił protest i kazał mu przyjść później.

SZPIEDZY ZAMBOULI

W mdłym świetle kaganków, uwiązane za ręce grubym szorstkim sznurem do jednej z belek, podtrzymujących strop lochu, kołysało się nagie ciało jasnowłosej dziewczyny. Była przytomna. Ostatkiem sił wyprężała palce stóp, by choć na krótką chwilę dotknąć nimi podłogi, odpocząć, uwolnić ramiona od potwornego bólu. Czarny tłusty dym snując się pod powalą dusił dziewczynę, jej oddech stawał się coraz bardziej chrapliwy, z kącika ust sączyła się krew.

Jeden z dwóch stojących w cieniu pod ścianą mężczyzn rozkazał:

— W górę.

Oprawca w czarnym kapturze sięgnął do sznura. Ujął go sękatymi dłońmi. Dziewczyna załkała, z jej piersi dobył się cichy szloch. Och, wiedziała już, co oznacza ten rozkaz.

Kat pociągnął za sznur. Ciało ofiary powoli sunęło ku górze, jęczała rozdzierająco. Żebra pokryte gęsto krwawymi śladami bata rozciągały się, jeszcze trochę, a udręczone ciało popęka, stawy otworzą się uwalniając kości, żebra przebiją jej skórę.

Człowiek w czarnym kapturze otarł pot z czoła, wprawdzie ofiara była lekka jak piórko, smukła młodzianka dziewczyna, lecz jemu ciążył brzuch i było tu piekielnie gorąco, i ten duszący dym... Pociągnął za sznur i zaraz popuszczał, ciało dziewczyny kołysząc się posuwało się w górę i znów opadało w dół. Nie mogła krzyżeć. Jęczała. W końcu podciągnął ją i zostawił wysoko pod belką. Wziął w ręce bat. Ciało kołysało się jak wahadło, gdy cios za ciosem zostawiały kolejny krwawy ślad. Ten sam mężczyzna spod ściany odezwał się znowu.

— Mów — rozkazał.

Była przytomna, usłyszała głos i w odpowiedzi za — skowyczała jak zwierzę. Nie powiedziała nic.

— Nie widzę powodu, by tracić czas na chłostę. Użyj żelaza.

— N–nieeeee — zawyła ofiara.

Oprawca popuścił nieco linę. Teraz czubki palców stóp dziewczyny były tuż nad podłogą.

Zza pasa wydobyl grubą skórzaną rękawicę, naciągnął ją na prawą dłoń. Sięgnął do żelaznego kosza z żarem, gdzie po węglach skakały małe wesołe płomyczki. Ujął drewnianą rękojeść żelaznego pręta. Drugi jego koniec był rozpalony do białości. Szybko, żeby po drodze żelazo nie zanadto przestygło, odwrócił się do swojej ofiary. Szeroko rozwartymi oczami wpatrzyła się w pręt. Kat uniósł żelazo. Ciało przeżyło się i dygotało, nagle spłynęło strugami potu. W

lochu rozszedł się swąd palonego mięsa.

— Mów!

Nie słyszała. Wypełniał ją ból.

— Mów!

Szmatą umaczaną w kuble zimnej wody uderzył ją w twarz. Walczyła o oddech.

— Mów!

Milczała.

— Żelazo!

Szarpnęła się. Wbiła spojrzenie w rozpalony pręt.

— Powiem... — szept słaby jak tchnienie oddechu.

— Wstrzymaj żelazo, Baltaju — mężczyzna wynurzył się z cienia, strojne szaty falowały, gdy szedł niespiesznie. — Ale trzymaj je w pogotowiu. — Akter Khan splótł ręce na wielkim obwisłym brzuchu i chwilę w milczeniu przyglądał się dziewczynie.

— Jesteś szpiegiem Balada?

Skinęła głową.

— Mów!

— Tak.

— Służysz kobiecie imieniem Chia?

— Tak.

— I szpiegujesz i ją, i mnie dla zdrajcy, Balada?

Zaschło jej w gardle. Khan skinął na oprawcę. Ten zbliżył się, mocniej ujmując żelazo.

— T-tak.

— Balad ci płaci?

— Tak.

— Jak? Co ci obiecał? Mów!

— Ja... Moi rodzice... On utrzymuje moich rodziców, a ja... mnie obiecał, że gdy

zdobędzie tron, ja dostanę całe mieszkanie mej pani, jej klejnoty i stroje, a... a ona będzie musiała mi... służyć.

— Ty tępa głupia Akwilonko! Czy naprawdę myślałaś, czy uwierzyłaś, że zajmiesz, że możesz zająć miejsce tej, którą ja zwę Tygrysią, która ma majestat królowej i ciało bogini dzikich kocic?! Czy uwierzyłaś, że ona służyłaby ci chociaż pół dnia, nie otruwszy cię pierwej?! Cóż, sama widzisz, ty akwilońska szmato, na co ci przyszło. W jaki sposób donosiłaś wieści Baladowi? Mów!!!

— Balad jest dobry! On uwolni Zamboulę, on nam da... Jej głos zmienił się w nieludzki krzyk, w wycie straszliwe, gdy żelazo przylgnęło do białej skóry. Zwiła bez czucia.

Otrzeźwił ją kubał wody i zaraz po tym smagnięciu pękiem pokrzyw. Zatrzęsła się, łzy szerokimi strumieniami płynęły z jej oczu, mieszając się z potem i krwią.

Opowiedziała, jak w pałacowym ogrodzie spotykała się z Khoją, strażnikiem, on nosił od niej wiadomości dla Balada. Sama nie widziała Balada nigdy. Przez Khoję Balad przysłał jej polecenia i kamień szlachetny, przez kogoś innego słał pieniądze dla jej rodziców. Nigdy nie napisał do niej niczego, wiedząc, że nie potrafi czytać. Na tym szlachetnym kamieniu rozpoznała jednak pieczęć i imię Balada.

— Ta pieczęć przypieczętuje twoją śmierć, mała podstępna suko.

— Nie! Panie mój, błagam cię — nie! Niiieee!!!!

— Baltaj, odsuń się stąd. Zafro! Stań przy mnie, moim życzeniem jest, abyś patrzył.

Zafra posłusznie postąpił krok, wynurzając się z cienia. Stał za plecami Aktera.

Wiedział, co teraz nastąpi.

— Zabij go! — rzekł khan.

— Zabij go — powtórzyły bezgłośnie wargi maga.

Kat zatoczył się na ścianę, i oparty o nią plecami, trzymając się chropawej powierzchni rozpostartymi dłońmi jak człowiek co ujrzał przed sobą demona, wytrzeszczonymi oczami gapił się na to niesamowite widowisko.

— Niiieee!!!!

Miecz khana, przepiękna zakrzywiona klinga, kołysał się moment w powietrzu,

pobłyskując w blasku kaganków klejnotami zdobiacymi rękojeść. Nagle, jak pchnięty niewidzialną ręką, przyjął kierunek i pomknął do celu z siłą piorunu. Bez trudu przebił na wylot szczupłą pierś dziewczyny, przechodząc przez serce, i zanurzony prawie po rękojeść lśnił, odbijając światło kaganków. Akter Khan z uśmiechem odwrócił się do maga.

— To wstyd odbierać chleb katowi, ale któż oparłby się pokusie użycia tego cudownego miecza? O, Zafro! Piękna rzecz!

— Nic się nie stało, mój dobry khanie. Możesz wszak teraz Baltajowi zostawić Khoję, niechże z nim kat sobie potańczy.

— Słusznie. Baltaju, strażę przywiodą ci drugiego zdrajcę. Pokaż mu wszystkie swe urzędnia, są warte obejrzenia. Tę tu, wiszącą, także mu pokaż. Może zna jakieś przyjaciółki tej akwilońskiej ścierki, Mitralii. Popracuj nad nim.

— Mój pan może odejść spokojnie, zajmę się tym strażnikiem.

— Nie wątpię. Wiem też, że potrafisz się jeszcze zająć ciałem Mitralii, hm, swego czasu i ja lubiłem takie zabawy... Dobrze. Tym większe wrazenie ciało powinno potem zrobić na Khoi. Podaj mi miecz.

Oprawca zbladł, trzął się cały, zgarbiony nagle, skulony.

— Panie, ja... ja...

— Bez obawy, Baltaju. Dla tych, co wiernie mi służą, mam szczerą nagrodę i otwarty skarbiec, nie ostrze miecza. Idź, bez mego rozkazu nie zrobi ci krzywdy.

Baltaj nie darzył jednak ukochanego khana zbyt wielkim zaufaniem, toteż idąc dygotał

cały jak przed chwilą Mitralia. Z największym wysiłkiem zebrał całą odwagę, a tej miał

niewiele, by sięgnąć do rękojeści i drugą ręką przytrzymując martwe ciało dziewczyny, wyszarpnąć z jej piersi miecz.

Tymczasem khan jeszcze rozmawiał z Zafrą.

— Ty jesteś takim wiernym sługą, mój Zafro. Doprawdy — Akter musnął czubkami

palców swój naszyjnik zdobiący od paru dni pierś Zafry — nie wiem już, jak ci mam wynagradzać twą wierną służbę, niedługo zbraknie klejnotów w moim skarbcu... Miałaś słusność, Mitralia naprawdę była szpiegiem. Ale jest już po wszystkim szczęśliwie, i drugiego, współnika, wydała w nasze ręce. Poradzimy sobie i z nim. A w końcu z Baladem.

Przyznaję, drzałem, że może być w to błoto wmieszana Tygrysica. Ucieszyłem się, słysząc, że Balad chciał z Chii zrobić niewolnicę.

— Muszę przyznać ci się, mój panie, że nabrałem podejrzeń, przyglądając się Mitralii u...

Gdy odwiedziłem Chię.

— Ty... Chię?

— Chciej pamiętać, że przysłałeś ją do mnie, bym godnie świętował powołanie do życia twojego miecza...

— Oczywiście, pamiętam. Jeszcze tego samego wieczora... Mówisz mi, żeś od tamtej pory widywał się z nią?

— Czasem... Panie mój. — Zafra pochylił głowę.

— Kochasz ją?

— Nie, panie — Zafra nie skłamał, to, co czuł do Chii, w żadnym razie nie zasługiwało na miano miłości.

— Czy więc ona kocha ciebie?

— Nie, panie.

Akter Khan wybuchnął rubasznym śmiechem, ubawiony serdecznie słabostką Zafry, tak nagle wyznana.

— Mój ty Zafro! Skoro sam ci ją wysłałem do zabawy, to jakże bym mógł ciebie winić za to, że umiła ci czas?! Poza tym, czy sądzisz, że nie wiedziałem o całej tej sprawie? Chyba nie doceniasz mnie, Zafro. Jednak, abyś przypadkiem nie posunął się zbyt daleko, znajdę ci inną kobietę. I przysięgam: nie gorszą.

— Twój miecz, panie — podając oręż swemu władcy, Baltaj zgiął się prawie do ziemi.

— A tak, miecz. Dobrze, żeś otarł go z krwi, Baltaju.

— Panie... — skłonił się Zafra, otwierając przed khanem drzwi wiodące z lochu, będącego pracownią kata, na korytarz na tyłach pałacu. Razem z khanem mag opuścił loch, a w małą chwilę potem strażnicy przyprowadzili Baltajowi Khoję...

— On rzeczywiście o nas już wiedział, Chia — rzekł nieco później Zafra, siedząc na łożu i gładząc włosy Argosanki. — Na szczęście od tej chwili jesteśmy bezpieczni. Czy wyobrażasz sobie... Był szczęśliwy, że odważyłem się wyznać mu prawdę o nas.

— A Mitralia?

— Spisała się wspaniale. Mówiła wszystko dokładnie tak, jak jej przedtem rozkazałem.

Moje czary i twój wywar z białych grzybków również spełniły swoje zadanie, bezwolny umysł Mitralii powtarzać jej kazał słowo za słowem, niczym modlitwę wyuczoną w dzieciństwie. Wskazała też na strażnika, o którego ci szło.

— Doskonale. Ten niewolnik ośmielił się na mnie spojrzeć, otwarcie! Ośmielił się podnieść na mnie wzrok!

— Och, Chia... Tego nie możesz mieć za złe nawet niewolnikowi. On też był mężczyzną.

— Był?

— Już nie żyją oboje.

— Cóż. Żal. Mitralia kochała moje włosy.

— Teraz kocham je ja.

— Czesłała je godzinami, robiła to lepiej niż ktokolwiek inny. Trudno będzie mi znaleźć nową taką służkę i wytresować ją równie dobrze.

— Ha, postaram ci się wynagrodzić utratę Mitralii — Zafra palcami rozczesywał lok za lokiem.

— Spróbuj, najdroższy...

— Chia... Musisz być teraz bardziej ostrożna, kiedy będziesz przekazywać wiadomości agentom Balada.

ESKORTA DLA DWOJGA ZŁODZIEI

Hajimen z gromadą swych wojowników miał odprowadzić gości na wielbłądach aż do bram Zambouli — tak zdecydował, Akhimen Khan. Conan nie miał powodu sprzeciwiać się takiej decyzji, przeciwnie, odetchnął z ulgą. Wreszcie będą mogli podróżować bezpiecznie, mając dość pożywienia i wody, czyste ubrania na zmianę i miłego towarzysza podróży.

Prawdziwy kłopot miał jednak teraz z Isparaną. Najpierw uparła się wrócić do męskiego ubrania i chodzić tak po oazie, ledwie zdołał to wybić jej z głowy. Przed wyjazdem zaś oznajmiła, że przynajmniej konia dosiądzie po męsku, w męskim stroju podróżnym.

— ‘Sparana, ten upał odebrał ci rozum. Oni są naszymi przyjaciółmi, lecz ich cierpliwość ma jakieś granice. Dla Shanki kobieta w spodniach to kobieta barbarzyńskich obyczajów. I jeszcze gorzej.

— Gorzej? Gorzej już być nie może. Ladacznica, dziewczka to nic, skoro jestem tu z tobą, z psem barbarzyńskim. Dla nich jestem twoją kobietą, mam twoje zwyczaje. Gorzej już być naprawdę nie może.

— ‘Sparana, spodnie to co innego. Oni nie potrafią tego zrozumieć, jeśli zechcesz towarzyszyć wojownikowi Shanki ubrana jak wojownik. Szkoda czasu, ‘Spa. Załóż na szyję kamień chroniący przed słońcem i czekaj gotowa. W luźnych szatach Shanki swobodnie, myślę, dosiądziesz konia.

— Conanie.

Zatrzymał się. Spojrzał na nią.

— Miałam miecz. I miałam sztylet. Miecz mi odebrałeś. Sztyletem ocaliłam ci życie.

— Będziemy mieć eskortę, Ispa. Tym razem naprawdę nie potrzebujesz broni.

— Daj mi sztylet i miecz.

— Cóż — Conan pamiętał pierwsze pytanie Hajimena, młody wódz pytał, czemu jego kobieta jest bez broni. Pamiętał też sztylet w plecach Yoggity i jak niewiele brakowało, by tamten rozplątał mu czaszkę. — Zgoda. Przy koniach mam całą zbrojownię. Wybierz, co chcesz.

— Sam wybierz broń dla mnie. Lepiej się na niej znasz, a poza tym... Ja mogłabym przesadzić nieco z ilością...

Conan uśmiechnął się i wyszedł z namiotu. Czy domyślała się, że wiedział — bo sprawdził

— iż w lewej cholewie buta ma dwie pochwy, a w nich płaskie wąskie sztylety? I jeszcze jej mało! Co za kobieta, ta Isparana...

Wśród pak gotowych do drogi była też ta, którą nazwał zbrojownią. Żartując pogodnie z Hajimem, gdy Akhimen Khan stał w pobliżu, otworzył pakę. Shanki znali się doskonale na broni, i choć Hajimen opierał się bardzo dzielnie, w końcu przyjął w darze porządny, poręczny w walce, akbitaneański miecz Sarida. Pokazał też Shanki pozbawiony głowicy miecz shadizarskiego fircyka, opowiadając przy tym, jak to z Khassekiem zamknęli jego prawowitego właściciela w śmierdzącej piwnicy. Hajimen docenił głębszy sens historyjki, nieraz Shanki musieli spotykać się z takimi typami w Zambouli, i mieli swoje zdanie co do ich zadań na dworze khana, gardzili nimi, lecz dotąd nie zdarzyło się, by któregoś potraktowali jak Conan, toteż Hajimen ucieszył się, że choć przyjaciel miał okazję dopiec któremuś. Zaś samo wyobrażenie wymuskanego paniczyka zatykającego delikatny nosek i w polerowanych butkach zstępującego w śmierdzący mrok wywołało wybuch szczerego śmiechu Shanki.

Iranistański miecz z Gór Ilbarsu wzbudził zainteresowanie i podziw, zwłaszcza że pieśczośliwie Conan nazywał go „nożem”. Potem Conan wyjął zgrabny, wysadzany pięknie lśniącymi w słońcu korundami sztylet Ferhada. Zważył go w dłoni.

— To dar dla mojej ukochanej, dla Isparany. Ja na pamiątkę zatrzymam ten, którego użyła ratując mi życie, a dla niej przeznaczyłem. Czy Hajimen uważa, że będzie jej godny?

— Hajimen spoglądał na ostrze wykładane srebrem, na wielki korund zdobiący głowicę.

— Piękny gest wojownika. Piękna broń. Piękna kobieta. Mam w namiocie ubranie, z którego wyrosłem już dawno, gdy nagle szybko wystrzeliłem w górę. Wiem, że kobieta Conana jest wojownikiem. Gdy odjedziemy kilka lig od oazy, dosyć daleko, by ten widok nie zabił mego ojca i innych Shanki, подарuję ten strój wojownikowi zwanemu Isparana.

— Przyjmie go z największą wdzięcznością, choć bardzo lubi kobiece suknie Shanki, dar matki Hajimena. — Tak samo ja lubię pokrzywy, Conan o mało nie powiedział tego głośno.

Pomyślał także, iż plemię Shanki może bardzo zmienić, i to szybko, swe obyczaje, gdy Hajimen zostanie ich khanem.

— Przykro mi, że nie mamy nic w rozmiarze odpowiednim dla naszego gościa. Znalazłem jedynie kaffiję i biały płaszcz z wielbłądziej wełny.

— Królewski to dar — Conan skłonił się. Trochę mało, wołałby dostać nową tunikę czy kaftan, gdyż jego strój mocno ucierpiał, szarpany od spodu kółkami kolczugi. Szybko jednak pocieszył się, że gdy od khana Zambouli otrzyma nagrodę, kupi choćby najdroższą jedwabną tunikę, wyszywaną złotymi nićmi.

Narzucił na ramiona biały płaszcz, obracając się, by Hajimen mógł nacieszyć oczy urodą prezentu. Młody wódz skinął głową.

— Wspaniale. Jeśli w Zambouli dodasz nowe buty, nowe spodnie, nowy kaftan i

wierzchnią tunikę... będzie w sam raz.

Obaj parsknęli śmiechem.

— W porządku. Gdy tylko oddam nóż Isparanie, możemy wyruszać.

— Nasze wielbłądy klęczą, gotowe wyruszyć z Conanem.

— Czy... mógłbyś nazywać mnie po prostu Conanem, jak brat?

— Właśnie to robię, gościu mojego ludu.

Conan westchnął z uśmiechem. Isparana mocowała się właśnie ze sprzączką pasa, u którego smutno zwisały dwie puste pochwy, czekając na sztylet i miecz.

— Mój sztylet?

— Chwileczkę. Ten sztylet, który wyjąłem z pleców Yoggity, zatrzymam sobie na pamiątkę, i chyba nie masz nic przeciw temu. Nie masz, prawda, moja słodka Ispy?

— Posłuchaj — w jej oczach zaświeciła wściekłość — mogę jeszcze znieść, gdy nazywasz mnie „Sparana”, ale nigdy, słyszysz, nigdy nie nazywaj mnie „Ispy”!

— Czy pamiętasz, jak spotkaliśmy się pierwszy raz, w komnacie domu Hisarra Zula?

Hisarr nigdy by nie uwierzył, że któregoś dnia ocalisz mi życie.

— Przypadek. Nie zdążyłam pomyśleć.

— Aaa. Rozumiem. Gdybyś zdążyła, zrobiłabyś jak tego dnia, kiedy dopadli nas

Khawarizmijczycy, i gdy ja położyłem trapem kilku, by umożliwić ci ucieczkę, ty mnie grzmotnęłaś w łeb kamieniem.

Choć z wyglądu kobieta, do tego po stroju sądząc, cicha Shanki — tak naprawdę to miał

przed sobą wojownika, Hajimen miał rację, i Conan musiał się teraz uśmiechnąć, gdy Isparana zacisnęła pięści.

— Chcę mieć mój sztylet, złodzieju!!!

— Spokojnie, Ispy... Pamiętasz, zdjąłem ci Oko Erlika...

— Psie!!! Ty... Ty chrząkająca barbarzyńska świniou!!!

— ‘Sparana, uczyniłaś z tych słów pieszczotę, na którą długo czekałem. Jakże rozkosznie jest słodka!

— Podglądałeś mnie przedtem jak lubieżny starzec, śledziłeś, kiedy kąpałam się w oazie!

Oglądałeś mnie naga, a potem... Przez ciebie do końca moich dni będę nosić tę bliznę na biodrze!
Czy to nie dość, barbarzyńska żmijo?!

— Wybacz mi, Isparano — rzekł nagle poważnie. — Gdybym przewidział, że Hisarr zrobi coś takiego, nigdy nie naraziłbym cię... — zmienił ton, znów kpił z niej — nie naraziłbym twoich ślicznych piersiątek ani bioder tak pięknych.

— Czyżbyś... kochał je...?

— Kocham je, Isparano. I chcę, byś wiedziała, że nie tknąłem cię tamtej nocy w oazie, choć mogłem, i warto było, a spałaś jak dziecko, kiedy dodałem ci soku z... do jedzenia.

— Ty najpodlejsza ze wszystkich barbarzyńskich świń, ty ryjący w błocie wieprzu! A...

— zaciekawiała się nagle — mówisz, że mnie nie tknąłeś...? Czemu? Mogłeś przecie...

— Nie jestem gwałcicielem, ‘Sparana — znów mówił poważnie, z jakąś niepojętą dla niej godnością, miękkim głosem, cicho.

Wytrzeszczyła na niego oczy, zdumiona i oburzona do cna.

— Ty?! Ty nie jesteś gwałcicielem?! Czy ja się nie przesłyszałam?! A coś ty zrobił kilka dni temu tam, na pustyni, kłamliwy, wyleniały kundlu?!!

— To było przed dwoma tygodniami. I to nie był gwałt.

Conan przeszył ją wzrokiem. Isparana odwróciła twarz. Milczała. Miał przecież rację...

Pragnęła go od pierwszego dnia.

— Widzisz, ‘Sparana, Khassek był dobrym człowiekiem. Zginął tamtego dnia z twojego powodu. Jak Sarid.

— Czy mam ci powiedzieć, że żałuję, że śmierć tego samariańskiego dzieciaka, którego wykorzystałam bez cienia skrupułów wtedy, teraz ciąży mi na sercu jak kamień? Co mogę teraz poradzić na śmierć twego przyjaciela...?

— Cóż. Może tak było pisane. Może, Lady Kiliya. Zawstydzona, spróbowała słabym uśmiechem pokryć zakłopotanie. Tam, w oazie, kiedy wpadli na nich łowcy niewolników, tak wywijając mieczem, tak się miotając, klnąc przy tym straszliwie, że w końcu od tych wrzasków i przekleństw jej własne wielbłądy zerwały się z uwięzi i umknęły w noc. To wtedy Conan, podając jej imię Khawarizmijczykowi, zmuszony do tego pałką po przegranej walce, rzekł, iż to Lady Kiliya, bliska krewna króla Samary. A oni, ci brudni łowcy niewolników, nie uwierzyli i śmiali się, że kobieta, która umie kłąć gorzej od nich, i w dodatku nosi spodnie, w żaden sposób nie może być jakąś Lady. Conan zrobił z niej pośmiewisko. Ba... w końcu nie była bez winy.

— Czy... była naprawdę jakaś Kiliya?

— Była — mściwie potwierdził Conan, wspomniawszy właśnie, jak tam w oazie Isparana bluzgała nienawiścią, ciskając przekleństwa, najgorsze, na jego głowę, życząc mu śmierci w męczarniach, już, tu, natychmiast. Ale strząsnął to przykre wspomnienie, uśmiechnął się: —

Była. Dziewczyna z Arenjun. Zwyczajna dziewczyna, nie kobieta, nie wspaniała jak ty.

— Arenjun. Shadizar. Było wiele dziewczyn. I kobiet.

— Mnóstwo. Nim spotkałem ciebie.

Patrzyła na niego, próbując zgadnąć, co znaczą te słowa. W oczach widziała czysty błękit.

W sadzawce, gdzieś w ogrodzie, drżało w tafli wody odbicie łanu niezapominajek.

— I było mnóstwo mężczyzn, dla ciebie. — Dodał.

— Kilku — westchnęła. Sarid był bardzo marnym kochankiem, Karamek jeszcze gorszym.

Pierwszy ją zgwałcił, gdy była prawie dzieckiem, następni nie lepsi, innych niemal nie pamiętała, w końcu Karamek, Sarid... — Chciałbyś zapewne, bym przyznała, że jesteś świetnym kochankiem, i że nie marzę już wcale, abym mogła ujrzeć cię posiekanego na kawałki, które psy rozwlóczą gdzieś po śmietnikach, czy tak? Czy tak, złodziejski kundlu?

— A tak...? — zaśmiał się cicho. — Nie, Isparana. Nie chcę niczego. Za to widzę, że ty, dobierając wciąż nowe miłe komplementy i przydomki dla twego Conana, chcesz zawrócić mi w głowie tym przyływem czułości. Pięknie. Cóż. Trzymaj, ‘Sparana. Twój nowy sztylet.

Wyciągnął zza pleców sztylet Ferhada i podał jej.

— Podoba ci się, Lady Kiliya?

— Ależ... Conanie! To rubin, prawda? Czysty, czyściutki, bez śladu skazy... Szafiry...

Tego nie znam. Conanie, to... szmaragd?!

— ‘Sparana, powiem ci szczerze: mam nadzieję, że te kamienie są prawdziwe, i że cały nóż jest wart sporo pieniędzy. Lecz wcale na niego nie licz. Cenna, lecz tylko zabawka.

Spójrz, czy ostrze tak głęboko i gęsto inkrustowane srebrem może mieć moc, może wytrzymać siłę uderzeń?

— Jest... Jest taki piękny... — podniosła głowę, by spojrzeć mu w oczy, i przez mgnienie Conan pomyślał, że świeci w nich chciwość, nim pojął, że błyszczą wzruszeniem, łzami wzruszenia. — Nie sprzedam go. Nigdy, Conanie. Ja... Zdobywałam łupy, odbierałam nagrody. Ale nigdy nie dostałam... prezentu. Pierwszy, i do tego od ciebie. Czy mogłabym go sprzedać?

Płakała. Łzy kapały na sztylet, na jej dłoń ściskającą kurczowo rękojeść. Miał ochotę utulić ją w

ramionach jak małą dziewczynkę. Ale tylko uśmiechnął się pół smutno, pół drwiąco.

— Cóż. Nie kupiłem go dla ciebie, ‘Sparana. Ukradłem tylko.

Otarła łzy. Śmiejąc się podeszła bliżej do niego. — 148 —

— A co ja robiłam w Arenjun? Kradłam! Karamek i ja byliśmy najlepszą parą złodziejską Zambouli, dlatego Akter Khan nas wysłał z misją, tylko złodzieje mogli znów skraść łup złodziejowi, jakim był Hisarr Zul. Wtedy wplątałeś się w tę historię ty... Byłeś lepszy, zdobyłeś Oko. Czy mogę się dziwić, że dar od ciebie jest łupem złodziejskim lub łupem rabusia zdobyty na drodze?

— Dzięki, ‘Sparana. Lecz to nie ja zdobyłem Oko. To ty okradłaś Hisarr Zula, a ja...

dałem się złapać.

Nagle przyłgnęła całym ciałem do niego, tuląc się mocno.

— Jak mogłeś pomyśleć, że prezent od ciebie ma dla mnie wartość pieniędzy, lub noży skuteczniejszych w walce? Kochany...

— Czyżbyś poniechała już wynajdywania mi tych rozkosznych imionek? Przywykłem być świnią, wieprzem, psem barbarzyńskim i kundlem. Dziwnie się czuję, gdy nazywasz mnie

„kochanym”.

— Conanie, proszę...

— Oj, ‘Sparana, ‘Sparana. Nasza eskorta już dosiadła wielbłądów. Pójdźmy lepiej, nim zaczną się niecierpliwić.

— Conanie, khan mi obiecał, że jeśli przywiozę mu Oko Erlika, nigdy więcej nie będę musiała kraść, wynagrodzi mnie tak, że będę mogła żyć jak zwyczajny, uczciwy człowiek.

W oczach Conana zabłyśło błękitne, bardzo jasne światelko.

— Dobrze. Więc najpierw złożymy wizytę khanowi Zambouli. I weźmiemy nagrodę, i nie będziemy musieli już kraść. A po wizycie u khana i po wzięciu nagrody... wynajmiemy największy pokój w najlepszej gospodzie w Zambouli. Co ty na to?

— Tak!!! Och, Conanie... W Gospodzie Królewskiego Turanu komnata dla Lorda Conana i jego kobiety, Lady Kiliyi. Co ty na to?

Śmiejąc się wyszli z namiotu wprost w słońce.

ZAMBOULA

Jeźdźcy Hajimena pierwsi dostrzegli w dali oddział konnych Cesarstwa Turanu, rozsypany po pustyni szeroką tyralierą. W chwilę później żołnierz będący najbliżej wzniosł trąbkę, i przytknąwszy do warg, zadął z całych sił. W odpowiedzi zagrały trąbki z prawa i z lewa.

Shanki wstrzymali wielbłądy, na rozkaz wodza ruszyli teraz stępa, spokojnie tak, jak posuwałyby się zwykła kupiecka karawana, ujrzawszy nie zgraję rozbójników, lecz wojsko Cesarza. Conan jednak widział, że miecze trzymają w pogotowiu. Przodem szły dwa rzędy wielbłądów pod wodzą Hajimena, za nimi, jakby za żywą tarczą, Isparana i chłopcy prowadzący juczne zwierzęta. Na końcu włókł się Conan, otrzymawszy chwalebne zadanie chronienia tyłów oddziału Hajimena.

Żołnierze zgrupowali się, sprawnie uformowali podwójny szereg, półkolem otoczyli wielbłądy. Nie wyglądało na to, że zamierzają atakować. Dowódca wysunął się przed oddział.

— Pozdrawiam wojowników Shanki!

— Pozdrawiam wojowników wielkiego Akter Khana! Hajimen, syn Akhimen Khana

Shanki, wita prefekta oddziału!

Głos Hajimena płynął nad pustynią mocny, zdawał się poruszać ziarenka piasku i przesuwać je w dal, aż usypią nową wielką wydnię. Przyjąwszy pozdrowienie dowódcy, dodał spokojnie:

— Udajemy się do Zambouli, by na targu wziąć dobrą cenę za nasze konie. Wojownicy Zambouli obrali, jak widzę, przeciwny kierunek.

— Jeżeli ci dwójce z tyłu to Isparana z Zambouli i jej towarzysz, to właśnie jesteśmy u celu.

Zostaliśmy wysłani, by chronić ją w drodze do khana.

— Tak, ja jestem Isparana!

Widząc, że Isparana pchnęła konia, chcąc wyjechać do przodu, przed wielbłądy, kopnął

Konia, którego, tak jak obiecał, nazywał teraz Zwycięzcą Wydm, i przezornie zajechał jej drogę. Dokładnie w tej chwili to samo uczynił jeden z wojowników Shanki. Musiała się zatrzymać. Conan podniósł głowę.

— Ja jestem Conan, Cymmerianin. Towarzyszę Isparanie w jej drodze. Akter Khan wie, że przybywamy?

— Wie, Conanie z Cymmerii. Powiedziano nam o Isparanie zbliżającej się do bram Zambouli od północy, i jej towarzyszu. Choć twego imienia nam nie podano. Mamy doprowadzić was do samego

pałacu.

— Cóż. Piękny to gest Akter Khana. Masz jakieś imię, prefekcie?

— Jestem Jhabiz.

— Znam cię! — wyrwała się znów Isparana. — Och, teraz się czuję naprawdę bezpiecznie.

Bowiem wieziemy, Jhabizie, to, czego oczekuje khan, i nadmiar przygód wyczerpał me siły.

— Zatem... Hajimienie, nie widzę potrzeby, byś jechał z nami do samej Zambouli. Niechaj Shanki odjadą swoją drogą.

— Przeciwnie, prefekcie. Mamy sprawy na targu w Zambouli, lecz Isparana i Conan są aż do bramy pałacu naszymi gośćmi, jako że spali w naszych namiotach, i na rozkaz Akhimen Khana nie wolno nam się oddalić, póki nie staną w murach Zambouli.

Prefekt odchylił się w siodle, z zadumą widoczną na twarzy żuł wypomadowany wąs.

Brzuch, który niedawno począł mu rosnąć i krągleć, będąc następstwem piastowanej godności, podrygiwał komicznie, gdy rosły kasztan z białą gwiazdką na czole jął grzebać w ziemi kopytem wielkim jak rondel.

— Zatem... Ha, skoro mamy takie same rozkazy, widzę, że będziemy musieli jechać razem.

— Shanki będą szczęśliwi, gdy wojownicy khana Zambouli przyłączą się do nich.

Conan wyszczerzył zęby. Zauważył, że to nie Shanki mieli przyłączyć się do oddziału konnych, ale konni do nich, różnica była dosyć znacząca... W przyszłości Hajimen chyba dobrze da sobie radę, gdy zostawszy khanem spróbuje podnieść prestiż plemienia. Teraz, dosiadając białego wielbłąda, w poblasku słonecznego światła przywodził na myśl ducha pustyni. Wielbłąd kołysał się, lekko biegnąc, a na znak Hajimena inne wielbłądy ruszyły za nimi. Prefektowi nie pozostało nic jak tylko pojechać przodem, na czele swego oddziału, mieć za plecami, prawie na karku, hardych Shanki z ich mieczami, a Isparany wiozącej bezcenny łup nie widzieć nawet z daleka... Pocięszył się prędko, że jeśli w tym szyku dotrą do bram Zambouli, to w mieście wszyscy pomyślą, że z honorem przywiózł tak liczną gromadę pod swoją i tylko swoją komendą. Na tę myśl poprawił się w siodle, podkreślił wąsa, mimo upału dumnie wyprostowany. Hajimen obejrzał się na Conana, wymienili spojrzenia. Obydwóm chciało się śmiać.

— Czy wielkość naszej świty zadowala Lady Kiliyę? — Conan zerknął spod rzęs na Isparanę, gnąc się w przesadnie głębokim ukłonie.

— Tak, Lordzie Conanie.

Jechali, a obydwa oddziały starały się zachować spokój, aby na postojach i w oazach nie doszło do

starć żołnierzy z wojownikami, gdyż Hajimen zdawał sobie sprawę, że racja w każdym przypadku byłaby po stronie żołnierzy Cesarstwa, zaś Jhabiz wolał nigdy nie zostać oskarżonym o rozdrażnienie pustynnych os. Dni mijały więc na podróży, a noce upływały szybko na wypoczynku.

Szóstego dnia Conan zobaczył daleko wśród piasków kiełki połyskujących w słońcu wież Zambouli. Szybko rosły i wkrótce wyglądem swym zaczęły przypominać zęby smoka. Konie rażno parszając ciągnęły ku stajniom, nie trzeba było ponaglać nawet juczych, za nimi chętnie szły wielbłądy. Zza wydm wyłoniły się białe mury miasta, złożone kopuły pałaców i świątyń. „Nic piękniejszego niż widok miast południa, zagubionych w pustyni, pojawiających się na widnokręgu niby jaśniejąca gwiazda”, pomyślał Conan, „i nic szpetniejszego niż ich ulice, natura mieszkańców i podłość khanów”. Och, niezupełnie miał słuszość, i wiedział o tym, ale tak mu się właśnie pomyślało. Czyżby w przyszłości przeznaczone mu było zostać poetą lub filozofem? Zaśmiał się krótko, natychmiast o filozofii zapominając, gdy ujrzał

bramę stojącą przed nimi otworem.

Wjechali w szeroką ulicę. Jhabiz ściągnął cugle wstrzymując konia, aż zrównał się z Hajimenem.

— Znasz chyba drogę na targ, wodzu wojowników Shanki?

— Znam. Lecz ruszę nią dopiero, gdy Isparana znajdzie się w pałacu.

— A czy znasz także, Hajimienie, synu khana Shanki, tutejsze przepisy, które zabraniają wielbłodom wstępu na Drogę Królów, a oddział liczący więcej niż dwudziestu ludzi nie ma prawa zbliżyć się do pałacu?

Hajimen patrzył przed siebie, wyniosły, jakby nie było obok niego nikogo, ot, powietrze, i jechał dalej, jakby nie padły żadne słowa. Jhabiz z wolna począł czerwienieć na twarzy.

Conan właśnie obrzucił obu dowódców przelotnym spojrzeniem, zajęty poznawaniem miasta. Bardziej wyczuł niż dojrzał, że coś jest nie tak. Zgadł natychmiast przyczynę, a dojeżdżając na czoło oddziału posłyszał echo ostatnich słów Jhabiza. Śmiało wjechał

między mężczyzn.

— Jeśli dobrze słyszałem, rzecz w przepisach? Prefekcie, ty znasz je najlepiej, i wiem z całą pewnością, że znasz też sposób stosowany w każdym mieście od wieków, mianowicie: w podobnych przypadkach dowódca dzieli swój oddział na mniejsze, i bez uchybienia przepisom, nieco wolniej, bo z małym odstępem, wszyscy wojownicy docierają w końcu do stopni pałacu.

— Hmm... Lecz, hmm...

— Jesteś mądrym człowiekiem, więc uczynisz mądrze, ty i sześciu twych ludzi zostanie tu z nami, reszta pojedzie ciut z tyłu albo osiągnie cel jadąc inną ulicą.

— Ale, hm, wielbłądy...

— To zmartwienie pozostaw właścicielom wielbłądów, i czynь mądrze, tak jak to

postanowiłeś przed chwilą, jeśli nie chcesz stać się przyczyną pogorszenia spraw, łączących dotąd Zamboulę z Shanki. Czy wiesz, co rzekłby ci khan, gdyby był tu w tej chwili?

Nie zazdrościł dowódcy, o nie. Prefektem targaty całkiem sprzeczne pragnienia, z jednej strony bardzo chciał pokazać obecnym, kto tutaj rządzi, z drugiej — bał się zawisnąć na murach Zambouli, żadna to w końcu przyjemność... Ba, wszystko przecie zależało od tego, czy wiódł khanowi więźnia, czy, przeciwnie — zwycięzcę. Conan nie wyglądał na więźnia ni na pokonanego, ten barbarzyńca zachowywał się jak khan, jakby był bratem rodzonym khana Zambouli. Bogowie... Odwrócił się do swojego zastępcy.

— Kejhasie, zbierz czternastu ludzi, zostańcie z tyłu, odczekasz nieco i pojedziecie za nami stępa. A wy... — obejrzał się na Conana, Hajimena i resztę wojowników — za mną.

Utalentowana złodziejka imieniem Isparana wracała więc do Zambouli otoczona świtą konnych Cesarza i wojowników na wielbłądach, w męskim stroju jastrzębia pustyni, z granatem lśniącem wielkości ziarna dużej fasoli wpiętym we włosy. U jej boku jadąc, Conan żartował z nią, i śmiali się oboje — para złodziei, ze świtą, na Królewskiej Drodze, w słynnym mieście Zambouli. I czekał na nich khan.

W mieście wzbudzili sensację. Jasnooki olbrzym w białym płaszczu, z czołem

przewiązanym szafranową przepaską, towarzyszący pięknej kobiecie, tak innej niż wszystkie Zamboulanki, iż nikt nie domyślał się jej zamboulańskiego pochodzenia, inaczej umalowanej, noszącej się odmiennie, dumnej niczym córka khana — ten olbrzym musiał być khanem dalekiego kraju, a ona jego żoną... Przechodnie tłoczyli się wzdłuż Drogi Królów snując domysły i plotkując zawzięcie.

Widać już było pałac. W ogrodzie, otoczone obronnym blankowanym murem, wznosiły się ściany z białych i błękitnych płyt kamiennych, złożone niebosiężne kolumny, nad nimi jaśniała blaskiem kopuła dachu. Przez ogród wiodły do wejścia schody o szerokich stopniach z różowego kamienia, zdobione szachownicą z płyt czerwonych i czarnych. Każdego stopnia strzegły stojące po bokach czerwone i czarne wykute w kamieniu pustynne lwy. Płonęły w słońcu liczne wieże, grubiutkie niskie baszty, krużganki i galerie, i osiem małych kopuł

przykrywających lekkie pawilony przytulone do ścian pałacu.

— Hajimenie... Czy Shanki potrafią się targować? — Conan zdumiał przyjaciela nagłym pytaniem.

— Myślę, że lepiej niż ktokolwiek w Zambouli...

— Czy w takim razie mógłbyś wyświadczyć mi przysługę? Weź, Hajimenie, moje konie i miecze, i sprzedaj wszystko na targu za najwyższą z możliwych cenę. Nie bierz w zamian niczego, czego nie mógłbym bez trudu mieć przy sobie. Mały naszyjnik, albo sznur zamboulańskich monet.

— Zrobię, jak mówisz. Dla Shanki to wielki zaszczyt targować się dla Conana z

Cymmerii.

— Uff. Czy syn khana Shanki zechce wyznaczyć mi miejsce, w którym spotkamy się za kilka godzin?

— Shanki będą czekać przy stajniach wielbłądów w dzielnicy miasta nazywanej Brązową.

Jeden Shanki znajdzie Conana, by poprowadzić go tam. Powodzenia, Conanie.

Conan skinął mu głową. U stóp schodów oczekiwała ich grupa Zamboulańczyków, strojnie odzianych, z dala woniejących przednimi pachnidłami, słońce przeglądało się w klejnotach.

Conan zatrzymał Zwycięzcę Wydm. Powoli zsiadł z konia i przeszedł dwa kroki do Isparany.

Jedną ręką ująwszy cugle wierzchowca, pomógł jej zsunąć się ostrożnie na ziemię.

Przytrzymał ją w ramionach, szepcząc w ciemne włosy:

— Oko Erlika mam pod ubraniem. To możesz mu powiedzieć.

— Kiedy...?

— Od początku, dziecino. Zawiesiłem je na szyi w dzień po tym, jak zabiłem Hisarra Zula.

Cofnęła się i byłaby krzyknęła, gdyby w porę nie zasłonił jej ust wielką dłonią, udając, że się potknęła i że chciał ją podtrzymać. Okrągłymi oczyma wpatrywała się w bezkształtny kawałek gliny z odpryskiem żółtego szkła, który zawsze nosił na szyi. Conan przymknięciem powiek potwierdził jej domysł. Uśmiechnął się.

— Chodźmy, ‘Sparana.

Nie odważyła się głośno zakląć.

Conan prowadził ją, a ona stawiała bezwiednie stopy, popychana, krok za krokiem, i myślała, jak to się stało, że dała się wywieść w pole, że amulet, którego daremnie szukała, przez cały czas był w zasięgu jej ręki, że drażnił ją swą brzydota, gdy leżała w ramionach Conana, i że nieraz rozmyślała o dniu, kiedy zdejmie mu to paskudztwo z piersi, w zamian dając mu cenny i piękny... Och, jej głupota była bez dna. Zagryzła usta do krwi, by nie wybuchnąć stekiem przekleństw godnych doprawdy tej, co urodziła się w Zaułku Skwatrów.

Tymczasem Conan pozostawił ją z tymi myślami, przez ramię rzucił do prefekta pytanie:

— Dopilnowałeś, by ktoś zajął się naszymi końmi? Jhabiz czołem dotknął kolan w ukłonie i zniknął jakby zdmuchnięty. Za plecami Conan usłyszał, idąc, krótkie rozkazy wyszczekane żołnierzom. Po chwili prefekt znów był przy nim.

— Kiedy będziemy rozmawiać z khanem, chcę, byś ty rozejrzał się za jakąś gospodą, dobrze, jeśli

najlepszą w Zambouli. Spotkasz się ze mną przy stajni wielbłądów w Brązowej Dzielnicy, nie później niż o zachodzie słońca.

— A jeśli khan zatrzyma cię dłużej?

— Nie zrobi tego.

Prefekt i Isparana aż przystanęli z wrażenia. Jakże on śmiał?!

— Szczęnię kupione na targu niewolników, szczęnię poczęte z wielbłąda i gnijącej żmii, syn i dziedzic żółtej khitajskiej liniejącej parszywej suki... — potok słów Isparany zalał

Conana doszczętnie, na szczęście tylko on, i to w niewielkiej części, rozumiał ich sens, gdyż Isparana dzięki jakiejś resztkę rozumu bluznęła w języku Shanki ich przekleństwami, których nauczyła się — bardzo szybko — w ciągu tej niezbyt długiej gościny w oazie.

— Dobrze. Będę tam — przemówił Jhabiz, odzyskawszy mowę. Conan uśmiechnął się. —

Co z nią jest? Co ona mówi?

— Kręci się jej w głowie, drogi prefekcie. To skutek nadmiaru słońca. Poza tym jest we mnie do szaleństwa zakochana i obawia się, że gdyby khan wziął ją do swego haremu, nie zobaczy mnie więcej. Och, te kobiety...

OKO ERLIKA

Gdy strojni i napuszeni dworzanie wprowadzili oboje z wszelkimi należnymi honorami do sali tronowej, Conan, pomny przygody w oberży Pod Czerwonym Lwem, szybko rozejrzał się wokół, sprawdzając, czy w razie potrzeby będzie mógł łatwo wyjść z tej komnaty. Och, tak tylko, na wszelki wypadek to sprawdzał... I od razu stracił złudzenia.

Weszli do komnaty przez wielkie odrzwia, ciężkie, okute srebrzonym metalem.

Natychmiast zamknięto je za nimi ogromną antabą. W obu bocznych ścianach widniały wprawdzie wąskie wysokie drzwi zdobione kasetonami, lecz zamknięte na głucho i na oko dość mocne, by nie poradził sobie z nimi nawet Conan, przynajmniej nie dość prędko. Poza tym sala była pusta, nie licząc, rzecz jasna, dworzan, strażników, no i khana, tam, na tronie.

Uff, Conan westchnął, i uznawszy, że w razie kłopotów będzie musiał radzić sobie całkiem inaczej, począł przyglądać się ludziom i sprzętom.

Tron ustawiono na podwyższeniu, by khan mógł z góry patrzeć na swych poddanych, zaledwie przekroczą próg głównego wejścia. O krok za tronem znajdowała się ściana, a w niej cztery podłużne pionowe otwory, zbyt wąskie, by nazwać je oknami — i by przecisnął się przez nie człowiek — ale wpuszczały do sali dość powietrza i światła. Głębokość tych okien dała Conanowi pojęcie o grubości murów pałacu... Cała ściana, stanowiąca tło dla osoby khana, była pięknie zdobiona wokół okien draperiami barwionymi szafranem i haftowanymi w zawily wzór splątanych roślin i lwich głów, równomiernie rozmieszczone na ścianie półkolumny dźwigały sklepienie, a z kamiennych mis pod oknami pięły się w górę bujne bluszcze o ciemnozielonych, jakby natartych woskiem połyskliwych liściach i nadzwyczaj czepliwych, dekoracyjnie wijących się wążach. Na tym tle tym piękniej prezentował się zawieszony odrobinę niesymetrycznie, na łokieć w bok za tronem, wspaniały, iskrzący przepysznej urody szlachetnymi kamieniami miecz. Zakrzywioną klingę kryła pochwa z plecionej czerwonej skóry, srebra i drogich kamieni. Złote gwoździe, złote klamry i fragment złotego łańcucha utrzymywały zmyślnie miecz na ścianie tak, by robił na oglądającym największe wrażenie. Conan osobiście wołał miecze mniej zdobne a lepiej sprawiające się w bitwie, lecz znając broń wszelkich możliwych rodzajów, nie mógł nie zachwycić się pięknem tego oręża. Dziwiło go tylko, że miecz wisiał na ścianie miast u boku wojownika, do którego należał. Ha, może to miecz pierwszego władcy Zambouli, i jedynie oznaka władzy, albo prezent od Cesarza. Obejrząwszy dokładnie to cacko, Conan więcej nie zaprzętał sobie nim głowy.

Wśród kolumn wznoszących się w sali na podobieństwo lasu, i by jeszcze to podobieństwo powiększyć — podtrzymujących strop jakby gałęziami, zebrali się grupkami dworzanie.

Conan nie wiedział, czy ich obecność była tu konieczna, wymagana protokołem, obyczajem dworskim, czy też ściągęła wszystkich ciekawość tak Oka Erlika, jak tych, co je dla khana zdobyli. Strażnicy stali z obu stron podwyższenia, odziani w błyszczące żelazo, wpatrzeni przed siebie i sztywni jak kukły. Bliżej tronu zajęli miejsca dwaj ludzie, najważniejsi w tym kraju, i Conan

przyjrzał się im uważniej.

Ten po prawej miał długą szatę i brokatowy płaszcz mieniący się brązem i szkarłatem, na szyi zaś ciążył mu łańcuch z ogromnych srebrnych ogniów. Łysy, z twarzą pokrytą gęstym zarostem przedzielonym na brodzie pasem wygolonej sprawiał trochę komiczne wrażenie, a troszeczkę żalodne, i wydało się Conanowi, że to niezbyt szczęśliwy człowiek, dręczony tajemną zgryzotą, a poza tym nie był już młody.

Drugi, przeciwnie, jak na osobę znajdującą się na dworze tak blisko khana był bardzo młody, niebrzydki, dość zgrabny, nosił się modnie i na dzisiejszą uroczystość przywdział

białą prostą tunikę do czerwonych obcisłych spodni, tunikę zdobił niezwykle medalion ze złota, pereł, topazów i wielkiego rubinu, a głowę przedziwny kapelusz. Tylko oczy były dziwne, te oczy przyciągnęły wzrok Conana — żółtawe jak oczy węża, a choć zdawały się nie mieć żadnego wyrazu, Conan dostrzegł w nich tyleż dumy, co inteligencji, tyleż ambicji zawładnięcia światem, co pogardy dla świata.

Oceniwszy obu visirów Conan wyciągnął prosty wniosek, iż z doradców khana liczyć się należy z tym drugim, bo jest niebezpieczny, a sądząc po jego pewności siebie bijącej z postawy, ten właśnie ma wpływ na khana.

Khan. Conan wreszcie ogarnął wzrokiem postać, spoczywającą dumnie na rzeźbionym tronie, na poduszkach purpurowych wyszywanych złotem. Ślady dawnej urody były coraz mniej widoczne pod zwalami tłuszczu, jeszcze nie całkiem odarty z wdzięku i męskiego piękna, stał się jednak ruiną człowieka, otyłym opojem, którego namiętnością były kobiety na równi z jadłem, co miał, jak natychmiast zauważył Conan, wyraźnie wypisane na twarzy.

Wzrok khana przesunął się z Conana na Isparanę, powrócił do Conana, i w końcu zatrzymał się na kobiecie.

— Isparana z Zambouli przybyła do swego khana — za plecami Conana rozległ się gromki, choć nieco drżący, głos prefekta. — Z nią przybywa Conan, Cymmerianin z dalekiej północy.

Słowom tym towarzyszyło skrzypienie piór, dwaj skrybowie siedzący u stóp visirów każde słowo zapisywali dokładnie.

— Niech prefekt złoży raport visirowi Hafarowi — Akter Khan rzekł łaskawie, a czujne ucho Conana wyłowiło w jego głosie ton skrywanego podniecenia.

Łysy doradca zstąpił z podwyższenia, za nim szedł jego skryba, starszy jeszcze niż on, Jhabiz dołączył do nich, a gdy strażnicy unieśli antabę drzwi po lewej stronie komnaty, wszyscy trzej opuścili salę. Nim drzwi na powrót zamknięto, Conan spostrzegł, że są naprawdę grube i mocne...

— Dlaczego obcy z dalekiej pomocy towarzyszył naszej służce, Isparanie z Zambouli? —

przemówił khan, a głos pełen powagi, groźny, na miarę majestatu khana, zadźwięczał echem pod wysokim sklepieniem. I Conan poczuł się nagle prawie nagi, zupełnie bezbronny. Jeśli Isparana zdradzi... Przecież miała kilka powodów, by chętnie popatrzeć jak jest bity, torturowany i... zabijany. Z ulgą usłyszał spokojny głos Isparany.

— Pomagał mi po śmierci Karameka. Dziś u stóp mego pana złoży to, po co zostaliśmy wysłani.

Khan jeszcze raz przeniósł spojrzenie sępich oczu na Conana. Skinął głową.

— Conanie z Cymmerii, oto stoisz przed obliczem Akter Khana, satrapy władającego Zamboulą i otaczającymi ją krainami z woli Yildiza Wielkiego, Pana Cesarstwa. Stoisz wśród jego dworzan i straży. Tu żadne niebezpieczeństwo nie może ci grozić, tak jak i mnie.

Zechciej oddać swą broń strażnikowi. Zostanie ci zwrócona natychmiast, gdy opuścisz tę salę.

Choć nikt go nie dotknął, Conan, widząc, że ostrza wszystkich lanc skierowały się na niego, poczuł niemiłe ukłucia, w wielu miejscach ciała naraz. Tuż za nim stanęło czterech takich w kolczugach i hełmach, prawie zakutych w żelazo. Patrzyli bez sympatii, koniuszki ich lanc były stanowczo zbyt blisko.

Przełknął ślinę. Dać się rozbroić? Bardzo pięknie! Ba, ale jakie miał wyjście? Khan wydał

rozkaz. Albo więc odda miecz, odda amulet i weźmie nagrodę — albo jego wezmą na ostrza i oddadzą khanowi. Walczyć? Komnata praktycznie bez wyjścia, tłum strażników i dworzan, za murem obce miasto i wkoło pustynia.

Spojrzenie Conana dotknęło miecza, wiszącego za khanem. Czy zdąży go dopaść, jeśli nie znajdzie lepszego rozwiązania? Ile czasu potrzeba, by przebiec, sięgnąć, wydostać miecz z pochwy, odwrócić się twarzą do wrogów i przyjąć walkę...? Ile czasu trzeba, żeby się przebić, żeby mieczem wyrąbać drogę przez tłum wrogów do tych drzwi, którymi wyszli visir i Jhabiz, ile, by dźwignąć antabę, prześliznąć się, zamknąć — tnąc wolną ręką straże za drzwiami...?

Odpiął klamrę i podał pas ze sztyletem i mieczem w tył, natychmiast czyjeś ręce zaopiekowały się bronią.

— Słusznym jest, by w obliczu khana żaden cudzoziemiec nie stał uzbrojony. — To rzekłszy Conan skłonił lekko głowę. Khan skinął dłonią.

— Zostawcie nas. Niech wszyscy opuszczą salę, chcę zostać z Zafra, Urujem i obojgiem naszych sług.

Conan słyszał, jak wszyscy posłusznie opuszczają salę, przesuwali się za jego plecami ku drzwiom. Na podwyższeniu pozostali tylko visir Zafra w dziwnym kapeluszu i jego skryba.

„Czemu zwyczajny skryba został, gdy agent khana będzie mu składał nieoficjalny, raczej zupełnie prywatny i tajny raport?”, zapytał Conan sam siebie, i natychmiast odpowiedział

sobie: „Rzeczą tego skryby nie było pisanie. Uruj z całą pewnością był osobistą ochroną khana, ogromny taki, że zwyczajnemu człowiekowi mógłby z łatwością skrócić kark. Mnie nie, ale bez trudu mógłby mnie związać walką, wtedy strażę zdążą rozwalić mi łeb”.

Niewesołe to były rozmyślania.

— Isparano, więc przyniosłaś mi Oko Erlika?

— Tak, mój Khanie.

— Podaj mi je.

Spojrzała na Conana, w jej oczach wyczytał lęk. Ach, do ostatniej chwili nie wierzyła, że on rzeczywiście ma ten amulet. Biedna Isparana.

— Ja mam amulet.

Conan uniósł ręce, by dosięgnąć rzemyka na szyi. Kątem oka dostrzegł, że Uruj przesunął

się czujnie, był teraz bliżej i gotów do skoku. Conan spokojnie wyjął rzemyk spod ubrania, rozwiązał go. Trzymając amulet kołyszący się na rzemyku w wyciągniętej ręce, patrzył — i wszyscy w napięciu patrzyli — jak podłużna łaza gliny obraca się, połyskując łagodnie odpryskiem szkła. Khan zmarszczył brwi. Conan skrył uśmiech.

Barbarzyńca przykucnął, delikatnie stuknął kilkakroć o posadzkę glinianą grudą — gruda pękła i rozsypała się. Isparana i khan zamarli w niemym zachwycie. Conan wstał, a w jego ręce na rzemyku kołysało się to.

Amulet zrobiono w kształcie miecza, długiego jak palec Cymmerianina. Miecz miał

głowicę z rubinu, ostrze srebrne, a na obu krańcach jelca migąły, obracając się wolno w takt ruchu rzemyka, dwa żółte kamienie, każdy przecięty pionowym czarnym paskiem na podobieństwo straszliwych oczu dzikiego kota albo któregoś z nocnych demonów. Nie tak amulet kojarzył się z mieczem, orężem, jak z czyjąś twarzą srogą, gniewną, budzącą lęk, patrzącą na nędznego człowieka tymi strasznymi, siejącymi trwogę oczami.

— Oko Erlika...

Akter Khan ledwie szeptem wypowiedział te słowa, ale zagrzmiały w pustej sali i kolumny powtórzyły je echem. Khan wyprostował się, wpił dłonie w poręcze, aż kostki palców zbieleły. Przyglądając mu się Conan pomyślał, że khan i amulet patrzą na siebie takimi samymi oczami, choć oczy amuletu rozplomieniał poblask światła w kamieniu, a oczy khana

— pożądanie.

Akter oderwał jedną dłoń od poręczy i wyciągnął przed siebie.

— Do mnie — wyszeptał głosem drżącym, napiętym. Po trzech miesiącach trudów,

przygód, niepotrzebnych śmierci z powodu tej błyskotki i kaprysu tego słabego, ulegającego swych zachciankom człowieka Conan miał dziwny stosunek do amuletu. Najchętniej chyba zabrałby go z sobą i zakopał w pustyni, albo rzucił w wody górskiego jeziora. Ba, ale wtedy nagroda... Odwróciwszy się szybko od khana ujął dłoń Isparany i włożył w nią Oko Erlika.

— To była twoja misja, ‘Sparana, więc zakończ ją.

Isparana wstąpiła na podwyższenie. Z głębokim ukłonem włożyła amulet w ręce khana...

Nic się nie stało. Nie zagrzmiął grom, nie zaiskrzyły błyskawice. Nie rozgorzały ślepia amuletu.

Tłusty khan wziął z rąk złodziejki Oko Erlika, ona pokornie przyklękła na jedno kolano, schylając głowę.

Khan wyprostował się, odchylił do tyłu.

— Wstań, Isparano. Oddana z ciebie sługa, warta nagrody, jaką ci wyznaczyłem. Wstań.

Na wielobarwnej szacie khana, na jego piersiach, lśnił cudownej roboty klejnot: złoty gruby łańcuch misternie kutych potrójnych ogniw podtrzymywał uskrzydłony szczerozłoty kwadrat. Wewnątrz kwadratu umieszczono wielki okrągły kwiat, a w każdym rogu takie same małe. Srebrne liście ujmowały w objęcia te kwiaty o srebrnych płatkach i złotych środkach.

Na złocie wśród srebra płatków przysiadł rubin na podobieństwo kolibra, środkowy wielki, i cztery maleńkie... Khan zdjął naszyjnik i podał go Isparanie. Gdy ona wkładała przez głowę klejnot, khan własnoręcznie na swojej szyi zawiązał rzemyk z surowej skóry, pogładził Oko Erlika, jakby upewniając się, że naprawdę spoczęło na jego piersi. Mimowiednie Isparana zrobiła to samo, głaszcząc pieśczołliwie rubinowe kolibry.

— Skoro staraliście się oboje, oboje otrzymacie nagrodę. Zbliź się, Conanie z Cymmerii.

Conan znów poczuł gęsią skórkę i dziwny chłód w okolicy krzyża. Owszem, oddanie amuletu agentce i wyrzeczenie kilku miłych słów nie kosztowało nic, a było zręcznym posunięciem, jak jednak może czuć się wojownik, zdany na kaprysy kobiety, na jej dobrą wolę i sentymety — lub nienawiści? Bez broni, bezradny jak dziecko... Gdyby jej nie przeszkodził, zapewne już dwa miesiące wcześniej oddałaby Oko khanowi i wolna cieszyła się życiem, i o tym pamięta, zapomniawszy, że być może zgniłaby dawno w niewoli schwyтана przez Khawarizmijczyków, gdyby on jej nie oswobodził, albo, na samym początku wpadłszy w szpony Hisarra, dziś byłaby żalosnym stworem bez duszy na służbie

czarnoksiężnika. Nie sądził, by Isparana teraz o tym myślała, zwycięska, już wolna, w łaskach u Akter Khana... Uff, chyba zanadto jej zaufał, zanadto ryzykował wchodząc tu i

pozbawiając się broni. Skinął głową, nie siląc się na służalczy ukłon.

— Jaki był twój udział w misji, która Isparanie zabrała tak wiele miesięcy?

Ton głosu i wspomnienie o wielu miesiącach obudziły czujność Conana. Khan musiał

sporo wiedzieć. Skąd? I na to pytanie Conan szybko otrzymał niemą odpowiedź: żółte oczy visira wpatrywały się w niego nieruchome, przeszywając go na wskroś wszystkim mówiącym spojrzeniem. Conan postanowił nie kłamać i trzymać się prawdy na tyle, na ile to będzie możliwe.

— Po części to z mojego powodu misja zabrała Isparana tych kilka miesięcy, Khanie Zambouli. Spotkaliśmy się jako wrogowie i przez pierwsze tygodnie traciliśmy czas na walkę ze sobą. Lecz dziś Isparana wie, iż wówczas byłem jedynie bezwolnym sługą Hisarra Zula, posłusznym wykonawcą jego rozkazów więzionym w mocy czarów.

— Jakże to się działo?

Conan z zadowoleniem przyjął zdumienie, które powitało jego tak otwarte wyznanie, i z zaciekawieniem khana przyjął za dobry znak.

— Hisarr, który dziesięć lat temu wyjechał z Zambouli i który na pustyni zamordował

swego brata Tosyę, a Tosya oślepiiony szalał w Smoczycch Wzgórzach i mordował ludzi stawszy się Piaskowym Demonem, Hisarr, który ukradł Akter Khanowi jego amulet, a Conanowi z Cymmerii duszę... — ten Hisarr nie żyje.

Po raz pierwszy człowiek stojący u boku satrapy otworzył usta.

— Zabiłeś Hisarra Zula? — zapytał Zafra.

— Tak. Żywym ogniem. Na zawsze. Spłonął też jego dom.

— A cała jego wiedza? Jego zwoje, przybory...?

— Wszystko spłonęło razem z nim, przesiąknięte tym samym jadem.

— Doskonale! — wykrzyknął Akter Khan.

Visir milczał, a twarz jego, pozornie spokojna, dla Conana otwarta jak książka, wyrażała tyleż rozczarowania z powodu zniszczenia pracowni Hisarra, co wstrętu wobec postępków Conana. Widząc te uczucia Conan zrozumiał natychmiast: visir był magiem, i jego młody wiek nie miał tu nic do rzeczy. Conan naiwnie wyobraził sobie kiedyś, że każdy mag musi być wiekowym starcem, a zapomniał, że i wódz w polu zdarza się młody, gdy lepiej niż inni włada bronią i prowadzi do boju i gdy w dodatku okoliczności otworzą mu drogę do wielkiej kariery. Jeżeli umarł mistrz tego tutaj człowieka, ów mógł wcześniej przejąć sukcesję czarnoksiężką. Albo też, a sądząc po wyglądzie i zachowaniu, tak właśnie być mogło, visir równie dobrze posługiwał się magią jak Conan bronią, co khan potrafił docenić... Należy więc przyjąć, że ten dostojnik nie tylko jest magiem, ale że khan liczy się z jego zdaniem.

Isparana przyglądała się tamtemu otwarciu. Młody, nawet przystojny, o fascynującym spojrzeniu żółtych oczu. Od razu poznała na jego piersi naszyjnik khana, Akter miał go na szyi, gdy opuszczała

Zamboulę. Skoro teraz zdobił pierś tego młodzieńca, nie byle kim musiał być nowy właściciel. Bystry wzrok Isparany rozpoznał też dwa pierścienie i złotą klamrę. A więc to nie jakaś jednorazowa zasługa — kilka wielkiej wartości klejnotów zdobiło młodego człowieka niczym order, świadcząc o wielu zasługach i znacznej pozycji, jeżeli nie najwyższej na dworze khana... Ha, znaczy, że zaszły spore zmiany. I to jak szybko!

W tej chwili wisior, prezent od khana, przesunął się, znajdując sobie wygodniejsze miejsce między jej piersiami. Jakby przypominał, że i u niej nic nie zostało po staremu, od chwili gdy wyjechała stąd z Karamkiem, zwykła złodziejka wychowana przez Zaułek Skwatrów. Nie narzekała. Zaułek zrobił z niej złodziejkę, dzięki Zaułkowi była teraz panią. I nie musiała wracać do Zaułka Skwatrów... Spojrzała na Conana. Potem znowu na młodego visira.

— Widzę, że interesuje was osoba mojego doradcy. Słusznie, gdyż jest to postać niepospolita. Zafra, Czarnoksiężnik Zambouli, mój Nadworny Mag, pierwszy visir. — Zafra skinął im głową ledwie zauważalnie, nie obdarzając spojrzeniem. — Nie było go tu w czasie, gdy Isparana wyruszała w drogę, rozumiem jej zaciekawienie.

Isparana skłoniła się ze skromnym uśmiechem. Conan spojrział z powagą na khana.

— Hisarr powiedział mi, że Oko jest magiczne, ma wielką moc. Czy Zafra potrafił się porozumieć z Okiem na tę wielką odległość? Wiedziałeś, czarnoksiężniku, że zbliżamy się do Zambouli?

Wargi Zafry drgnęły, jakby składając się do uśmiechu. Khan odpowiedział zamiast niego.

— Czy Czarnoksiężnik Zambouli ma powiedzieć ci, Conanie z Cymmerii, gdzie było Oko, dzień po dniu?

Conan uśmiechnął się.

— O tym opowiedzieć powinienem ja, ale skoro wiesz, Khanie Zambouli, daruj mi tak długą opowieść.

— Daruję, lecz ty opowiedz mi w zamian, jakimże to sposobem staliście się przyjaciółmi z Isparaną.

— Zaczniemy zatem od tego, że Hisarr uwięził moją duszę w zwierciadle...

— Więc posiadał tę umiejętność naprawdę?! — zakrzyknął Zafra, i aż skulił się słysząc własny głos, pojąwszy, iż dał się ponieść emocji, odsłaniając swe myśli obcym. Conan udał, że niczego nie spostrzegł.

— Tak, posiadał naprawdę. Umiał uwięzić duszę i uczynić człowieka niewolnikiem swej mocy magicznej, nieszczęsny musiał wypełniać rozkazy maga, posłuszny jak pies. Uwięził

moją, a przede wszystkim — tu Conan zwrócił się do khana — pragnął posiąść twoją, Khanie Zambouli. — Akter Khan drgnął i lekko przybladł, wyobrażając sobie z łatwością, w co zmieniłby jego życie Hisarr Zul. A Conan mówił dalej: — Do tego nie mogłem dopuścić.

Musiałem dogonić Isparanę, zajeżdżając konie i niemal gubiąc siebie w piaskach pustyni, wpadłszy w łapy Piaskowego Demona, musiałem odebrać jej amulet i zawieźć do Hisarra Zula. Był to jedyny sposób, by zniszczyć tego maga, i ocalić ci życie, Akter Khanie.

Po chwili milczenia, które zapadło, gdy Conan przerwał opowieść, by zaczerpnąć tchu, a khan z zadumą patrzył na cudzoziemca, Akter odezwał się cicho:

— W pewnej chwili, później, ruszyłeś z Okiem na północ...

Isparana zbladła. Szepnęła, z trudem rozwierając zaciśnięte zęby:

— Schwytali nas łowcy niewolników z Khawarizmu... Ale uwolniliśmy się.

— Lecz wtedy ty skierowałaś się ku Zambouli, a Oko — nie ustępował Akter —

powędrowało na północ. Z tym człowiekiem jak sędzę — khan palcem wskazał

Cymmerianina.

— Zgadza się, Khanie Zambouli — rzekł Conan spokojnie. — Widzę jednak, że nie wiecie najważniejszego: tych amuletów było kilka.

— Kilka?! — khan i mag nachylili się, żeby lepiej słyszeć i widzieć twarz Conana.

— Kilka. Kopie, wykonane nadzwyczaj zręcznie, ze złota i szlachetnych kamieni, bardzo udane, ale bez jakichkolwiek magicznych właściwości.

— Kopie... — khan ujął w dłoń swój amulet, i Conan wiedział, że serce mu wali, oszalałe z trwogi, że to, co ma na piersi, może okazać się tylko kopia.

Zafra odezwał się szybko:

— Uspokój się, panie. Ty masz prawdziwe, i już jedyne, Oko Erlika.

— A co stało się z kopia, którą ty wiozłaś?

— Została zniszczona. Hisarr bowiem chciał dostać prawdziwy amulet i miał magiczne sposoby, by odróżnić Oko od podobnych klejnotów. Kopie spłonęły.

Conan zerknął na wiszący za khanem miecz. Ten fragment rozmowy zupełnie mu nie odpowiadał, Isparana za dobrze i bez tego pamiętała szczegóły, i gdyby nagle zapragnęła dokonać zemsty... Starczyło, by teraz wypowiedziała kilka słów.

— Dzięki niech będą Hanumanowi, że wtedy nie miałaś Oka na sobie, gdzieś pod ubraniami!

— Tak. Miałam szczęście — uśmiechnęła się lekko, zerkając przy tym na Cymmerianina.

Conan powstrzymał westchnienie ulgi. Nie, lepiej nie ufać Isparanie. Być może kochała go naprawdę, być może dawno mu wybaczyła, ale pewności żadnej nie miał, a przecież mogła zatrzymać swoją wiedzę dla siebie, tylko po to, żeby później go szantażować, nie chceć skrzywdzić, lecz jednak panować nad nim skutecznie. Jakkolwiek było — on musiał szybko coś teraz powiedzieć, nim tamci pomyślą, że go złapali w pułapkę — jeżeli ten przeklęty Zafra naprawdę wszystko wie.

— Prawdziwe Oko, Khanie Zambouli, było w tym czasie bezpieczne, zamaskowane tak, jak to widzieliście, w Khau — ranie i w Shadizarze.

— I Conan nigdy nie próbował mnie zabić, uwolnił mnie z niewoli u Khawarizmijczyków, a tak łatwo mógł mnie im zostawić i umknąć z Okiem, i samemu wziąć za amulet nagrodę.

„Na Croma! Tak prawie zrobiłem, i gdyby nie drobiazg... Ale ze mnie bohater!” Czuł wdzięczność dla Isparany, teraz naprawdę wybawiła go z grubych kłopotów. Zapomniał niemal, że gdyby nie jej pomysły, wcale by go tutaj nie było...

Tymczasem khan spojrzął na swego czarnoksiężnika jakby mówiąc mu wzrokiem:

„Widzisz, jednak nie kłamie. Nie miał pojęcia, że obserwowaliśmy go tak dokładnie, a jednak powiedział nam rzeczy prawdziwe”. Twarz Zafry pozostała bez wyrazu, choć dla świętego spokoju przymknięciem powiek przyznał słuszność władcy. Władcom lepiej zawsze przyznawać słuszność. A co do Conana — Zafra miał własne zdanie.

Khan oparł się wygodnie i gładząc amulet spoczywający na jego piersi, a widać było, że sprawia mu to ogromną przyjemność, zagadnął:

— Wiele przygód musieliście przeżyć. Dziś zatem zjecie ze mną kolację. Chętnie wysłucham opowieści o waszych przygodach.

— Wielki to dla nas zaszczyt — miauknęła Isparana skłoniwszy się dwornie.

— Wojownik z Cymmerii jest zaszczycony, Khanie Zambouli — rzekł Conan nie mniej dwornie, za to bez ukłonu — lecz pewne sprawy, sprawy wielkiej wagi, wymagają, bym spotkał się jeszcze dziś o zachodzie słońca z synem Akhimen Khana. Czy pozwolisz, bym go przynajmniej powiadomił o zmianie terminu?

— Więc i Akhimen Khan występuje w tej historii! No, no, Conanie, jestem pełen

podziwu... Dobrze, prześlę Shanki wieść przez posłańca. Ten sam posłaniec przygotowuje też dla was pokoje w Gospodzie Królewskiego Turanu. Hm, Zafra już zdążył się przekonać, że dla moich wiernych sług jestem dość hojny, by ich rzetelnie uszczęśliwić. Dzisiejsze spotkanie niechaj więc będzie początkiem bliższej znajomości i — hojności khana Zambouli dla wiernych sług. Dopilnuję,

byście dostali nowe ubrania i wszystko, czego możecie potrzebować po tak wyczerpującej podróży.

Conanowi przemknęło przez myśl, że wszystko czego naprawdę mu potrzeba, to jednak miecza przy boku. No... Może jeszcze tego największego pokoju w największej gospodzie w Zambouli, o czym mówili niedawno z Isparaną... Napotkał jej spojrzenie, rozświetlone szczęściem. I uśmiechnął się.

CONAN BOHATER

Przez lata przygód i wędrówek Conan nauczył się, że biały kolor ma wiele odcieni, inna jest biel spalonych słońcem piasków w sercu pustyni, inna jagnięcych skórek. Z dzieciństwa pamiętał biel śniegu, biel mleka. Teraz odkrył biel bogactwa: biel urzekających śliskich jedwabi, chłodzących zmęczone upałem ciało, spowijających miękko członki... Stał przed lustrem niczym kobieta, podziwiając swoje odbicie. Zwierciadło nie mogło kłamać, był

piękny, młody i po królewsku odziany! Biały kaftan z khitajskiego jedwabiu haftowany szkarłatem i złotem, przepasany czerwonym pasem, rozchyłał się lekko w rozcięciu, ukazując potężną pierś. Muskularne nogi wyglądały wspaniale w czerwonych obcisłych spodniach.

Stroju dopełniały długie buty z polerowanej żółtej skóry i żółta jedwabna przepaska na czole, musiał przyznać, że przy niej włosy wydawały się jeszcze czarniejsze, a oczy jeszcze bardziej niebieskie. Ale przede wszystkim ten biały jedwab... Co za cudowna, miękka biel! Jednak mimo tych samozachwyków i ćwiczenia uśmiechów w zwierciadle — pozostał Conanem.

Wykapany, zaledwie się ubrał, zbiegł bocznymi schodami do ogrodu od strony pałacowych stajni. Był Conanem, i musiał na własne oczy przekonać się, że o konie zadbano nie gorzej niż o niego, a jego rzeczy starannie złożono w komorze. Uspokoił się widząc, jak dobrze mają się wszystkie zwierzęta, godziwie karmione, pojone i lśniące wyszczotkowaną sierścią.

Służba zajęła się również siodłami i bronią, wszystko błyszczało gotowe do drogi.

Podchodząc do koni zawołał po imieniu Zwycięzcę Wydm, zwierzę nadal żuło obojętnie wieczorny posiłek. Conan aż tupnął nogą:

— Zwycięzco! — koń jednak nawet nie zastrzygł uszami.

Conan uśmiechnął się chytrze.

— Hej, Koniu...?

Koń zarżał radośnie, zatańczył w swojej zagrodzie, nadstawiając szyję do poklepania.

Conan, śmiejąc się, drapał Zwycięzcę za uszami, mruczając przyjaźnie:

— Widzisz, i tak to jest, kiedy się nazwie szlachetnym imieniem głupie bydło... I wiesz co, Koniu? Mnie w tych jedwabiach też jakoś dziwnie... Ba, ale nie jestem tobą, i mimo wszystko potrafię je docenić.

Tak pogadawszy przez chwilę z Koniem, zawrócił rażno ku tylnemu wejściu do pałacu.

Stały tam wprawdzie strażnicy i zapytano o hasło, lecz Conan zbył natręta warknięciem, sam ton

wystarczył, by go puszczo no natychmiast.

W komnacie przed zwierciadłem zastał Isparanę. Aż zaparło mu dech na ten widok.

Isparana w sukni z białego jedwabiu, z nagimi ramionami. Suknia górę miała obcisłą, podkreślała kształt piersi, smukłej talii i cudownych bioder, ku dołowi spływała falami materii, dzięki czemu Isparana wydawała się płynąć na chmurze, białej, śnieżnobiałej, wyszywanej bladobłękitną nicią i drobinami srebra. Ciągnąc za sobą po posadzce tren, Isparana postąpiła ku chłopcu... Mało nie oszalał z zachwytu i pragnienia, piłby teraz tę Isparanę jak wodę źródlaną, nigdy nie mając dość. Jej oczy płonęły, kiedy wpatrywała się w niego przez tę krótką, zbyt krótką chwilę, nim otworzono drzwi komnaty i nim wszedł Jhabiz, mający rozkaz sprowadzić oboje na dół.

Conan westchnął, ruszył korytarzem obok Isparany, delikatnie podtrzymując jej łokieć, gdyż tak bardzo była zajęta walką z trenem krępującym stopy, że łatwo mogła potknąć się, upaść. Więc Conan szedł przy niej — i marzył. W małej jadalni oczekiwał ich khan, spoczywając wśród stosu wielobarwnych poduszek. Opodal zajęli miejsca Zafra i jego skryba.

Przy stole usługiwali mali chłopcy, z ich rysów i koloru skóry można było domyślić się niewielkiej domieszki stygiańskiej krwi. Gdy Conan i Isparana zasiedli wygodnie, podano wyszukane dania. Isparanę zachwylił dobór wykwinnych potraw, ustroje nie prześlizgnięta dekoracją półmisków i waz. Conan odkrył dla siebie dzbany wina z piwnic Akter Khana, od tej chwili smakowało mu wszystko, cokolwiek jadł, od delikatnych piersi kurczęcia, przyrządzonych na słodko, po pikantny, mocno korzenny udziec pieczony na różnie —

wszystko jednak o przegryzał owocami, sięgając raz po raz do wielkich pater, i wszystko szczerze podlewał winem. Tej nocy Conan postanowił nie przejmować się niczym, ani tępym wzrokiem nieprzyzwoicie trzeźwego Uruja, wgapionego w niego niczym zapaśnik w rywala na dzień przed walką, ani Zafrą, który milczał i słuchał, za to słuchał z podwójną uwagą, każde słowo notując w pamięci. Khan zasypał gości nadmiarem pytań, ledwie nadążali z odpowiadaniem, khan zaś dolewał wciąż wina, tak im jak sobie, a im bardziej był

pijany, tym uporczywiej pytał o każdy drobiazg. Zanim Conan obgryzł ostatnią kosteczkę, zanim dopił ostatni kubek morelowego wina, khan podarował mu złoty kubek, dziesięć monet zwanych turańskimi Orłami, i zakończył wieczerzę. Obaj byli rzetelnie zalani, khan bełkotał

coś o niezwykłym bohaterstwie, które należytej doczeka się jutro nagrody, Conan plótno, że gotów jest życie poświęcić, do śmierci służąc Zambouli i jej khanowi. Wytoczyli się obaj z komnaty — khan w ramionach Uruja i Zafry, Conan wleczony przez Isparanę. I choć przed chwilą Akter podarował Conanowi wspaniałe suty płaszczy z wielu jardów najcenniejszej purpury, Conan stwierdził że noc jest zbyt chłodna, by iść do gospody... Uparł się przemocować w pałacu. Jakim sposobem znalazł się w tej komnacie — nie potrafił rano powiedzieć. Obudził go wściekły ból głowy, smak skwaśniałego wina bulgocącego w zmęczonym żołądku. Pod oknem, z nic dobrego nie wróżącą miną, siedziała Isparana. Krótko mówiąc: dyszała nienawiścią, Ba, nie tak miała wyglądać ta ich pierwsza w mieście noc...

Conan, jęcząc, przetoczył się z boku na bok i jakoś usiadł, udało mu się nawet po kilku próbach

wstać. Czuł na sobie pełne pogardy spojrzenie Isparany... Ale nie przejął się zbyt. Ale nie przejął się zbyt.

Ostatecznie trudy podróży i znój ciągłej walki, co dzień grożące niebezpieczeństwa — to wszystko było już za nimi. Pił w końcu nie z byle kim, ale z władcą dużego kraju, satrapą, i razem się spili, i miał na sobie drogocenne jedwabie, i Isparanie niczego teraz nie brakło.

Czyż życie nie jest piękne? Czyż jakieś prawo miałoby teraz zabraniać mu używać życia i cieszyć się każdym dniem? Khan wyglądał na porządnego człowieka, szczodry, łagodny.

Czego więcej chcesz?

A ponieważ khan był od rana zajęty wypełnianiem swych obowiązków, udzielaniem posłuchań, podejmowaniem ważnych decyzji, Conan i Isparana postanowili zwiedzić miasto.

Wybrali się na przechadzkę w towarzystwie prefekta, szli sobie wesoło, pogryzając suszone morele i figi, popijając u studni chłodną, orzeźwiającą wodę.

Tak dotarli do wielkiej gospody, budzącej podziw świetnością fasady, gdzie mienił się w słońcu ogromny szyld. Przedstawiał złotego gryfa na szkarłatnym tle.

— „Złoty Turan” — szepnęła Isparana.

Poprzedzani przez Jhabiza weszli do środka. O, mogło zakręcić się w głowie od tych hołdów, z jakimi byli witani. Po Zambouli już wczoraj rozeszła się wieść, że khan ma niezwykłych gości. Mało kto znał przyczynę tej niezwykłości, lecz oddanie do dyspozycji tej pary najwspanialszych komnat w Gospodzie Królewskiego Turanu mówiło samo za siebie.

Toteż kłaniano im się w pas, z ust oberżysty nie znikał ani na chwilę służalczy uśmiech, cała służba została dana na rozkazy Conana i Isparany, i goście nie musieli troszczyć się ni o zapłatę, ni jadło i picie, ni o inne wygody.

Conan, który większą część swego życia spędził na włóczędztwie po świecie i gospody nie były mu obce, nigdy jeszcze nie był goszczony tak świetnie, z igraszkami królewskimi honorami, więc smakował teraz rozkoszy bycia kimś. Co za wspaniałe uczucie!

Prefekt czekał na dole przy kubku przedniego wina, gdy oni tańczyli dzikie, triumfalne tańce na posadzce przestronnej komnaty, próbując miękkości łoża, smaku południowych owoców ułożonych przepięknie na srebrnych paterach. Przebierali się w nowe stroje, gnąc się w ukłonach na powitanie tej ślicznej pary widocznej w zwierciadle. Conan zwracał się do Isparany co chwila, każde zdanie poczynając od „Moja Lady”, ona do niego — „Mój Lordzie”.

Jhabiz odczekał cierpliwie, aż szczęśliwi, promienni zeszli wreszcie do niego.

Brązowa Dzielnica nie dorównywała wprawdzie sławą Mordowni Arenjun ani Pustyni Shadizaru, lecz po prawdzie niewiele jej brakło. Ostrą woń wielbłądzich stajni poczuli, nim je dostrzegli przed sobą, na końcu brudnej szerokiej ulicy. W stajni Conan miał okazję przekonać się, że jeden złoty

Orzeł nie tylko wystarcza na wszystkie rachunki, ale jeszcze sprawia, że ludzie tutejsi traktują go z największym, wprost przesadnym szacunkiem.

Hajimena spotkali przy stajni. Przywitawszy się zapytał cicho:

— Jakże Conan znajduje Khana Zambouli?

— Lepiej, niż się spodziewaliśmy. Ludzki, serdeczny. Przy tym szczodry. Wydaje się sprawiedliwy i hojny dla tych, co mu świadczą przysługi.

— Czy wspomniał o mojej siostrze?

— Dlaczego... Nie, Hajimencie, nie rzekł słowa.

— A więc nie oplakuje jej? — w głosie wodza zadrgała jakaś niebezpieczna nuta, nie ton gniewnego wojownika, lecz jakby drżenie głosu powstrzymującego łzy dziecka.

— Oplakuje — Isparana szybciej niż Conan pojęła ból i rozpacz braterską. — Wszak widziałeś, Conanie, żałobną przepaskę.

— A tak, masz rację.

— Ale — ciągnęła Isparana ten akt miłosierdzia — khan nie jest osobą prywatną, przyjmując gości nie może wylewać łez i rozprawiać o swej żałobie, toteż nie wspomniał nam o zmarłej żonie.

— To dobrze, że Khan Zamboulańczyków nosi żałobę po córce Shanki — młody wódz kiwał głową, lecz mówił cicho i żaden ślad uśmiechu nie rozjaśnił jego oblicza.

Conanowi było szczerze żal chłopca.

— Nie wygląda na złego człowieka — rzekł, ujmując Hajimena pod ramię. — Raczej uwikłany jest w kołowrót dworskiego życia i polityki, i nie sądź go pochopnie, mój przyjacielu i synu mego przyjaciela.

Lecz rzekłszy te słowa, Conan sam się głębiej nad nimi zastanowił. Żył już dość długo, i wielu na swojej drodze spotkał władców, a jakoś nigdy takiego, którego by można było nazwać ludzkim, szczerze hojnym, pamiętającym przysługi, znającym miłość i przyjaźń. Czy Akter był inny od tamtych czy też... Conan był ślepy?

— Conan dowódcą twojej straży?! Chyba się przesłyszałem, dobry khanie...

Khan spiorunował Zafirę wzrokiem. Mag jednak ledwie zniżył głos i mówił dalej, niezrażony:

— Wybacz mi, panie, ale sam pomyśl prawie ściął mnie z nóg. Takiego człowieka jak Conan chceć

mieć przy sobie, ot, przez ścianę, w tym samym pałacu! Czy wiesz, panie, na jakie niebezpieczeństwo wystawisz tym swoją osobę?!

— Dobrze mi służysz, Zafro, nie przeczę. — Khan mocno oparty w swym krześle odchylił się w tył, czujne spojrzenie czarnych, błyszczących gniewem oczu wpił w czarnoksiężnika.

Nieledwie mierzyli się wzrokiem, bo Zafra wzroku nie spuścił. — Mam jednak niejasne uczucie, że tym razem przemawia przez ciebie zazdrość. Jeśli tak, wiedz, że Conan nigdy nie będzie dla ciebie konkurentem do moich łask. Tobie ufam i ty oddałeś mi wielkie przysługi.

Conan, cóż, w sam raz nadaje się na strażnika. Jak czujny obronny pies.

— Jest młody. Jest ambitny i spragniony... — Zafra urwał, nie skończył zdania. — Silny i szybki, umie myśleć, złodziejski spryt, talent do bijatyk. Gdy ma oręż w rękę, jest niebezpieczny. Zbyt niebezpieczny, panie.

— Mów, Zafro. Jest zaradny, młody, silny. Ja to wiem, widzę. To są zalety, nie zbrodnie.

Mów, Zafro, dokończ zaczęte zdanie. Chcę wiedzieć, co miałaś na myśli.

— Tak, panie. Dobrze. Conan jest... dziki.

— Wytłumacz, Zafro, jeśli potrafisz, bo ja nie rozumiem.

Zafra splótł ramiona i jał krążyć po komnacie, dobrze ważąc każde słowo.

— Widzisz, Akter Khanie, Conan urodził się w kraju, o którym nie wiemy nic, prócz tego że leży daleko, w górach północy, i że to kraj barbarzyński. Barbarzyński, to znaczy, że u nich zdobywa się władzę przemocą, że kieruje nimi jedynie chęć zysku, że nie mają na naszą miarę państwa, miast, króla, rozwiniętego handlu i rzemiosła. Conan uciekł z tego kraju, bo chciał

znaleźć prawdziwe bogactwo, prawdziwą władzę. Tu zetknął się z tym wszystkim, co daje wielki świat, zobaczył kraj rządzony prawem, ludzi szlachetnie urodzonych, przepych naszych domów, wykwintne jadlo i stroje drogocenne. Takiego dostatku i blasku on pragnie z całych sił, znacznie bardziej, niż ktokolwiek z mieszkańców Zambouli umiałby pragnąć.

Ale... Kłopot polega na tym, że on pragnąc — zarazem nienawidzi, też z całych sił. Nigdy nie wyzbędzie się wstydu, że urodził się niskiego stanu, że nie umie jeść tak wytwornie jak my, że... Khanie, on jest bardzo młody i bardzo niecierpliwy.

— To jeszcze nie zbrodnia...

— Wiedz, że i zbrodnię popełni, by zdobyć tron! A ty, panie, chcesz go postawić na straży, by strzegł pokoju twojej sypialni! Och, Akter Khanie...

Khan przyglądał się swemu magowi, słuchał, nawet powieka mu nie drgnęła.

— A Isparana? — zapytał nagle, gdy Zafrze zabrakło tchu.

— Złodziejka. Z Zaułka Skwatrów. Kobieta, która kradła, oszukiwała, sprzedawała łupy, i swoje ciało na pewno też... Wyniesiona przez khana nazbyt wysoko, wszak z khanem wieczerzała... Co dobrego może z tego wyniknąć? W dodatku — ona najwidoczniej jest zakochana w tym barbarzyńcy!

Akter uśmiechnął się pod nosem.

— Taak, coś i mnie się zdawało, że... Mów dalej.

— Dobrze. Powiem inaczej. I dotyczy to ich obojga. Posłuchaj, khanie, uważnie: pewien człowiek miał wspaniale wyuczonego sokoła, przez całe lata sokół ów polował dla niego jak żaden inny. Jednakże pewnego dnia ptak wrócił z lotu, miast usiąść jak zawsze na rękawicy, zaatakował swego pana i wydziobał mu oko. Doszło do nieszczęścia tylko dlatego, że choć wszyscy ludzie zajmujący się pańskimi sokołami wiedzieli, do jakiego stopnia uległa zmianie natura tego ptaka, bali się powiadomić pana w czas, bowiem obawiali się narazić mu, rzucając podejrzenie na ukochanego sokoła. — Zafra zawahał się krótko i mówił dalej: —

Przyglądałem się od dawna poczynaniom Conana i Isparany, a w mojej kuli widziałem więcej, niż gdybym był z nimi tam, na pustyni. I wiem na pewno, Akter Khanie, że usłużyli ci tak chętnie, gdyż po prostu nie mieli innego wyjścia. Walcząc ze sobą tak zawzięcie, nie mieli możliwości dogadania się co do szans oddania komu innemu amuletowi, ale gdyby zostali z sobą może tydzień dłużej...

Akter Khan, mrużąc oczy, opróżnił srebrny puchar, dolał sobie wina z prawie pustego już dzbana. Ale Zafra nawet nie spojrzał na swój kubek, przysunął się bliżej i rzekł cicho, dobitnie:

— Rozważ to dobrze, Khanie Zambouli, mój dobry panie. W Arenjun pobił czterech ludzi, i uszedł z życiem, nawet nie draśnięty. W Shadizarze najpodleję potraktował prefekta Straży i znowu wyszedł z awantury bez szwanku. Ilekroć napadał strażę i wojsko, tyle razy rzecz uchodziła mu płazem. Tym samym stawał się coraz bardziej pewny siebie i — nabierał

lekceważenia dla wszelkiej władzy, pogardy dla prawa i oręża, dla królów. On, człek niskiego stanu, w obecności królowej Khauranu zabił kothyjskiego szlachcica, nie został ukarany. Cóż dziwnego, że wkrótce za jego sprawą straciła życie sama królowa? A ileż razy oszukał

Isparanę, choć dobrze wiedział, że ona go kocha, że mu wierzy, że chce jego dobra?

Wykorzystał ją dziesiątki razy! A... Tak, choćby Hisarr Zul. Mamy tylko opowieść barbarzyńcy, a jak było naprawdę? Może sprzymierzył się, może handlował z tym szalonym magiem, a potem, mając już Oko, postanowił wziąć je dla siebie, i zdradą, podstępem, pozbawił życia czarnoksiężnika z Arenjun?

— Cóż — khan czknął. — Ale przyniósł mi Oko.

— Tak, panie, Ale dlaczego? Czyżbyś chciał mnie przekonać, że podróżował przez pustynię u boku człowieka z Iranistanu, by oddać amulet tobie? Dopiero gdy ów

Iranistańczyk zginął, Conan związał się jakoś z Isparaną, i przekonała go, że lepiej opłaca się oddać amulet khanowi Zambouli, bo to blisko, i nagroda pewna.

Oczy khana z niejakim trudem nadążały za muchą brzęczącą uparcie — kołowała w pobliżu khana niskim lotem, niebezpiecznie blisko jego głowy.

— Zatem — podjął Zafra — Conan zwrócił amulet tobie, stając tu jako bohater, a ty przyjąłeś go jak przystało przyjmować bohaterów. A ja myślę, Khanie Zambouli, że...

Ba! ad przyjmie go jeszcze lepiej. Już wkrótce.

Akter znów napełnił swój puchar. Mucha laźła niemrawo po krawędzi dzbana.

— Ta kobieta... Jest nieźle zbudowana. Co o niej myślisz? Zanim mag zdobył się na odpowiedź, od drzwi ktoś zawołał:

— O Khanie! Visir czeka na posłucha...

— Precz!!!

Sługa wycofał się, padłszy najpierw na kolana. Khan patrzył, jak wyczołguje się tyłem.

Wino morelowe to bardzo dobra rzecz, Akter upił łyk i spojrzał przytomniej na Czarnoksiężnika Zambouli.

— Hm? A, przerwano nam. Zatem, Zafro, znalazłem ci nową kobietę. Weźmiesz sobie Isparanę, i nie zbliżysz się już do mej Tygrysicy. Zadowolony? — Akter był pewny, że zadowolili maga, wszak przy wieczerzy nie był jeszcze dość pijany i widział dobrze, jak Zafra patrzy na Isparanę. — Hafar! Hafar!!! Do mnie!!! — zaryczał nagle, aż Zafra zadrżał mimo woli.

Hafar wbiegł truchtem do sali, w samą porę, by ujrzeć muchę, która z dzbana przeniosła się na brzeg pucharu, a stamtąd wprost na usta Khana. Jednym ruchem ręki zmiotł muchę, spadła, a Hafar rozgniół ją na błękitnych spodniach khana. Akter z wyrzutem spojrzał na Zafrę.

— Więc nawet muchy nie umiesz już pozbyć się swymi czarami? Jak chcesz pozbyć się tego Conana...?

CONAN UCIEKINIER

Gwar i śmiech wypełniały wielką izbę jadalną Królewskiego Turanu. Kłębił się tu barwny tłum bogato przyodziaanych gości, mało kto jadł spokojnie przy swoim stole, wymieniano żarty, nowinki i plotki, słyhać było gromkie pokrzykiwania, ktoś do kogoś przepijał, ktoś z kimś się witał.

Nagle wszyscy zamilkli, patrząc na człowieka, który właśnie wszedł i pewnym krokiem ruszył między stołami, łatwo torując sobie drogę. Biała kaffija okrywała jego głowę, spod kaffii wyzierała młoda twarz, śniada, spalona słońcem, ozdobiona krótkim zarostem. Luźne spodnie, czerwone, nosił wpuszczone w długie buty, a na żółtej koszuli ciemniała czarna pięcioramienna gwiazda.

Conan zerwał się z krzesła, zza stołu wybiegł na spotkanie gościa.

— Hajimen! Co za radość widzieć znów przyjaciela! Siądź z nami. Myślałem, żeś wrócił na pustynię, do domu Shanki?

Młody wódz potrząsnął głową. Ponurym wzrokiem spojrzał na salę, dostrzegł wielką ciekawość, jaką wzbudził, tak powitany przy stole osobistego gościa khana Zambouli, z niechęcią odwrócił wzrok. Isparana siedząca po drugiej stronie trójkątnego stołu była bardziej rozebrana niż ubrana, jak zresztą większość obecnych tu dam, więc ledwie skinąwszy jej głowę, przymknął powieki.

— Nie. Musiałem zostać.

Conan skinieniem przywołał gospodarza.

— Mój przyjaciel, Hajimen z ludu Shanki, przyłącz się do nas. Podaj, co masz najlepszego. I piwo.

Hajimen ciężko usiadł, gdy Conan podsunął mu krzesło. Wokół nich podniesiono kubki i podjęto przerwane rozmowy. Mimo iż każdy chętnie przysiadłby się do Conana, którego sława obiegła całą Zamboulę, nie ośmielono się niepokoić go zbyt jawnie okazywanym zainteresowaniem, teraz tym bardziej, gdy towarzyszył mu młody Shanki.

— Syn Khana Shanki wygląda na zmartwionego. W oczach przyjaciela Conan ujrzał smutek i gniew.

— Dobrze. Powiem mojemu przyjacielowi i jego kobiecie o moim zmartwieniu. Oto

usłyszałem w mieście, że moja siostra nie umarła z powodu gorączki. Mówią... Mówią, że została... zabita. W okrutny sposób. Conanie, ona nie nosiła dziecka khana, ona wzgardziła Akterem i umarła pozostając dziewicą!

Jęk rozpaczy wyrwał się z piersi Hajimena. Isparana patrzyła na niego oczami

rozszerzonymi z przerażenia i zgrozy. Conan poczekał, aż dziewczka, która przyniosła im nowy dzban piwa i posiłek dla Hajimena, odejdzie. Myślał szybko, czy to, co powiedział Shanki, mogło się zdarzyć naprawdę. Widział przecież kobiety Shanki, uległe, całkowicie bezwolne, od najwcześniejszego dzieciństwa przygotowywane do roli żony i matki dla dobra całego plemienia. Płodność była dla nich najważniejszą sprawą, miały rodzić dzieci, każda tego bardzo pragnęła. Czy więc możliwe, by mała Shanki odmówiła Khanowi Zambouli?

Conanowi nie mogło pomieścić się w głowie coś tak niewiarygodnego.

— Hajimen, mój przyjaciel, wie chyba, jak zepsute jest miasto Khana Zambouli, wie też na pewno, że wokół każdego zdarzenia rodzi się w Zambouli dziesięć albo i więcej plotek, nieraz zupełnie odmiennych.

Hajimen wysuszył swój kubek, dolał piwa i znów pił łąpczywie, póki nie ujrzał dna.

— Wiem. Nie powiedziałem, że wierzę we wszystko, co tutaj mówią. Powtórzyłem to, co słyszałem, gdyż Theba mówi, że człowiek w nieszczęściu jest człowiekiem samotnym i mówi, że żaden człowiek nie powinien czuć się samotnym.

— Nie jesteś samotnym w nieszczęściu, Hajimene — Isparana powiedziała to tak ciepło i miękko, że grzecznościowe zawile formuły Shanki nie były potrzebne. — Dlaczego córka Shanki miałaby zostać zabita, jaki był powód?

Hajimen spojrzał na puste glazurowane dno kubka, słaba poświata lśniła w polewie jak księżyc w studni, zimny i blady.

— Odmawiając khanowi obraziła jego męską dumę. Obraziła jako Shanki, jako cały lud i sam Akhimen Khan.

Conan gwizdnął przez zęby. Powoli zaczynał rozumieć. Khan mógł zabić dziewczynę, która go obraziła, ale jeśli tak było rzeczywiście — nie poprzestanie na dziewczynie, wkrótce może ucierpieć cały lud Shanki. Wszystko zależy od tego, czy khan będzie chciał dalej się mścić. Ale nawet jeśli khan da im spokój, i tak czują się zhańbieni, skoro ich córka nie potrafiła się zachować przystojnie, obraziła swego pana, naraziła własny lud. Spętani obyczajem plemiennym przestrzegany bezwzględnie nie umieli już myśleć inaczej. Z

drugiej jednak strony — czy mogli puścić płazem fakt, iż khan dziewczynę, która była upominkiem od Khana Shanki, tak po prostu wydał na śmierć? Tym z kolei Akter obraził

wodza i całe plemię Shanki. A te wszystkie obrazy zmywa się zawsze krwią... Conan musiał

przyznać, że jeśli historia ta była prawdziwą, to Akter postąpił dosyć mądrze, pozbył się dziewczyny po cichu, przyznając jej głośno prawa Matki Królów — tym samym zamykając usta Shanki, i ukrecając całej sprawie łeb. I chyba niedobrze się stało, że czyjś długi język odsłonił rąbek tajemnicy.

— Czy Hajimen pomyślał, co będzie, kiedy zawiezie tę wieść Khanowi Shanki? Jak przyjmie ojciec Hajimena wiadomość, że jego córka tak obraziła Akter Khana, iż dla ratowania swego honoru zadał jej śmierć?

— Conanowi trudno te sprawy pojąć, wiem. Ale gdyby khan zabił ją w gniewie, nagle, na miejscu... ja nie powiedziałbym nic. Wiem, czym jest honor mężczyzny, mogę

usprawiedliwić głupotę płochęj, zbyt niedojrzałej dziewczynki i mogę usprawiedliwić męża, co w takiej chwili chwyci za sztylet, niepomny na jej wiek i brak doświadczenia. O takiej sprawie nawet nie wspomniałbym Conanowi.

— Więc...?

— Akter nie zabił jej w gniewie. Zabito ją później z zimną krwią, okrutnie.

Okrutnie? Z zimną krwią? Conan przez chwilę nie mógł zrozumieć, o czym mówi ten Shanki, odrzynający uszy dogorywającym wrogom, podrynąjący gardła rabusiom w pustyni, skazujący na stos dwie małe, niczemu niewinne dziewczynki Yoggitów. W końcu

przypomniał sobie, że dla Shanki „z zimną krwią” oznacza mord dla samego mordu, zabójstwo dla czystej przyjemności zabijania. Więc to zrobił Akter tej małej Shanki...?

Conan mimowiednie dotknął ramienia chłopaka, i zaraz cofnął rękę, nie chcąc obrazić wodza gestem, który według ich obyczaju byłby nie do przyjęcia. Ale Hajimen nie oburzył się, w jego oczach błyszczały łzy.

— Co zechce zrobić syn Khana Shanki? — zapytał Conan, udając, że nie spostrzegł tych łez.

— Zostanę tu. Chcę poznać prawdę.

— A jeśli ta plotka... jest prawdą? Syn Khana Shanki będzie musiał podjąć trudną decyzję.

— Tak.

— Hajimienie. Hajimienie, zwracam się do ciebie według zwyczajów mego ludu, wprost.

My bowiem wymawiamy imiona naszych przyjaciół wprost, bo szczerze, wprost z serca.

Hajimienie, masz w Zambouli prawdziwych przyjaciół.

Hajimen milczał chwilę. A potem rzekł cicho:

— Jesteś ulubieńcem khana Zambouli.

Zanim Conan zdążył odpowiedzieć, wtrąciła się Isparana.

— Dzisiaj. Lecz jutro? — Isparana dobrze znała swojego władcę.

Hajimen przyjrzał się im uważnie, jakby chcąc z ich oczu wyczytać przyszłość. Skinął głową i zaczął podnosić się z krzesła. Nagle jakby coś sobie w tej chwili przypomniał:

— Conan jest gościem Akter Khana. Czy to khan płaci za to piwo? — Conan przytaknął, zdziwiony.

Hajimen znów skinął głową, wyjął z sakiewki monetę, położył ją na stole i skłoniwszy się Conanowi i Isparanie opuścił salę.

— Dumny człowiek — powiedział Conan w zamyśleniu. — I nadal nie chce mówić do mnie zwyczajnie, wprost.

— Nie sądzę jednak, byś go obraził.

— I ja mam taką nadzieję. Po prostu drażnią mnie te grzecznościowe zwroty, utrudniają rozmowę, stawiają ścianę między ludźmi. Kiedy o nich pamiętam — zapominam, co

właściwie chciałem powiedzieć.

— To tylko brak wprawy. Ja myślę, że takie zawile długie zwroty pozwalają zyskać na czasie, umożliwiają zastanowienie się nad słowami. No i okazujesz szacunek swojemu rozmówcy, co wprawia go w dobry nastrój.

— ‘Sparana... nie lubię etykiety dworskiej... — Conan uśmiechnął się bezradnie. — Ale też nie chciałbym obrazić nigdy żadnego Shanki. To dobrzy ludzie. Jak myślisz, ‘Sparana, ta historia o jego siostrze...?’

— Nie znasz Akter Khana, Conanie. Wiem o nim sporo. Ty widziałeś tylko monarchę wdzięcznego ci za usługę.

Conan wzruszył ramionami.

— Znam wielu władców. Nie ośmieliłbym się wyciągnąć nagiego ramienia, gdy któryś z nich trzyma miecz. Ale nie mogę w żaden sposób uwierzyć, że jakakolwiek Shanki, a tym bardziej córka Akhimen Khana, odrzuciła mężczyznę, któremu została oddana, tym bardziej, jeśli przez ojca, tym bardziej, jeśli mężczyzną był khan.

— Cóż, widzę, że nie znasz także kobiet, Conanie. Są wśród nas takie, które wolą hańbę lub walkę, a nawet śmierć, niż mężczyznę, któremu są dane. Po prostu nie chcą być oddawane nikomu i przez nikogo. Pojmujesz?

— Pojmuję, że myślisz i mówisz jak kobieta, która zapewne rozumie drugą kobietę. Ale ty jesteś inna, gdzie indziej i inaczej się wychowywałaś. Ta mała wyrosła w namiocie khana Shanki, a sama przecież widziałaś, jak tam wygląda życie kobiet.

— Dzięki bogom, ja miałam więcej szczęścia. Jednak założmy, że ta mała zawsze w sercu była buntowniczką, lecz nigdy nie ośmieliła się, lub tak naprawdę nie miała potrzeby przedsięwziąć jakiegoś działania sprzecznego z jej wychowaniem, z obyczajami Shanki.

Tutaj... A poza tym podobno ona była młodziutka, dziecko jeszcze, a on... Pijany Akter w sypialni z takim dzieckiem? Ja mogę to sobie wyobrazić...

Conan też miał wyobraźnię. Patrzył przed siebie, na drzwi, na człowieka wchodzącego do gospody, lecz nie widział nic, zajęty rozmyślaniami tak o małej Shanki, jak o tym, co przeszła Isparana, zanim ją spotkał.

— Najlepiej przestańmy dziś o tym mówić. Znajdę sposób, żeby poznać prawdę. Hajimen nie będzie sam.

— Jesteś pewien, że chcesz znać tę prawdę?

— Jeżeli fakty potwierdzą plotkę, dla ludu Shanki będzie lepiej, jeżeli dowiem się o tym ja, nim dowie się Hajimen. Niech Hajimen odjedzie do domu nie mając dowodów.

Isparana pogładziła potężne ramię. Im lepiej poznawała Conana, tym bardziej zachwycało ją i wciąż na nowo zdumiewało, że ten ogromny mężczyzna, tak odważny w bitwie, bywał tak czuły, tak rozważny, serdeczny. Podążyła spojrzeniem za wzrokiem Conana.

Conan, tak jak to sobie obiecał Pod Czerwonym Lwem, nigdy więcej nie usiadł już tyłem do drzwi. Także teraz miał dobrą widoczność, a jakaś część jego czujności wojownika pilnowała każdego, kto wchodził do izby, nawet gdy sam Conan był zajęty rozmową.

Od chwili już obserwował człowieka, który właśnie kroczył przez salę. Wchodzący nie zwrócił na siebie niczyjej uwagi, jego strój nie wyróżniał się niczym szczególnym, podróżny płaszcz mógł należeć tak dobrze do rzemieślnika jak medyka albo do dworzanina. Nie ubogi, i nie nazbyt bogaty. Gdyby nieznajomy zniknął w tej chwili z sali, chyba nikt później nie umiałby opisać jego wyglądu, ba, nikt pewnie nie pamiętałby, że ktoś tu był. Instynkt ostrzegł

Conana. Obcy szedł niespiesznie ku niemu. Przy stole skłonił się i nachyliwszy się szepnął do ucha Conana kilka słów.

— Cóż. Poproś go, niech przyjdzie i napije się ze mną. Na te słowa Isparana obrzuciła Conana przeciągłym spojrzeniem i zmarszczyła nos. Nie słyszała, co powiedział nieznajomy Conanowi, ale słyszała odpowiedź Conana, i to jej wystarczyło.

— Znowu zmarnujemy wieczór — Conan jednakże udał, że nie słyszy, więc Isparana

opuściła wzrok, popatrując smętnie na dar khana, wisior spoczywający ciężko na piersiach, prawie całkiem odkrytych w głębokim wycięciu sukni. I po cóż było tak się stroić, po co być piękną — dla barbarzyńcy? On i tak jakby ślepy...

Nieznajomy wpatrywał się w oczy Conana.

— Z żalem, lecz muszę odmówić w jego imieniu — rzekł. — Proszę, byś zechciał

pomówić z nim, ale nie tu.

— Chce pozostać w ukryciu?

— Być może. Jednak i dla ciebie będzie lepiej, jeśli nikt nie zobaczy was razem.

— Słusznie. Ale najpierw może spróbowałbyś mi wyjaśnić, dlaczego niby ja chciałbym rozmawiać z nim? A jeśli wyjdę teraz z Królewskiego Turanu na tę rozmowę...

— Conanie, nie rób tego! — Isparana była naprawdę przestraszona. — Proszę!

— Słowa nie czynią krzywdy, wszak idzie jedynie o rozmowę — uspokoił ją nieznajomy.

Conan był całkiem odmiennego zdania, ot, choćby Shanki, czyż nie słowa skrzywdziły go właśnie? Nie widział przecie śmierci siostry, starczyła opowieść, by chodził jak chory.

Jednakże w tym przypadku... Przyjrzał się uważnie obcemu. Nie, ten człowiek nie wyglądał

na niebezpiecznego. A Conan, z natury ciekaw wszystkiego, pragnął się dowiedzieć, kto i czego może od niego tak uporczywie chcieć. Toteż po chwili namysłu rzekł:

— Rozchyl płaszcz.

Conan odchylił się w tył i czekał. Mężczyzna nie zastanawiał się długo, uniósł nieco rękę usuwając poły płaszcza w tył. Obszytą frędzlami tunikę ściągał wąski lekki pas, człowiek ów nie nosił długiej broni. Conan rozluźnił się, skinął głową.

— Dobrze. I jeszcze jedna prośba: wyjmij sztylet lewą ręką i podaj go mojej towarzysze.

Tym razem wahanie mężczyzny trwało dłużej. W końcu położył na stole lekki krótki sztylet, zwyczajny nóż używany przy spożywaniu posiłków.

— Nie jest naszym zamiarem pozbawić cię życia, Conanie z Cymmerii. Ani uwięzić cię, ani uczynić ci najmniejszą krzywdę.

— Kto „my”?

— Ja oraz ten, który chce rozmawiać z twoim towarzyszem, piękna Isparano.

— To... Balad?

— Nie.

Tak szybka, zdecydowana odpowiedź dała Conanowi do myślenia. Isparana spojrzała na niego błagalnie.

— Nie idź, Conanie.

— Mam broń, a on nie. Wie o nas sporo, jak sądzę, a ja chciałbym się dowiedzieć, co i —

po co? Dlatego uważam, że warto spotkać się z jego panem — Conan zerknął na posłańca, by zobaczyć jego twarz, gdy usłyszy słowo „pan”. Ale rysy posłańca pozostały spokojne, nieruchome.

— Nie byłabym aż tak ciekawska. Nie rób tego, Conanie.

Conan wstał.

— Nie uciekaj stąd, ‘Sparana, ani nie przeholuj z pićiem. Wrócę, a wtedy obejrzę ten twój nowy naszyjnik z bliska. Z bardzo bliska, ‘Sparana...

Pogwizdując poszedł do stołu, długiego, ustawionego pod ścianą blisko kuchni, na którym piętrzyły się stosy owoców i najróżniejszych smakołyków z prażonego ziarna, owoców i miodu. Wziął sobie dojrzałą morelę, nadgryzł ją, oblizał sok, płynący na nadgarstek.

Uśmiechnął się.

— Ruszaj. Ja pójdę za tobą.

Posłaniec szedł przodem, a za nim Conan, gryząc owoc. Chłopak przyciągał oczy

wszystkich, znów umilkły rozmowy na tę chwilę, gdy szedł przez salę wysoki, prosty, niebieskooki. A choć postury był takiej, że można się było spodziewać drżenia podłogi — on kroczył miękko, sprężyste jak dziki kot. I nie było w tej izbie kobiety, która nie zapragnęłaby go mieć... Isparana westchnęła i ponuro zapatrzyła się gdzieś przed siebie.

— Tymczasem Conan rzekł na ulicy do obcego:

— Wiesz, cieszę się, że mam miecz. Czuję się dobrze, gdy przy każdym kroku dotyka mojej nogi.

— Rozumiem. I jeszcze raz powtarzam: nie musisz się niczego obawiać.

— Och, to wiem od początku.

— To znaczy...

Lecz zamilkł, gdy Conan zaśmiał się cichutko. Nie warto było niczego tłumaczyć, szkoda słów. Conan nie bał się, to było jasne jak słońce nad pustynią, póki miał swój miecz, nie musiał bać się niczego. I dobrze, że tamten to w końcu zrozumiał.

Przeszli na drugą stronę ulicy. Świateł było tu mniej, świeciły blado, i cienie były głębsze.

Nagle Conan gwałtownie pochylił się do przodu.

— Czujesz to?

— Tak. To twój sztylet?

— Nie, twój. Tuż nad twoim tyłkiem. Jeżeli pchnę, będziesz martwy lub zostaniesz kaleką.

Co wolisz?

— Ostrożność nigdy nie wadzi, Conanie, lecz mądry człowiek rozumie, że tajemnica nie zawsze oznacza niebezpieczeństwo.

— Sztylet, choćby wyjęty z pochwy, nie zawsze bywa używany... Aczkolwiek

Cymmerianie nie przywiązują zbyt wiele wagi do tego porzekadła. Czy ja mam jakiś powód, by ci zaufać?

— Myślę, że tak. Jeśli potrafisz — wytrzymaj jeszcze przez chwilę. To niedaleko.

Conan westchnął. Minęli skrzyżowanie i skręcili za róg. Tu wyrzucił pestkę moreli.

Jeszcze kilka domów minęli i posłaniec otworzył jakieś drzwi. Weszli w nie. Krótki korytarz i schody wiodące na piętro. Przewodnik szedł przodem, Conan bezczelnie wytarł lepkie dłonie w skraj jego płaszcza, gdy wspinali się po stromych stopniach. Na podeście mężczyzna zapukał trzy razy do drzwi, równocześnie gwizdząc te same trzy nuty. Drzwi otworzyły się do wewnątrz.

Conan zmrużył oczy — w pokoju jasno płonęły dwie lampy. Oświetlały stół, trzy krzesła, stary zniszczony dywan. Na stole stał dzban i gliniane kubki. Mężczyzna, który otworzył im drzwi, już zamknął je za nimi. Nie wyróżniał się niczym szczególnym na pierwszy rzut oka.

Spojrzał na Conana.

— Strzegę tego miejsca — rzekł krótko.

Conan skinął głową.

— Jestem uzbrojony i nie zamierzam rozstać się z bronią.

— Jeżeli nie zaplanowałeś morderstwa — zatrzymaj sobie swoją broń.

Conan obrócił się ku niemu, zaintrygowany. Był to mężczyzna lat więcej niż czterdziestu, wyglądał na kupca. Jego włosy uciekły już ku tyłowi głowy, zostawiając wysokie wypukłe czoło, połyskującą nagą skórą. Szarość skrzyła się w jego brodzie niby wczesny jesienny szron. Luźną, pięknie drapowaną tunikę zdobiły pasy zielonego haftu. Oczy spoglądały z ukosa, uwięzione w sieci zmarszczek, podkrążone nad niebieskawymi worami.

— Cóż... Muszę ci zaufać, Conanie z Cymmerii.

— Rzekłeś dość głupio. Ty masz mi ufać? To ja zaufałem tobie, przychodząc tutaj, choć nawet nie znam waszych imion, nic o was nie wiem! — Conan cofnął się o krok, ukazując przy tym długie ostrze. Dłoń trzymał na rękojeści miecza, tkwiącego jednak wciąż w pochwie. W tej małej izbie było jedno wąskie okienko i drzwi, którymi weszli.

— Napijesz się wina? — mężczyzna zapytał gładko, jakby podejmował gościa w Królewskim Turanie.

— Zostawiłem w gospodzie wygody i miłą towarzyszkę. Wkrótce wrócę, napiję się z nią.

— Jesteś dość... szczery.

— A ty nie. To błąd. Mów, póki jestem tutaj. Mężczyzna westchnął.

— Znasz imię... Balad?

— Twój posłaniec zaprzeczył, jakoby to Balad chciał ze mną rozmawiać.

— Zatem wiesz o Baladzie. Jesteś przyjacielem Aktera?

— Ulubieńcem, nie przyjacielem — Conan wzruszył ramionami. — To duża różnica. —

Nie spodziewał się, żeby chcieli zrobić cokolwiek przeciwko ulubieńcowi khana, więc milczał z twarzą pozbawioną wyrazu i czekał.

— Balad wierzy, a ma do tej wiary podstawy — rzekł mąż w tunice — że Akter nie jest najlepszym władcą dla Zambouli. To także opinia jej mieszkańców.

Mężczyzna zerknął na Conana, ciekaw wrażenia, jakie na nim zrobiła ta wypowiedź.

Conan jednak stał dalej z miną już prawie znudzoną. Tamci dwaj wymienili spojrzenia, i ten w tunice rzekł cicho:

— Wróć do gospody i miej oczy otwarte. Posłaniec owinął się płaszczem i wyszedł w noc.

— Nazywam się Jelal, Conanie. Ten, który przywiódł cię tutaj, nie zna mego imienia... dla jego własnego bezpieczeństwa.

Jakkolwiek mąż w haftowanej tunice zdawał się mieć go za tępego osiłka, to jednak Conan nie był głupcem. Uśmiechnął się pod nosem, słysząc imię, zapewne nic nie znaczące. Imię miało zrobić na nim wrażenie, przekonać go, że oto został dopuszczony do tajemnicy, że jest dla nich kimś wyjątkowym. Nie wierzył w ani jedno słowo. Nie ufał im.

— Akter obawia się własnego cienia — mówił dalej ów „Jelal”. — Stał się pijanym wieprzem, rano, gdy powinien słuchać doradców, rozmawiać z poddanymi, władać, on śpi, odsypiając całonocne pijaństwa i nowym pucharem lecząc ból głowy. Od południa znów pije, i tak do północy, a

potem zwała się w łożę bez czucia. Czy to przystoi władcy? Jego visir, Hafar, jest dobrym i mądrym człowiekiem, lecz mało już znaczy. Teraz naprawdę rządzi Zafra, młody mag, który zamordował swego mistrza, by dorwać się do władzy, i czeka na stosowną chwilę, by zrobić to samo z Akterem. Ten mag jest mordercą, wiedziałeś o tym, jedząc z nim wieczerzę?

Conan nie odpowiedział. Nie widział nic złego w byciu młodym i żądnym władzy, zwłaszcza gdy jako czyn naganny chciał to ukazać człowiek być może zamierzający także mordować, by zdobyć władzę, lecz dla siebie łatwo znajdujący usprawiedliwienie.

— W lochach pałacu khana ludzie umierają codziennie, bez żadnego powodu, dla zaspokojenia jego chciwości, strachu, żądy... — dokończył Jelal w zadumie.

Tu Conan nadstawił ucha, i nagle zapytał:

— A jaka śmierć spotkała dziewczynę Shanki?

— Dużo wiesz — w oczach mężczyzny błysnęło zdumienie. — Zabito ją. Urażona duma Akter Khana była głównym powodem jej śmierci... Ale główna przyczyna... Otóż wiedz, Conanie z Cymmerii, że pewnego dnia dwaj szpiedzy iranistańscy ponieśli w tym lochu śmierć z ręki... Zafra chwilę wcześniej czynił tam czary, robił coś ze swoim mieczem, mazał

go błotem, mruczał zaklęcia. Potem strażnikom kazano wyjść i sprowadzono małą Shanki.

Nie po niewoli, po prostu wezwano ją do jej pana, który tam właśnie czekał. W lochu byli wówczas tylko Zafra, ona i Akter Khan. Wkrótce Akter opuścił loch, wracając do pałacu.

Dziewczyna została, i mag. Nikt już nigdy nie ujrzał jej żywej. A nazajutrz wielkie poruszenie wywołał w Zaułku Skwatrów trup młodej dziewczyny, poćwiartowany, zapakowany do kilku worków. Nie wiem, czyś słyszał o Zaułku Skwatrów. Tam byle co nie robi wrażenia. Zresztą Zaułkiem tym Balad zajmie się z pewnością i oczyści go bardzo dokładnie.

Conan pominął milczeniem tę deklarację przeznaczoną dla uszu wszelkich popleczników.

— Więc to było morderstwo i zdarzyło się naprawdę?

— Tak.

— Skąd to wiesz?

— Nie mogę ci powiedzieć, Conanie. To znaczy: nie chcę, Conanie.

— Masz szpiega w pałacu.

— Balad ma, lecz nie w szpiegach rzecz. Jest wielu takich, którzy mu pomagają, bo wierzą w niego, bo rozumieją że opój — Akter i Zafra to wszystko czego potrzeba, żeby w Zambouli doszło do

nieszczęścia.

— Ale dlaczego właśnie Balad? Dlaczego nie Jungir, syn Aktera? Z uczciwymi i silnymi doradcami, z Baladem?

Jelal i na to pytanie miał gotową odpowiedź, udał jednak głęboki namysł i w zadumie jął mówić:

— Jungir to jeszcze dziecko, Conanie. Lecz na tyle już duże, że cokolwiek zrobimy z jego ojcem, a domyślasz się, że Akter dobrowolnie władzy nie odda, Jungir będzie pamiętał. Kiedy osiągnie wiek męski i pełnię władzy, spróbuje poszukać zemsty. To nie jest dobra przyszłość dla Zambouli. A jeśli będzie podobny do ojca...? Widzisz więc, Conanie, nie są to proste sprawy. Balad jest silnym, rozważnym człowiekiem, potomkiem starego, szanowanego rodu.

Na cóż więc czekać?

Gdy Jelal skończył, Conan zrozumiał, że ten człowiek właśnie powiedział wszystko, co miał do powiedzenia, a teraz kolej na jego odpowiedź, od której wiele może zależeć.

— Wysłuchałem twoich słów, Jelalu. Mądrze mówiłeś. Sprawy te nie są dla mnie nowe, zawsze i wszędzie są źli władcy i ci, którzy przeciw nim spiskują. Nawet dobrzy władcy, bo i tacy podobno istnieją, mają takich, co przeciw nim knują. Ale mnie to nie interesuje. Nie jestem Zamboulańczykiem, przyszedłem i odejdę, nie zamierzam tu pozostać. I sprawy Zambouli nie obchodzą mnie. Cóż... — dodał patrząc gdzieś na belki stropu — rzecz jasna, nie wspomnę na dworze o naszym spotkaniu. Nie lubię kłopotów.

— Mógłbyś nam być pomocnym, Conanie.

— Wątpię. Knucie nie jest moim rzemiosłem. Tak samo jak wam, mógłbym być pomocny Akterowi. Zresztą Jhabiz i Isparana spodziewają się, że otrzymam od khana propozycję, stosowną do tego kim jestem: wojownika.

— Uważaj, czy nie popełnisz błędu. Najpierw: możesz się łudzić taką propozycją, lecz pamiętaj, że Akter rzadko dotrzymuje słowa. Potem: ci, co mu służą, nie są w mieście nazbyt poważani. I rozważ inną możliwość... Jesteś młody, nie posiadasz majątku. Jesteś wspaniałym wojownikiem. Gdyby Balad został khanem Zambouli, ty otrzymałbyś

dowództwo jego wojsk.

Conan parsknął śmiechem.

— Dowódcą? W moim wieku?!

— Co ma tu wiek do rzeczy? Przewyższasz doświadczeniem i umiejętnościami wszystkich wojowników Zambouli razem wziętych. Odrzuciłbyś taką szansę tylko dlatego, że ty w swoim rozumieniu uważasz się za zbyt młodego, by zostać dowódcą?

— Może i nie odrzuciłbym. Ale na razie mam inne sprawy na głowie, inne projekty na przyszłość. Poza tym Akter mnie hojnie nagroził. Ludzie w Cymmerii mówią, że gdy zimą tęgi mróz, a ktoś zabije dobrego łosia, to nie powinien pragnąć jeszcze wina i drogich korzeni.

Jelal skinął głową. Nalał wina do kubka, a gdy Conan i teraz odmówił, nie chcąc pić, Jelal pił, patrząc na młodzieńca nad krawędzią naczynia.

— W Zambouli ludzie mówią, że gdy ktoś ma ambitne dążenia, ale nic nie czyni, by je wprowadzić w życie, ten jest tylko żywym trupem.

Na to Conan jedynie wzruszył ramionami. Jelal przekonywał go dalej.

— Conanie, Akter Khan upadnie. Balad zyska władzę. Turan poprze Balada, bo cesarz ma już dość Akter Khana, chce tu mieć silnego, oddanego człowieka, Cesarzowi zależy na towarach, które płyną do Turanu z Zambouli. Mamy możnych przyjaciół w Aghrapurze. Ci, którzy sprzeciwiają się Akterowi — są przyjaciółmi Balada. W przyszłości wszyscy oni zostaną obdarzeni względami nowego khana, taka jest zwykła kolej rzeczy. Czy nie chciałbyś być wśród nich? Potrzebujemy męźnych młodych ludzi.

— By wywalczyć dla Balada tron. Czy twój Balad zamierza skąpać Zamboulę we krwi?

— Nie, skądże. Przecież nikt w całym państwie nie stanie przy Akterze, z kim więc mielibyśmy walczyć? Co najwyżej trzeba będzie wyciąć sobie drogę do pałacu, walczyć z Thornami Khana. O żadnym na większą skalę przelewie krwi nie może być mowy.

Conan pokiwał głową.

— Taak... Rozumiem. — Spojrzał na Jelala. — Nie powiedziałem „nie”. Wszystko przed nami. Ale, chcę żebyś to wiedział, nie przekonałeś mnie. Nadal nie widzę powodu, bym miał

los mój związać z losem Balada. Ja nie znam Balada, nic o nim nie wiem.

— Mógłbyś się spotkać z Baladem. To nie jest trudne. Trudność zaś w tym, że się powszechnie uważa, iż kto nie jest z nami, ten jest przeciwko nam. Mówię tu o tych, co poznali Balada.

Conan poczuł, że żołądek kurczy mu się do wielkości orzeszka. Nie żeby się bał, miał

wszak u boku dobry miecz. Dławiła go wściekłość. Tyle już razy słyszał takie słowa, i wiedział, że zanim umrze, usłyszy je jeszcze niejedyn raz. Były ordynarnym szantażem, miał

ulec, albo drogo zapłacić za sprzeciw. Podniósł głowę, i trzymając w garści rękojeść miecza, dobierał jeszcze w myśli słowa odpowiedzi, na jaką zasłużył ten człowiek. Nie spuszczał przy tym z oka prawej ręki Jelala, gdyż zauważył, iż tylko lewą dłoń miał tamten zajęta, bawiąc się kubkiem na stole, a pod płaszczem mógł ukrywać miecz. Jelal był roslym mężem, i doświadczonym, a Conan wiedział, że spiskowcy i mówią, i myślą pokrętnie.

Nagle nadstawił ucha: ktoś wchodził po schodach, biegł, i to nie dbając już o tajemnicę. Na podeście

za drzwiami zamieniono kilka słów, Conan słyszał dwa głosy. Jelal zmienił się na twarzy, prawą ręką sięgnął do boku...

Conan skoczył. Stał szybko tak, by widzieć jednocześnie Jelala i drzwi. Jelal zauważył ten manewr doświadczonego wojownika, obrzucił Conana drugim poważnym spojrzeniem.

Drzwi otworzyły się gwałtownie do wewnątrz. Conan i Jelal równocześnie dobyli broni.

Lecz wszedł tylko przewodnik Conana, sam. Brakowało mu tchu, i szarpnął wiązanie kaftana pod szyją, kiedy wyrzucał z siebie straszne wieści:

— Najmniej dwudziestu Thornów było w Królewskim Turanie. Szukali ciebie, Conanie, wzięli Ispanę...

Conan runął do okna. Pamiętał, skąd przyszedli, i od początku wiedział, że to jedyne okno wychodzi na ulicę, przy której stał Królewski Turan. Wprawdzie nie było stąd widać zbyt dokładnie, ale dość, by Conan dojrzał światło w rozwartych drzwiach i stłoczoną gromadę gości, patrzących ze stopni za zbrojnymi, otaczającymi ciasnym kręgiem kogoś

prowadzonego w noc... Conan jęknął: „,Sparana...!” Odwrócił się od okna i tamci dwaj ujrzeli zdumieni tchnące mrozem spojrzenie oczu niebieskich jak dwa ostre kawałki lodu, twarz dziką, zmienioną, i wargi jak u wilka odsłaniające kły.

— Zdrada — warknął, a tamtym włosy zjeżyły się na karkach nie z powodu słowa, ale na zwierzęcy dźwięk, który niewiele przypominał im ludzką mowę. — Powiedziałeś:

dwudziestu?

— Dwudziestu Thornów, najlepszych ludzi Akter Khana.

Conan próbował szybko obmyślić rozsądny plan. Rzucenie się z mieczem na dwudziestu chłopca nie miało większego sensu, pewnie by odbił Ispanę, ale co dalej? Nie przebiją się we dwoje do stajni wielbłądów, nie przeskoczą zamkniętych bram. Choćby zabił dziesięciu z owych dwudziestu, khan rzuci w pościg więcej Thornów...

— Conanie. — Jelal schował do pochwy swą broń. — Jeżeli ją odbijesz i schwytają was oboje przy próbie ucieczki, lub jeśli zranią cię i pojną, nim ją odbijesz, co za pożytek z twego bohaterstwa? Pozostań wolny i cały. Nie jesteś sam, masz przyjaciół w tym mieście. Ci, którzy mają powody, by być wrogami Aktera, mają też powód, by być sobie nawzajem przyjaciółmi. Nie sądzisz?

Lodowy blask oczu nie stajał. Conan mierzył Jelala wzrokiem. Wreszcie rzekł, z trudem rozwierając zaciśnięte zęby:

— Chcę rozmawiać z Baladem.

CONAN ZŁODZIEJ

— Daj mu swój płaszcz — powiedział Jelal.

Posłaniec szybko ściągnął swój ciemny płaszcz i narzucił go na ramiona Conana. Conan pojął, że drogę do Balada przygotowali dawno, pewni widać, iż zgodzi się na wszystkie warunki, kupiony lub nastraszone. I tak się dla nich szczęśliwie złożyło, że gdy zawiodło jedno i drugie, sam Akter głupią zdradziecką decyzją przyspieszył bieg spraw i pchnął

Conana wprost w pazury Balada...

— Turth!

Przez otwarte drzwi wszedł jeszcze jeden. Pod jego nosem zawadiacko sterczały wspaniałe wąsy, idąc mężczyzna sięgnął do owych wąsów i, krzywiąc się jak po cytrynie, z wprawą oderwał je. I podał Conanowi.

— Jakże one trzymają się ciała?

— Na wosku, Conanie, takim samym, jakim przylepimy je zaraz pod twoim nosem.

Pięknie ci będzie z takimi wąsami. Płaszcz, wąsy, przygarbisz się nieco, a że nocą nie widać twoich niebieskich oczu — z pewnością przejdiesz całkiem bezpiecznie, nie rozpoznany.

Ludzie Aktera znają cię z widzenia, reszta na pewno ma dokładny opis potężnego niebieskookiego młodzieńca o gładkim licu. A tu przejdzie przed nimi jak na paradzie zgarbiony niezgrabny wąsacz...

Conan wiercił się, kiedy Jelal przymierzał mu wąsy, a potem przylepiał ciepłym woskiem do ciała. Cały zabieg nie był przyjemny, Conan poza tym nie lubił, gdy obcy byli nazbyt blisko niego. I myślał o nieszczęsnej Ispanie. To wszystko razem, ponieważ nie było prostą wojaczką, do jakiej przywykł i jaką kochał nad wszystko, drażniło go i męczyło. W końcu przerobiono go ostatecznie na wąsacza. Był gotów do drogi. Nagle jednak zawołał:

— A mój pokój?! Moje rzeczy!

— Kilku ludzi khana przygotowało zasadzkę w twoim pokoju w Królewskim Turanie.

Conan zaklął. Oczy mu się zwęziły i wąż drżał, gdy chłopak miotał straszliwe przekleństwa. Znów spojrzął na okno. Uważnie przyjrzał się gospodzie i domom przylegającym do niej z obu stron.

— Jak daleko musimy iść, by dotrzeć do Balada?

— Całą drogę.

— Nie baw się ze mną w głupie wyrocznie, dające mętne proroctwa, szkoda mi czasu!

Chcę wiedzieć!

— Dobry spacer. Zaproponujemy ci też gościnę, bo potrzebujesz miejsca na nocleg, by zebrać siły, wypocząć.

Conan odwrócił się od okna. Niebieskie spojrzenie głodnego, zżeranego nienawiścią zwierzęcia przesunęło się wolno po tamtych. Conan budził grozę — i wiedział o tym.

— Zatem w drogę...

Jelal wyszedł pierwszy, dopiero w chwilę po nim posłaniec i ten bez wąsów wyprowadzili rozjuszonego Cymmerianina. Conan widział, że kręcą, że prowadzą go okrężnymi drogami, był Conanem, i nawet w nocy, w zupełnie obcym mieście, doskonale orientował się w terenie.

Zgrzytał zębami, gdy robili pętlę, wracając niemal w to samo miejsce, lecz milczał.

Potrzebował teraz tych drani.

Wreszcie, po nieskończeniu długim czasie, zostawili za sobą ciasną zabudowę, wspinali się na Wzgórze Jednego Wołu, aż weszli pomiędzy luźno rozrzucone wille bogatych patrycjuszy Zambouli. Minęli dwie takie rozległe podmiejskie posiadłości, i Conan ujrzał posterunek straży prywatnej, należącej do jednej z tych willi. Strażnicy poświecili latarniami.

Zaszczekały psy. Posłaniec i strażę wymienili hasła. Ale prócz tego, że nieco wyżej w drodze na szczyt wzgórza minęli kuszę zawieszoną na drzewie — znak zabraniający wstępu obcym, więcej nikogo nie spotkali, i Conan pomyślał, że jeśli nie kryli się wśród zarośli czujni strażnicy, to chyba ten Balad jest bardzo pewny siebie, mając tak liche warty.

Na szczycie wzgórza przeszli przez bramę z dwóch kamiennych filarów, przewodnik, zapytany o hasło, rzekł półgłosem:

— Uwolnić Ispananę.

Odpowiedział im z ukrycia cichy gwizd. Ruszyli dalej. Przy następnej bramie w

kamiennych misach płonęły żółte ognie, płynął z nich w niebo tłusty dym, jego zapach zabijał miłą woń zroszonego ogrodu. Tu zatrzymała ich liczniejsza warta, zbrojna w kusze.

Dowódca, rozpoznawszy przewodników Conana, skinął głową pozwalając im przejść.

Przyjrzał się jednak bystro Conanowi, dostrzegł zbyt krótki, ciasny płaszcz.

— Ale on jest ogromne chłopisko! — jęknął z cicha.

— I nie lubi, kiedy ktoś go tak zuchwale ogląda i mówi o nim jakby go nie było —

zgrzytnął Conan. Tamten cofnął się przezornie na bezpieczną odległość, stamtąd wiódł tylko za Conanem wzrokiem pełnym zdumienia i uznania.

Weszli do willi ozdobionej ślicznym lekkim portykiem. Drzwi miała potężne, okute żelazem.

Strażnik, jeden z kilku u drzwi, powitał przybyłych szerokim uśmiechem:

— W kuchni zostawiono dla ciebie dużo dobrego jadła Jelalu. Zdążyłeś, nim do reszty ostygło.

— Znaczy — dopisało mi szczęście na koniec dnia. Od południa prócz wody niczego nie tknąłem.

Kiedy strażnik zwrócił się do nich, do Jelala, odezwał się nie Jelal, którego z nimi nie było, ale ten, który od początku był przewodnikiem Conana. Conan warknął, rozwścieczony teraz już porządnie:

— Ty też jesteś Jelal? Czy to imię w Zambouli tak pospolite?

— Nie, Conanie. Tylko ja jestem Jelal.

— Zatem — kim jest tamt...

— Ja jestem Balad, Conanie.

Na dźwięk tego głosu za plecami Conan drgnął i obrócił się błyskawicznie. Stał twarzą w twarz z mężem, który w tamtym mieszkaniu przedstawił mu się jako Jelal właśnie. Nic też dziwnego, że był tu przed nimi, skoro wyszedł spieszenie i szedł nie klucząc, najprostszą drogą.

— Wybacz, Conanie. Rozumiesz, spiskowcy muszą...

— Cholera.

Conan cisnął na marmurową posadzkę płaszcz. I co tu zrobić z takim durniem?! Błysnął oczyma niemal białymi z wściekłości.

— Gdybyś był ze mną szczery i nie bawił się w to łażenie tropem węża po całej Zambouli, tobyś nam obu zaoszczędził kłopotów.

— Nie mogę być szczery! Musiałem zadbać o moje bezpieczeństwo.

— Bardzo zadbałeś. Czy sądzisz, że to kluczenie mnie zmyliło? Straciłem tylko cenny czas! Te psy i te straże, to dobre na rzezimieszków, nie więcej. Potrafię wrócić tu w pięć minut, nie dostrzeżony przez nikogo, i zgrabnie poderznąć ci gardło.

— Doprawdy, jesteś niebezpiecznym człowiekiem, Conanie z Cymmerii... Żałuję w takim razie, że

sprawilem ci jakiś kłopot. Ale co z tego za kłopot wynika dla mnie?

— Wszyscy musimy zrobić ten spacer raz jeszcze, bo Hajimen pozostał w mieście.

Rozumiesz teraz?

— Nie bardzo. Sprawdziliśmy młodego Shanka...

— Ale nie wymyśliliście, do czego mógłby się wam przydać. Tacy z was spiskowcy. —

Conan spojrzął za okno na jasną poświatę księżyca. — Dobrze, czas na mnie. Życzę ci dobrej nocy.

— Oszalałeś? Dokąd się wybierasz, Conanie?!

— Do Królewskiego Turanu.

— Chyba rozum straciłeś naprawdę! Tam zasadzka, czekają na ciebie, a ty pchasz im się w łapy!

— Nie zabawię długo, zapewniam cię.

Balad zastąpił mu drogę.

— Nie pozwolę ci wrócić tam dzisiejszej nocy!

— Wrócę.

— Conanie!!!

— Żegnam.

I Conan zniknął za oknem jak cień.

Pod ścianą domu sąsiadującego z Królewskim Turanem leżał zwinięty płaszcz, starannie ułożony na wielkich buciskach. Wysoko, wysoko na dachu siedział skulony człowiek, palcami bosych stóp wyszukując oparcie w nierównościach dachówki. Miecz umocował sobie na plecach rzemieniem jak łuk, wokół pasa zawiązał linę, po której wspiał się przed chwilą na dach.

Teraz zatrzymał się, spojrzął na pięciostopową przepaść, dzielącą go od gospody.

Uśmiechnął się, błyskając białymi zębami, oblizął spierzchnięte wargi. Ostrożnie zsunął się w dół, a potem lekko jak dziki kot pobiegł po pochyłości w górę, biorąc rozpęd — i skoczył.

Przefrunął nad przepaścią, gładko lądując na płaskim dachu Królewskiego Turanu, nie czyniąc najmniejszego hałasu.

Nie znalazł nic, o co mógłby zaczepić linę. Jedynym sposobem dostania się do pokoju było zawieszenie na krawędzi dachu, dwa piętra nad ziemią. Więc zrobił to.

W ten prosty sposób wyłądownął Conan na podłodze własnego pokoju w Królewskim

Turanie.

Słusznie zgadł: w pokoju nie było nikogo. Pewnie Thorn siedział pod drzwiami, inni czekali na Conana na schodach albo na dole. Izba była ciemna i pusta. Odwiązał miecz, mocując go od razu zwyczajnie do pasa. Przywiązał linę do solidnej belki, drugi koniec sznura wyrzucił za okno, szykując sobie drogę ucieczki. W ciemnościach wyszukał swą ulubioną kolczugę z mocnych stalowych kólek i przebrał się błyskawicznie, choć w mroku nie było to takie łatwe. Na koniec rozpostarł na łóżku płaszcz, ten iście królewski dar khana.

Szukając po omacku począł gromadzić i układać na nim kolejno swe skarby: złote monety, drobne upominki, które nabył dla Isparany, łańcuch. Sięgnął po złoty kubek. Kubek rzucony na płaszcz uderzył w łańcuch i odbity stoczył się na podłogę z piekielnym hałasem...

— Cholera!

Nie dbając więcej o ciszę Conan rzucił się po swój kubek, cisnął go w płaszcz, płaszcz podniósł za rogi jak worek i podbiegł do okna. Za późno.

Drzwi otworzyły się i ciemność rozjaśnił żółty płomyk przyduszony powiewem przez chwilę, w moment później żagiew buchnęła wielkim płomieniem.

— Kto tu?!

Żołnierz w hełmie. Jeden. Conan mocniej ścisnął w garści miecz, przytulony plecami do ściany przy oknie. Thorn uniósł wyżej żagiew, z ukosa patrzył w ciemność po kątach. Nagle blask sięgnął ostrza obnażonego miecza, odbił się od stali... I od pary oczu świecących niebiesko...

— Łapać! Pomocy! CONAN!!!

Żołnierz wrzeszczał, wpatrzony w twarz wykrzywioną nienawiścią. Conan poderwał się do skoku, jego miecz błysnął, zawirował — i opadł. Na korytarzu słychać już było podniesione głosy, kroki dudniły na schodach. Conan stał przez mgnienie z mieczem w ręce, zasłaniając się worem z płaszcza jak tarczą.

Pierwszy Thorn sięgnął do drzwi i wyrznął jak długi potknąwszy się o ciało leżącego żołnierza. Idący za nim całą gromadą już mieli przekroczyć tę barykadę, kiedy śmignęła ku nim kula ognia, leciała niby pocisk, na wysokości głów... Przerażeni przypadli do ziemi i chwilę trwało, nim połapali się, że to tylko płonąca poduszka, za nią druga, na końcu żagiew.

Umykali przed snopami iskier, gdy kolejne kule rozbijały się na ścianie nad nimi, tu i ówdzie zaczęła tlić się podłoga. Wreszcie któryś pochwycił leżącą żagiew i wpadł do izby. Za nim przeszli przez próg następni.

W izbie było cicho i ciemno, płomień pochodni oświetlił bałagan, rozrzucone rzeczy, przewrócone sprzęty i kałużę krwi, co wyciekła z ciała ich towarzysza. Okno było otwarte, od belki przez parapet

biegł gruby sznur.

— Umknął przez okno!

Jeden z Thornów ciął ostrzem miecza linę — odbiła klingę, nie przecięta, zwisała luźno.

— Za późno! Uciekł! Któryś rzucił się na parapet.

— Dogonię go!

— Zaczekaj! — wrzasnął drugi. — Lina jest jednak nadcięta!!! Zakum, lina nie utrzyma twojego ciężkości...

Żołnierz w pełnym rynsztunku był już za oknem, impet szarpnął liną. Thorn grzmotnął o ścianę gospody z hukiem potężnym... Lina puściła. Rozległ się wrzask, przekleństwa i jęki.

Zakum leżał na ziemi wijąc się z bólu.

— Na wszystkie diabły Hanumana!!! — jeden z Thornów na górze wyrżał przez okno, macając wzrokiem ciemność tam w dole. Zakum wił się i jęczał, trzymając obu rękami nogę.

— Moja noga, och, ooch! Moja noga!...

— Ta łamaga, nie dość, że bez głowy, to teraz bez nogi!

Złamał nogę! Ludzie, idziemy na dół. Jeśli Conan ucieknie, to z rozkazu khana stracimy nie nogi, lecz życie!

Hurmą wypadli z pokoju, zbiegając po schodach na łeb, na szyję, dudniąc i brzęcząc żelastwem, tupiąc buciskami. Na ulicy rozdzielili się, by przeszukać dzielnicę wokół gospody.

Tymczasem nieco później jakiś Thorn, widać pierwszy z tych co będą powracać nie znalazłszy Conana, przywłókł się z głębi uliczki. Utykał wyraźnie, ciężko podpierając się kijem. Mijał właśnie drzwi domu stojącego naprzeciw gospody, gdy otworzyły się i z mroku korytarza wyłoniła się zjawia. Thorn stłumił okrzyk przestachu, zaklął, widząc, że to tylko stary garbus, w brudnym obszarpanym płaszczu, z głową okręconą ohydną szmatą niczym kaffiją. Spod płaszcza staruch wyciągnął do żołnierza trzęsącą się rękę.

— Choć grosz, kapitanie... — zajęczał skrzekliwie.

— Precz!!! Idź żebrać gdzie indziej. A ja nie jestem kapitanem. — Thorn nachylił się, by zajrzeć w twarz garbusowi, pod cień kaffii. — I znajdźże kogoś, co by ci te wąsy przykrócił, bo połkniesz je kiedy ze strawą, człeku! Jazda, precz stąd.

Patrzył jeszcze przez chwilę, jak żebrak człapiąc niezdarnie zniknął w mroku przedświt w dali ulicy.

Żołnierz z pustymi rękami powrócił na zbiórkę w Królewskim Turanie. Conan, szczerząc zęby radośnie, z workiem na plecach pod płaszczem Jelala pomaszerował dalej swoją drogą.

Na Wzgórzu Jednego Wołu nie było daleko...

Thorn ze zwieszoną głową wysłuchał łajania dowódcy. Nie miał pojęcia, że ma powód, by skakać z radości i cieszyć się życiem: w czasie spotkania ręka żebraka mocno ścisnęła rękojeść sztyletu, i gdyby tylko Thorn okazał się nieco bystrzejszy...

KLUCZ DO ZAMBOULI

Balad miał popleczników na dworze Zambouli i w samym Aghrapurze. Balad miał

poparcie szerokie, chętnie mawiał „Ja, i lud Zambouli”. Balad był już doskonale przygotowany. Brakowało tylko przypadku, albo zmyślnej sztuczki, by mógł ruszyć na Akter Khana i — wygrać.

Z czterech stron miasta, przy każdej z czterech bram, stały koszary wojsk Akter Khana. Od koszar biegły do samego pałacu szerokie bite drogi. W pałacu kwaterowało na stałe dwustu wybrańców: Thornów, nazywanych Khan –Khilayim. Byli wysoko opłacani, khan dbał, by mieli wszystko, czego im trzeba, wygodne kwatery, dostatek jedła i napojów, a nawet najlepszych kobiet. Otrzymywali także przydział soli i piwa, cennych w tym kraju, i mając na dworze pełne utrzymanie z odzieżą włącznie, żołd swój mogli spokojnie odkładać na starość.

Pałac był fortecą trudną do zdobycia, przy tym domem khana, ale także i mieszkających w nim Thornów, byli gotowi bronić pałacu do ostatniej kropli krwi. Dwie setki wybrańców mogły wytrzymać przez bardzo długi czas oblężenie daleko większych sił wroga, gdyby nie poradzili sobie z atakiem żołnierze u bram, mający za zadanie również strzec zewnętrznego muru pałacu. Zarówno wybrańcy, jak wojsko nieustannie ćwiczyli swą sprawność,

pozorowano alarmy, małe oddziały na zmianę przebywały na pustyni, gdzie żołnierze mogli doskonalić umiejętności i hartować się w trudnych warunkach. Poplecznicy Balada, gdyby chcieli otworzyć mu bramy pałacu, musieli pierwiej zwyciężyć Thornów... A do tego wszystkiego w pałacu był Zafra, sprytny, mający wszędzie swych szpiegów i władający czarami.

Balad nie posiadał armii, nie miał też zbrojnych zewnętrznych sojuszników, nawet gdyby wzniecił powstanie, skończyłoby się na przelaniu niewinnej krwi bez żadnego efektu — „lud Zambouli” nie pokonałby w walce żołnierzy Aktera. Dlatego Balad rozumiał, że potrzebny mu jest Klucz, tak nazwał ów przypadek lub fortel, tylko czymś takim mógł sprytnie zająć żołnierzy przy bramach, a nawet wyciągnąć z pałacu połowę obsady Thornów. Bezbronny pałac stanowił już łatwy łup, dzięki tym, co gotowi byli otworzyć bramy od wewnątrz.

A Conan miał w ręku ów Klucz.

W normalnych warunkach Conan nigdy do Balada nie zechciałby się przyłączyć. Chętnie przyjąłby służbę u Akter Khana, uważając go za jeszcze nie najgorszego spośród znanych mu władców. Byłby wiernym, lojalnym dowódcą, obojętne — żołnierzy przy bramach czy Thornów w pałacu. Taka służba nie była mu nie znana, kochał swoje rzemiosło i z radością oddałby swój miecz dobrej sprawie. Rozniósłby w pył tę zgrają Balada, a jego samego, zgrabnie przewiązanego sznurkiem, odstawiłby wprost do lochu khana. Ale... Ale warunki nie były normalne. Akter zdradził Conana, za bezcenną przysługę odpłacił zdradą i więził

Isparanę. I tylko przyłączenie się do Balada dawało szansę odbicia dziewczyny.

Conan żałował szczerze, że Akter ma swój amulet. Gdyby Conan zatrzymał Oko Erlika, miałyby teraz przedmiot do targów i łatwo wypłatałby się z całej tej paskudnej historii. Poza tym Akter śmiertelnie bał się mocy Oka, i świadomość, że może zostać użyte przeciw niemu, pewnie załatwiłaby całą sprawę.

— Przydałoby ci się Oko, Baladzie.

— Cóż. Spóźnione żale.

Balad powrócił do niewesołych rozmyślań, a Conan gapił się w okno. Siedzieli obaj w dużej komnacie willi na Wzgórzu Jednego Wołu, sącząc chłodne piwo. Za wąskim oknem lekki powiew kołysał drzewa, jakby układając je do snu, niskie słońce złociło ogród łuną zachodu. Za chwilę zapadnie zmierzch. Nic nie wróci Conanowi pół roku życia, które poświęcił Akterowi. Mógł być w tym czasie gdzie indziej, spotkać lepszych przyjaciół niż khan, poznać piękne dziewczyny, pić wino w żołnierskiej kwaterze służąc innemu panu...

Tymczasem tłukł się jak głupi po pustyni, walczył z kobietą śliską jak żmija, pozwolił zakuć się w kajdany tym tępym łowcom niewolników. Wszystko po to, żeby podły Akter dostał

swoją durną zabawkę. Czy chociaż ‘Sparana żyje jeszcze...?’

— Sprowadź mi tu Hajimena Shanki, słyszysz, Baladzie?

— I cóż nam po nim.

— Zrób tak, jak mówię.

Po zmroku Conan zasiadł z Shanki w swojej komnacie przy kubku piwa.

— Myślałeś o zemście, czy tak, Hajimienie?

— Tak.

— Czy myślałeś też o tym, że wojownicy Shanki nie mają żadnych szans? Nie zrobisz nawet małego wyłomu w murach Zambouli. Shanki jest zwyczajnie za mało.

— Jeden wojownik Shanki wart jest dziesięciu Yoggitów! I trzech Zamboulańczyków, nawet w tych ich przeklętych ubraniach z żelaznych kółek!

— Tak, ale Thornów jest dwustu, dodaj do tego wojsko przy bramach, na murach... Nie bądź śmieszny, Shanki.

Hajimen nie chwycił za miecz. Westchnął, wstał. Przeszedł się po komnacie. Opadł znów na miękką poduszkę, patrząc z rozpaczą w oczy Conana.

— Conan wie, że znam tę prawdę. Ale idzie o honor Shanki. O imię Akhimen Khana. Czy o n ma świadomość tej prawdy...?

— Rzecz w tym, że to nie Zamboulańczycy, ale sam Akter zabił twoją siostrę. Nie musicie zdobywać Zambouli, starczy, jeśli uśmiercisz Aktera Khana i Zafirę. Nie byłoby dobrze, gdybyś zabijał Zamboulańczyków, którzy nie kochają Aktera i raczej są po twojej stronie, ani gdyby przy tym zginęli dzielni Shangi, których dziewczyna nie była siostrą ni córką.

Pojmujesz?

Hajimen myślał przez chwilę nad słowami Conana. W końcu uśmiechnął się smutno, podnosząc na niego oczy wypełnione bólem.

— Pojmuję, Conanie. Najlepiej będzie, jeżeli nie powiadomię ojca i zostanę tu sam.

Jakoś... jakoś dostanę khana, i pomszczę moją siostrę. Dopiero potem pojedę do Akhimen Khana, opowiedzieć mu wszystko.

— Jeżeli jeszcze będziesz żył. Takie rozwiązanie jest bowiem odważne, lecz... głupie.

Wiesz o tym, tak samo jak ja.

W oczach Hajimena zabłysnął gniew. Przyjrzał się bystro temu, który siedział z nim w willi Balada, należącej naprawdę do pewnego bogacza wrogiego khanowi Zambouli — tu spisek i zdrada były na miejscu. Może i Conan...

Conan wyciągnął rękę, by dotknąć ramienia chłopaka. Hajimen usunął się, rzucając mu groźne spojrzenie. Conan cofnął się z ciężkim westchnieniem.

— Ech, Hajimienie... Jeśli sam zaatakujesz Aktera, nie przeżyjesz nawet pół dnia, choćbyś był nie wiem jak dzielny. Jakże wtedy powiadomisz ojca, że pomściłeś swą siostrę? Czyś pomyślał, że straciwszy córkę, straci teraz i syna? I ty, kochając go, chcesz, żeby opłakiwał

dwoje dzieci? Czy wiesz, co wtedy robi twój ojciec? Nie jestem czarnoksiężnikiem i nie mam magicznej kuli, ale chętnie ci powiem: twój ojciec dosiądzie wielbłąda i ruszy na czele swych ludzi. Uderzy na Zamboulę. I zginie. Tego chcesz? Na twarzy Hajimena widać było uczucia, zmieniające się szybko, w miarę jak Conan mówił. Teraz młody wódz wstał i podszedł do okna. Wsparty o parapet, patrząc to na Conana, to w czerń nocy za oknem, rzekł

cicho:

— Conan jest mądry.

Milczeli chwilę, Hajimen mruknął nagle:

— W imię Theby, Conanie — ileż ty masz lat?!

Conan zaśmiał się cicho.

— Jestem dość stary, by dawać mądre rady, i dość głupi, mój przyjacielu, by samemu je przyjąć...!

Shanki odwrócił się plecami, parsknąwszy śmiechem. Ale tak naprawdę nie do śmiechu im było.

— Co więc radzisz, Conanie? Mamy dalej żyć, jakby się nic nie stało? Akter przyjął dar z rąk mego ojca, a potem zabił małą Shanki niby złodziejkę, albo Yoggitkę. Ja mam z tym żyć?!

— Wcale nie musisz. Posłuchaj, Hajimienie. Mam pewien plan. Trzeba tylko, byś szybko, możliwie najszybciej, pojechał do ojca i wrócił tutaj z wojownikami. Trzeba, by dosiedli najszybszych wielbłądów i przybyli uzbrojeni, jak na największą wojnę. Trzeba, by stanęli tuż pod murami i co sił w płucach wyzywali Aktera i Zafre od najgorszych, by od czasu do czasu posłali kilka strzał — w mury, nie w ludzi — i by na koniec wezwali Aktera do wyjścia i walki!

Hajimen gwałtownie odwrócił się od okna, w jego oczach jaśniała nadzieja... Lecz zaraz przygasła.

— Conanie, Akter jest tchórzem! Nie wyjdzie!

— Słusznie. Ale my o tym wiemy. Idzie całkiem o coś innego. Gdy on zamknie się w pałacu i rozkaże wojsku rozgromić ten śmieszny oddział wojowników plujących na niego, a nie przynoszących mu żadnej cielesnej szkody... wtedy naprawdę przyjdzie kolej na Shanki.

Musicie zrobić, ty, Hajimienie, i twoi wojownicy, najtrudniejszą rzecz, jaką tylko można wymyślić. Shanki dostaną najcięższe zadanie.

— Mów, Conanie. Jakie jest to zadanie.

Oczy chłopca błyszczały i Conan zastanawiał się, czy porywczy młodzieńcy wódz udźwignie ciężar słów, które za chwilę padną.

— W chwili, gdy otworzą się bramy i wojsko wylegnie na pustynię, Shanki... Shanki muszą UCIEC.

— UCIEC????!!! — Shanki bluznął słowem obcym jego naturze.

— Tak, Hajimienie! — Conan podjął z zapalem, nie czekając, aż krewki młodzian sięgnie po miecz. — Trzeba ich obelgami doprowadzić do tego, żeby wyszli za bramy i przypuścili szarżę na dzielnych Shanki. Waszym zadaniem jest wywieść ich jak najdalej w pustynię. Póki będą was gonić, umykajcie chyżo, jeśli będą mieli dość i zechcą zawrócić — podążycie za nimi i poty będziecie ich nękać strzałami i wrzaskiem, aż pogonią za wami znowu. Hajimienie

— Conan mówił nadzwyczaj poważnie, wiedząc, że teraz rozstrzygną się losy jego planu.

Hajimen musi przyjąć ten plan, rozumiejąc dokładnie, o co tu chodzi. — Tak walczy nie tchórz. Tak walczy dziki zwierz.

— Nie! To nie jest walka godna wojowników Shanki! Co innego, jeśli w chwili

pierwszego odwrotu doścignemy tych podłych szakali, rzucimy się na nich z tyłu i będziemy wycinać ich w biegu! Wtedy zmaleje ich przewaga, i jeśli Conan zaatakuje od frontu, nawet z niedużym

oddziałem...

— To nie tak... Posłuchaj jeszcze raz, wodzu Shanki. Żołnierze Akter Khana to nie szakale, to młodzi, dzielni ludzie. Nie jest ich winą, że służą panu imieniem Akter Khan.

Urodzili się tu, w Zambouli, a khan jest satrapą Cesarza. I władza Zamboulą zgodnie z przyjętym prawem. Więc ty chcesz, żeby gdzie i komu służyli? Rabusiom pustynnym?

Dlatego posłuchaj jeszcze raz: to są dzielni, dobrze wyszkoleni żołnierze. Musicie robić tylko to, co zmusi ich do pogoni za wami w pustynię. Nie dacie się dopaść i pobić, ale też żaden Shanki nie zabija „wrogów”, przecież ludzie z Zambouli nie zrobili wam nic?

— Nie, Conanie. Ja nie widzę w tym honorowej walki, i jeszcze raz ci powtarzam: tak nie walczą wojownicy Shanki. Jaki jest cel takiej gonitwy po piaskach?

— Nooo, przyjacielu... Jesteś wspaniały! Teraz na pewno wiem, że gdy przejmiesz po ojcu władzę nad ludem Shanki, lud ten zyska mądrego i dzielnego khana.

— Dlaczego... Dlaczego mi to mówisz? Dlaczego tak sądzisz...? — nieufnie zapytał

Hajimen.

— Ponieważ zadałeś mi mądre pytanie, zamiast od razu złapać za miecz i próbować mnie zabić! — Conan roześmiał się szczerze. — Ilu wojowników możesz mi przygotować, mój przyjacielu? Wliczając nawet bardzo młodych chłopców i starszych już mężów?

— I setkę naszych kobiet, Conanie. Nasze kobiety nie są delikatnymi zabawkami, jak większość kobiet w tym mieście.

— Świetnie. Mimo wszystko, policz teraz, wodzu Shanki: wy — przeciwko dwóm tysiącom żołnierzy Aktera. Czy zdajesz sobie sprawę, że aby pokonać Aktera, musisz sprzymierzyć się bodaj na chwilę z jego wrogami? Także Shanki są tym wrogom khana potrzebni, bez was oni sami nie obalą Aktera. Czy zechcesz mi pomóc, wodzu Shanki?

Zapadło milczenie. W końcu Hajimen podniósł głowę i rzekł z zadumą:

— Tobie tak. Lecz Balad?

— Ja także miałem dużo wątpliwości — Conan jął się przechadzać po komnacie,

wspominając niedawne rozterki. — Ale, widzisz, Hajimienie, jeśli samemu nie można nic zdziałać, należy zjednoczyć siły. Nie mówię: „na zawsze”. Mówię: „na chwilę”. Każdy z nas, ty, Balad, ja — mamy w Akterze wroga. Twoja siostra umarła, nie wiem, czy moja kobieta jeszcze żyje, a Balad niejedno tu widział i przeżył, wiem, że z jego rodziny też ktoś umarł z rozkazu khana. Czy to ma trwać bez końca? Trudność w tym, że żaden z nas sam nie zwycięży khana i nie pomści krzywd. Jedna trzcina to nic, lecz wiązka trzcin mocno związana utworzy ścianę domu. Czy zrozumiałeś mnie?

— Chyba przynajmniej zacznym rozumieć...

— Posłuchaj dalej. Ja mogę dostać się do pałacu i poradzę sobie z połową Thornów, wprowadzając tam ludzi Balada. We dwóch damy sobie radę z khanem i Zafra. Ale tylko pod jednym warunkiem: gdy główne siły, z połową Thornów, będą mocno zajęte na pustyni...

ściganiem widm.

— Widm nieuchwytnych Shanki!!! — Hajimen roześmiał się wreszcie na cały głos.

— Tak! — Conan klasnął dłońmi o uda. — Tak! Wtedy Balad, gdy obali khana, zwoła wszystkich żołnierzy i oznajmi im udział Shanki we wspólnym zwycięstwie! Shanki pozostaną przyjaciółmi Zambouli, nadal będą sprzedawać konie na zamboulańskim targu i przywozić opale tutejszym elegantkom, biorąc najlepsze ceny! Być może Balad nie okaże się władcą złym i niewdzięcznym, być może nagrodi dzielnych Shanki jako swych doskonałych sojuszników, sprawdzonych w potrzebie...

— Ha! To zaczyna mi się podobać! Balad zyska koronę, Zamboula może lepszego władcę, a Conan i Hajimen zaznają słodczy zemsty! Sprawiedliwej!

Szeroki uśmiech Conana nie zgasił smutku w jego oczach. Nie miał nadziei, że wszystko pójdzie gładko, że Balad będzie dobrym władcą. Czuł niechęć do Balada, i był zły, że musi przyłączyć się do tego człowieka, a jeszcze wplątać w to Shanki. O ileż piękniej by było samemu zwyciężyć, i żeby Hajimen sam mógł pomścić śmierć siostry. Jednak doświadczenie wojenne mówiło Conanowi, że Akter zgromadził znaczne siły i doskonale przygotował

obronę na wypadek najazdu lub powstania, więc rzucić się do nierównej walki byłoby samobójstwem. Kiwnął głową.

— Sprawiedliwej... Tak, wojowniku.

— Akter Khan, jeśli przeżyje wasz atak, musi zostać oddany Shanki. To nasz warunek.

Młodzieniec powiedział to tak twardym głosem, z taką powagą, że Conan prawie usta otworzył w zdumieniu. Więc młody wódz miał swoją cenę! Ba, ale akurat tego obiecać mu nie mógł... Pomyślawszy chwilę znalazł trafną odpowiedź.

— Rozważ to, Hajimienie. Zamboulańczycy nienawidzą swojego khana. Więcej im uczynił

on krzywd, najróżniejszych, niż dzielnym Shanki. Czy, gdybyś się zwrócił do mieszkańców Zambouli — sądzisz, że oddaliby ci Aktera? Wszak oni mają pierwszeństwo przy szukaniu pomsty. Czy chciałbyś odmówić go im...?

Hajimen po namyśle potrząsnął głową.

— Jedno, co mogę przyrzec wojownikom Shanki, to tyle, że będą obecni przy śmierci Aktera Khana i na dowód dokonanej zemsty zabiorą swemu khanowi uszy Aktera i Zafry. Czy to wam wystarczy?

— Tak. To nam wystarczy. Conanie... — młody wódz zawahał się, po czym patrząc w

oczy Conana z powagą spytał: — Czemu powiedziałeś mi o tym? Teraz mogłeś przecież obiecać mi wszystko, a potem dopiero próbować przekonać, albo tłumaczyć, że się nie dało inaczej...

— Mogłem. Lecz czy tak postępuje przyjaciel? Hajimen jest moim przyjacielem, i synem mojego przyjaciela. Czy miałbym tę przyjaźń skalać kłamliwym przekupstwem, podstępem?

O świcie oddział Shanki opuścił mury Zambouli. Z nimi, w przebraniu jastrzębia pustyni, wyruszył Jelal, kryjąc twarz cieniem kaffii. Balad upoważnił go do udziału w rozmowach Hajimena z Akhimen Khanem, jeśli zajdzie taka konieczność, miał też w powrotnej drodze Jelal być posłańcem, wyprzedzając o pół dnia drogi wojowników Shanki i niosąc Baladowi ostateczne ustalenia co do rozpoczęcia walki.

Conan do południa włóczył się po pustym ogrodzie klnąc i próbując zrozumieć samego siebie. Był barbarzyńcą, nie dla niego układy i spiski, nie dla niego podstępny, zamachy.

Kochał działanie wprost, z mieczem w ręku, gdy dwie armie ścierały się w boju. Tymczasem wplątał się w jakieś historie z Baladem, z Shanki — gdy w jego żyłach nie płynęła krew jednych ni drugich, i nic go te wszystkie sprawy nie mogły obchodzić. Tylko ta Isparana, może gdzieś w lochu... Jeśli żyła, czy czekała na niego? Czy wierzyła, że jej przyjdzie z pomocą?

Do tego ten młody Shanki. Czy musiał okazać się szlachetnym głupcem? Tym samym zmusił Conana do przyjęcia nowej dla niego postawy, do roli rozumnego, rozsądnego dowódcy, umiającego tak dobrać słowa, żeby przekonać, tak myśleć, żeby ten drugi przyjął

plany... I ostatecznie, jak na chłopca nie mającego jeszcze nawet osiemnastu lat, za to marzącego, by zostać dowódcą oddziału, potem szwadronów, a w końcu całego narodu —

spisał się nieźle!

Lecz, taki mądry przy Hajimencie, pozostał sobą, upartym Conanem, gdy w południe zebrali się na naradę ludzie Balada. Nie było sposobu, by wybić mu z głowy zuchwały projekt. Conan uparł się jak tępą muł i trwał przy swoim: on sam uwolni Isparanę.

Toteż pewnej nocy złodziej, zwinny i cichy jak kot, nie zauważony pokonał dwa mury, strzeżony ogród i wśliznął się do pałacu... Nie minęła chwila — i został jeńcem maga.

„ZABIJ GO!”

Pamiętał straszliwe tortury. Przypominał je sobie mgliście, jakby zadawano mu męki, gdy był pijany lub oszołomiony jakimś silnym środkiem. Pamiętał, jak nogi przywiązano mu do dwóch wbitych w ziemię pali, za kostki i za kolana, mocno. Potem związano mu nadgarstki mokrym rzemieniem, okropnie ciasno, skóra krwawiła. Potem ktoś dźgnął go mieczem w krzyż, aż poleciał w przód niemal na twarz — lecz więzy na nogach trzymały. Przeciągnięto mu ręce pomiędzy nogami w tył, uwiązano do nadgarstków linę, a drugi jej koniec do haka wbitego w ziemię. Jej naprężenie zmuszało go do pochylenia, tym sposobem wystawił grzbiet na niezliczone razy batoga. Krew uderzała mu do głowy, przed oczami miał czerwoną mgłę.

Nie mógł się wyprostować i nie mógł upaść do przodu, nie mógł nic — mógł tylko cierpieć.

Knebel wrzynał się w usta, wokół knebla ciekła różowa piana śliny. Och, jakże nienawidził!

Tak ponizony, obolały — nienawidził z niewyobrażalną siłą!

Później krew w głowie szumiała, było jej coraz więcej. W końcu czerwona mgła zawirowała mu przed oczami, zrobiło się ciemno. Stracił przytomność.

Ale teraz był przytomny. I przypominał sobie, jak bat ze świstem wznosił się w powietrze, tam nieruchomiał na mgnienie jak skręcony wąż, po czym opadał niczym błyskawica, z trzaskiem tnąc w poprzek gołe plecy. Przypominał sobie, jak walczył o oddech, bo uderzenie bicia pozbawiło go tchu. Pot skapywał mu z twarzy, spod pach strumieniami spływał po ociekających krwią bokach. Bicz odrywał się od pleców, zawisał w powietrzu i od nowa uderzał. Czarny jęzor darł skórę i kroił ją bez litości. Pamiętał, że pierś naciągnięta niby na bębnie skóra tymi sznurami, które go wiązały do pali i haka, wznosiła się ciężko, nozdrza mu drżały, chrapliwy oddech wyrывał się z ust — tylko oddech, gdy każda cząsteczka jego ciała mogłaby krzyczeć bez końca z bólu, potwornego bólu nie do zniesienia. Jednak on znosił ten ból. Nie zadawali mu chyba nawet pytań, żadnych pytań, niczego nie chcieli wiedzieć, po prostu bili go.

Pamiętał, że bicz świstał, ze świstem opadał. Wspomnienia były zamglone, zdawały mu się snem. Czy mogły być snem? Zagryzł spuchnięte wargi. Zabolało. A więc nie śnił. Nie mógł

opanować drżenia ud, kołysał biodrami z boku na bok, mięśnie napinały się same, bez udziału jego woli — one wyraźniej niż on pamiętały ból, tę straszliwą powtarzającą się serię: uderzenie, szarpnięcie, oczekiwanie, uderzenie, i znów, i znów, i znów... Ból — rozpacz —

wściekłość — bezsilność... Wyjęli mu knebel i dali łyk wody, by zwilżył wyschnięte gardło, by mogli słyszeć, jak krzyczy.

Zawiódł ich. Nie krzyknął. Na pewno. A... jeśli tak?

Smarowali go jakąś maścią.

Pamiętał coś jeszcze. Zasnął, i widział miecz, którego nie dźrzyła żadna ręka. Miecz ten wisiał w powietrzu i nagle skierował ostrze w pierś jakiegoś wychudzonego, skatowanego młodzieńca i przebił tę pierś na wylot, młody człowiek runął na wznak, miecz przygwoździł

go do twardego jak kamień klepiska, i przez chwilę kołysał się lekko, a wielki topaz świecił na rękojeści żółtym światłem. Zdało mu się, że słyszał miękki cichy głos Zafry, mówiący

„Zabij go” — a miecz zrozumiał i usłuchał... Czy to był sen? Mógł się założyć, że nie, że to Zafra pokazał mu coś, by złamać stalową wolę Conana. Ale czy możliwe, by taka rzecz zdarzyła się naprawdę? Nie. Śnił... A jeśli nie...?

Smagnięcia wiechciem pokrzyw przywracające mu świadomość, kiedy z bólu ją tracił, nie były taką torturą jak swędzenie, skóra piekła, bąble paliły i szczypały, i dałby wszystko, żeby móc się podrapać.

Batog klasnął o brzuch. Zostawił czarną pręgę. I jeszcze raz.

Powiedziano mu, że owinięty w świeżo odartą skórę krowy leżał na zewnątrz, w palącym słońcu. To mu powiedziano. A on pamiętał żelazny hełm, który mu włożono na „głowę i przywiązano tak, że szorstki cienki rzemień wrzynał się w gardło dławiąc niemiłosiernie, aż ciekła krew. Ktoś walił w hełm młotem i Conana ogarnął potworny zwierzęcy strach, że nie wytrzyma, że oszaleje, straci zmysły, i jeśli nie umrze teraz, to i tak nigdy nie będzie już sobą, będzie bezrozumnym stworzeniem wyrzuconym za mury, sępom na żer, wyjąłym w nocy jak szakal.

Przetrwał.

Nie miał tylko pewności, czy nie szlochał pod tym hełmem z bólu, i z tego strachu.

Płatały mu się zdarzenia prawdziwe i zwiady jakieś, omamy. Część tego była na pewno sprawką Zafry, ta maść, ten dziwny zapach jakiejś mgły — to mogły być „czary”, łotrowskie środki sprawiające, że opuszczało go rozeznanie rzeczywistości. Lecz jakaś część zdarzeń była prawdziwa. Tylko któ...

Ból rozsadzający czaszkę pogrążył go w szarej otchłani.

Ocknął się. Policzkami czuł miły chłód. Reszta ciała paliła żywym ogniem. Męcząca niepewność sprawiała, że serce wstrzymywało swą pracę, jakby nie chciało już bić, jak on nie wiedząc, czy żyje jeszcze, czy tylko śpi, odurzony czarami lub jakimś specyfikiem tajemnym.

Myśl nie chciała pracować. Przed oczami płynęły smugi bladej mgły, to znów wirowały niezliczone gwiazdy. Lecz z wolna umysł począł się przejaśniać.

Leżał bez ruchu. Przesunął nadgarstek odrobineczkę w bok. Nie poczuł więzów. Odetchnął

głębiej, na tyle, na ile pozwolił mu ból umęczonego ciała. Ach, tak. Był przecież schwytany w pałacu, torturowany. Bity. Gdzie teraz leżał? W pałacu — ale gdzie? Nie całkiem jeszcze nadażał myślą, na niektóre pytania nie umiał znaleźć odpowiedzi. Miał świadomość małego dziecka, a ciało stuletniego starca. Ale płomyk świadomości świecił coraz jaśniej, już nie przygasał. Czuł, jak rośnie jego siła — lub przynajmniej słabość maleje...

Otworzył oczy.

Rzucono go na skraj miękkiego dywanu, bokiem twarzy dotykał zimnej marmurowej posadzki. Wpatrzył się na chwilę w jasne i ciemne żyłki wyraźnie widoczne w marmurze, płyty różowe i szare tworzyły szachownicę. Nieco dalej był stół, wysoki i długi, ciężki, zavalony mnóstwem przedmiotów, istne śmietnisko. Jak u Hisarra Zula. Hisarr Zul? A, tak.

Czarnoksiężnik najpierw w Zambouli, potem w Arenjun, teraz najpewniej w Piekło, bo tam wysłał go Conan niedawno. A tu na stole jest ten sam rodzaj przyborów. Zatem Conan ciśnięty jak szmata leży w komnacie Zafry, czarnoksiężnika Akter Khana.

Przylegającej do sali tronowej. Tak, tamte drzwi...

Wracało mu również czucie. Nos zaswędziało lekko, drażniony przykrą wonią — chemikalia, zioła, coś nieznanego, płonącego, wydzielającego nieznośny swąd. Co za odór.

Poruszył palcami, potem dłońmi. Nie były związane. Nogi? W porządku. I nogi miał wolne od więzów.

Odetchnął. Spróbował wstać. Wolno, niezdarnie gramolił się z posadzki. Udało mu się dźwignąć prawie że na czworaki. Podparty jeszcze łokciem, unióśł głowę.

Wtedy zobaczył Zafre.

Mag stał dokładnie tak, by obudziwszy się całkiem, Conan mógł go od razu dostrzec, było to możliwe tylko gdy próbował wstać. W ten sposób Zafra, słysząc ruch, został natychmiast ostrzeżony. Odłożył księgę na brzeg stołu. Conan znieruchomiał na jednym kolanie, knykciami oparty o podłogę.

— Ach. Jak ślicznie. — Zafra uśmiechnął się. Oczy maga pozostały żółte, bez wyrazu, bez śladu uśmiechu. — Miło widzieć cię tak grzecznego, w niskim pokłonie.

Z twarzą wykrzywioną wściekłością i nieludzkim bólem Conan jednym skokiem poderwał się, stanął, szeroko rozstawiając nogi, aby nie upaść. Zafra lekko wywinął trzymanym w dłoni mieczem. Topaz zamigotał.

— Pamiętasz, Conanie, jak opowiadałeś nam swoją historię, kiedyśmy wieszczę z khanem? Przechwalałeś się wtedy swoim sprytem i zuchwałością. Gdyż jesteś zuchwały, sprytny. I głupi, Conanie. Nie trzeba było być magiem, by wiedzieć, że przyjdiesz tutaj, że zakradniesz się nocą jak

złodziej — bo jesteś chciwym głupim złodziejem — żeby ukraść mi Isparanę i... i zabrać na pamiątkę jedną albo dwie głowy. Czyje, Conanie?... Och, Conanie!

Jesteś tylko barbarzyńcą, masz tyle rozumu co wieprz albo pies. Ja jestem czymś więcej, a ty byłeś dość głupi, by tego nie pojąć. Jeden z nas mógł wygrać, i dawno było wiadomo, że to nie będziesz ty. Ty wrócisz do cuchnącego błota, do rynsztoka, w który wyrzuciło cię łono barbarzyńskiej suki. Zwycięzę ja. W ciągu roku, a może wcześniej, zostanę władcą Zambouli.

A potem chwila — i będę władał Aghrapurem. Zafra, Cesarz Turanu! Czyż to nie pięknie brzmi? — Zafra przeszedł się po komnacie, nie spuszczać jednak ani na moment oczu z Conana. — Nieźle, jak na wciąż katowane, poszturchiwane wieśniacze dziecko, sprzedane za dzban piwa, dzień w dzień traktowane batogiem, morzone głodem, sypiające na zimnej posadzce, gdy nie dość szybko uczyło się swoich lekcji... Tak, mój mistrz też był głupi. W

swej pysze nie dostrzegł, że dziecko uczyło się szybko i tylko udawało tępotę. Tak, nauczyłem się szybko i dużo. A potem poderznięłem mu gardło.

Powietrze zaświstało jękliwie, gdy ciął mieczem, przypominając sobie krew, która chlusnęła z przeciętych tętnic. Zrobił krok w stronę Conana.

— Gapisz się na mnie oczami bydłęcia, widzę w nich strach, a strach jest matką nienawiści... Gapisz się, na to pozwalam. Lecz tylko spróbuj drgnąć, wieprzu, tym

przyspieszysz śmierć!

— No to przyspieszę — zachrypiał Conan przez spuchnięte gardło. I zrobił długi krok w bok. Pochwycił stojak mosiężnej lampy, stęknął, stojak gibnął się, olej skwiercząc popłynął

po podłodze, tam płonął jak wielka lampa. Zafra skamieniał. W zdumieniu wybałuszył oczy, Conan widział w nich strach, potem gniew. Nagle mag zaśmiał się głośnym, skrzekliwym śmiechem, unosząc brwi.

— Conanie! Opamiętaj się! Poznajesz ten miecz? Pamiętasz, jak jest mi posłuszny? Nie spocznie...

Conan zamachnął się stojakiem. Zafra warknął:

— Zabij go.

Conanem owładnął strach. Jedyne strach jaki znał: strach przed czarami. Zafra otworzył

dłoń, uwalniając miecz. Lecz miecz nie upadł na podłogę. Czubek ostrza uniósł się ku górze, ustawił się w powietrzu... i nagle runął jak pocisk w stronę Conana.

Conan rzucił się na podłogę, z włosami zjezonym na karku. Z całych sił rąbnął stojakiem w miecz, dopadający już prawie celu. Brąz zadźwięczał, walnąwszy o stal. Rozpędzony miecz, wybity z kierunku, pognął na oślep przed siebie. Siła, z jaką Conan uderzył, sprawiła, że rozciągnął się na posadzce jak dywan. Klęcząc zerwał się na nogi, usłyszał, że miecz wyrzwał w ścianę po przeciwnej

stronie komnaty. Conan rzucił się do Zafry — oczy maga zbieleły ze strachu, Conan był tuż. Lecz Conan, czując raczej niż widząc, że spojrzenie Zafry umknęło nagle w bok, runął w przeciwną stronę, przypadł do ziemi, wykręcił się i z całej siły zamachnął się stojakiem. Brąz znowu szczęknął o stal.

Zafrą aż skulił się, widząc jak miecz znów nie dosięgnął celu, jak znów wybity uderzeniem ze swojej drogi pomknął przed siebie i wbił się w krzesło, rozłamując je na pół.

I w tejże chwili Conan doznał olśnienia. „Nie spocznie, póki nie zabije”. Chłopak zerwał

się z posadzki, ściskając w garści stojak, swoją jedyną broń. Nim Zafra, sparaliżowany strachem, zdołał pojąć jego zamysł, Conan już długimi susami sadził do drzwi. Miał pół

komnaty do przebycia, kilka stopni wiodących na rodzaj galerii, dopiero tam, za khitajskim dywanem, były drzwi, wychodzące na pałacowy korytarz. Jakże to było daleko! Każdy ułamek sekundy zdawał się Conanowi minutą, a plecy pokryty mu krople zimnego potu i gęsia skórka. Niemal wątpił, czy dotrze do tych przeklętych drzwi, nim szalejąca klinga przedziabie mu plecy na dwa kawałki. Trzy stopnie, cztery, jeszcze jeden! Miecz leciał tuż za nim...

W ostatniej chwili, pod samymi drzwiami, Conan cisnął stojak w prawo, a sam rzucił się w lewo. Rozpędzone ostrze gruchnęło z hukiem, pakując się w gruby kaseton co najmniej na cal głęboko.

Conan nie spojrzał na Zafrę ani na miecz, gdy tylko usłyszał huk żelaza uderzającego w drzwi, uwiesił się dużej mosiężnej klamki, pociągnął, zamek ustąpił tak łatwo, że chłopak zachwiał się. Wyskoczył na korytarz. Zatrzasnął drzwi za sobą.

Oparty o nie plecami słyszał, jak po drugiej ich stronie miecz szarpie się i z łoskotem uwalnia się z uwięzi. Z całych sił trzymał klamkę i łowił uchem wszystko, co działo się w zamkniętej komnacie. „Miecz nie spocznie, póki nie zabije, tak? Zobaczymy...”, pomyślał.

Zaburczało mu nagle w brzuchu, kiszki zagrały tęgiego marsza. Uff, byle przeżyć, później znajdzie coś na ząb...

Podskoczył, słysząc dziki krzyk, dobiegający z komnaty. Krzyk urwał się nagle. Zafra zaskrzeczał nieludzkim głosem. Stęknął. Przez chwilę rzeził. I zamilkł.

— Tutaj!!! — głos z głębi korytarza zagrzemiał jak grom z jasnego nieba. Zwalisty Thorn leciał na Conana, rycząc o pomoc do zostawionych gdzieś w tyle kompanów.

Conanowi przemknęło przez myśl, że albo wróci do Zafry po miecz — albo goły rzuci się do ucieczki korytarzami królewskiego pałacu. Wybrał to pierwsze.

Wpadł do komnaty, zatraskując za sobą drzwi tuż przed nosem Thorny. Thorn,

rozpędzony nie gorzej niż przedtem miecz, też nie zdążył już wyhamować ani zmienić kierunku i z głośnym plaśnięciem rozpląszczył się na drzwiach. Conan pognał po stopniach w dół. W wielkiej kałuży ciemnej krwi rozlanej szeroko na przepięknej posadzce leżał mag.

Miecz jeszcze kołysał się nad nim, dokładnie jak stalowy nagrobny pomnik. Topaz świecił

niczym wspaniałe słońce. Conan nie tracił czasu, w biegu poderwał z krzesła płaszcz Zafry, szybko owinał się nim, i przydepnąwszy stopą pierś Zafry, wyrwał z niej miecz. Otarł ostrze jednym pociągnięciem o białą tunikę maga, dłoń mocno zamknął na rękojeści. Miecz zdawał

się zwykłym mieczem, tyle że wyjątkowej roboty, piękny i prosty w kształcie, doskonale wyważony. Nic nie świadczyło, by jeszcze władał nim jakiś czar.

— Cóż, Zafro. Nie posłużył tobie tak, jakżeś się po nim spodziewał, niechaj mnie przyda się na coś!
— wywinął mieczem młynka. — Wspaniały miecz! — mruknął. W tej chwili drzwi z łoskotem otworzono do środka. Stał w nich Thorn. Zdębiał, widząc w głębi komnaty zalanego krwią trupa Nadwornego Czarnoksiężnika Zambouli, a nad nim nagiego olbrzyma z mieczem w ręce i w płaszczu na ramionach... Olbrzym patrzył na Thorna.

Porażające oczy i wykrzywiona nienawiścią twarz były maską bestii niosącej śmierć.

ŚMIERĆ.

Olbrzym odziany w hełm i kolczugę ze skóry i stali szedł szybko długimi krokami korytarzem zamboulańskiego pałacu. U boku miał miecz Zafry, wsunięty w lekką, wykonaną z drewna i skóry, pochwę zwykłą u Thorna. Szedł i pożerał odgryzany wielkimi kęsami chleb

— bochen zwędził przed chwilą dziewczce kuchennej tak zgrabnie, że biedna niczego nie zauważyła. Chleb był pyszny, puszysty, przeznaczony dla delikatnych podniebień gnuśnych mieszkańców gnuśnego pałacu.

Połykał kawały chleba prawie się nimi dławiąc — sam nie wiedział, jak długo Zafra trzymał go bez jedzenia, a teraz potrzebował siły... Przełknął ostatni okruszek, rozglądając się bystro. Hej, czy to aby nie te właśnie drzwi?! Drzwi nie były strzeżone. Zdjął ciężką antabę i uchylił je wolno. Żagiew zatknięta w uchwyt żelazny na ścianie oświetlała loch migotliwym płomieniem. W słabym poblasku na dole w głębi lochu błysnęły mu strzępy sukni Isparany, tej, którą miała na sobie w gospodzie... Dwoma susami przebył podest. Na pierwszym stopniu schodów prowadzących w dół zatrzymało go jakby sapnięcie. Gdzieś z boku. Stał jak wryty.

Dwóch Thornów stało na podeście, widać zastał ich gapiących się na Isparanę.

Wybałuszyli na niego oczy. A on nie namyślał się — z mieczem w jednej, sztyletem w drugiej ręce szarżował na nich jak wściekły tur. Zdumienie odjęło im mowę, Thorn, taki sam Khan-Khilayim jak oni, chciał z nimi walczyć?!

Nim zrozumieli — młodszy stracił połowę prawego ramienia, kiedy miecz Zafry opadł jak cep, drugi padł ze sztyletem w brzuchu. Conan wyszarpnął sztylet, nie chcąc pozbywać się broni, krew strugą chlusnęła na podest.

— Jesteś dobrym psem złego pana, i to mi sprawia największy ból. — Conan zamarkował

cios mieczem, kopnął strażnika w krocze, ten stęknął, zgiał się wpół, stracił oparcie dla nóg i zwałił się z krawędzi podestu. Conan wyjrzał za nim. Thorn leżał na dnie jamy, nie ruszał się.

Conan czuł się podle, tyle trupów, a co oni w końcu winni, że służąc Akterowi weszli w drogę barbarzyńcy? Westchnął, i popędził schodami w dół.

Na legowisku za związaną Isparaną drzemał oprawca.

Twardy miał sen, widać dobrze napił się piwa po spełnionej robocie. Wielki, krzepki, dorównywał prawie Conanowi posturą, a pewnie i siłą. Przy pasie miał sztylet i miecz.

Conanowi pociemniało w oczach. Oto miał przed sobą swojego kata i kata Isparany, to nic, że rozkazy wydawał Zafra — ta bestia ucinająca sobie zasłużoną drzemkę była winna wszystkich cierpień nie mniej niż Zafra!

Conan, widząc, że tamten otwiera powieki, działał jak błyskawica: przerzucił miecz do lewej ręki, a sztylet do prawej, niby sztukmistrz chcący zadziwić gawiedź, i cisnął sztylet w twarz siadającego Baltaja. Liczył na to, że kat, idąc w ślady swojego khana, chętnie obżerał

się i opijał i miał całkiem pokaźny brzuch, nie dość szybko uchylił się przed takim ciosem. I nie przeliczył się. Rękojeść sztyletu wyrznęła Baltaja prościutko w usta, głośno, twardo.

Posypały się wybite zęby, spłynęły z krwią. Baltaj szeroko otworzył usta, pochylił się, oniemiały z bólu i szoku gapił się na to, co ściekało na brudną słomę pośłania...

Conan nie czekał. Natarł na oprawcę i miecz Zafry rozplątał Baltajowi brzuch. Conan ciągnął miecz dalej, tnąc mostek po samo gardło. Szybkim ruchem wznosił miecz, z góry ciał

ostrzem wielki łeb Baltaja. Rozwalił ten łeb na pół.

— Uaaa. Paskudnie! — skrzywił się z wielkim niesmakiem. — Przyjemniej by było

pobawić się z tobą dłużej za pomocą twoich wypróbowanych wcześniej na mnie narzędzi, ty tłusta świni.

— Przestań! Odkąd to gadasz z trupami? — głos Isparany przywrócił Conanowi

świadomość. — I rozwiąż mnie wreszcie! Zbyt długo czekałam na ciebie, ty barbarzyński kundlu, obdarzony kurzym rozumem, złodzieju wielbłądów, ty Cymrańczyku zatracony! —

Cymmerianinie, cholera, słyszysz? Cymmerianinie.

Conan rozcinał więzy w milczeniu. Podziwiał odwagę tej kobiety, wyrządzono jej tyle krzywd, zadano straszny ból, ciało jej było sponiewierane, strzęp sukni wisiał na jednym ramieniu — a ona klęła i była taka, jakby nic się nie stało, jakby wciąż byli na pustyni. I czekała na niego!

— Wyglądasz jak kawał cuchnącej szmaty, znalezionej w Zaułku Skwatrów, gdzie służyła za całun

żebraka zmarłego na trąd, ukochana moja, ‘Sparano prześliczna. Ale klnę się na Croma, nawet brudna, poznaczona pręgami i ranami, krwią, nawet z tą blizną na biodrze, piękniejsza jesteś niż tysiąc dworskich dam.

Ledwie mogła siedzieć. Oparta o jego ramię rozcierała porznięte szorstkim ostrym sznurem nadgarstki.

— Ta tłusta świnia przy moim legowisku miała jadło i wino, obżerała się na moich oczach, a ja... Och, Conanie, jakże ty słodko przemawiasz do biednej niewinnej dziewczycy, którą zostawiłeś, wychodząc „na chwilę”, na pastwę takich świń i psów Akter Khana... Och, nie, nie chcę ci tego zrobić... ale... Conanie, ja chyba... zemdleję...

— Nie masz na to czasu, ‘Sparana! — przygiął jej głowę do kolan, sięgnął po dzban, reszta wina zabułgotała wesoło. Dał jej się napić, sam osuszył dzban do dna. — To tylko krew odpłynęła ci z głowy, widać długo musiałaś stać uwiązana do tego pala. Zaraz poczujesz się lepiej. No, hop. Wstań.

— Ouuu — jęknęła, gdy wstawszy oparła się o niego. Odepchnęła go mocno.

Zaśmiał się.

— Rozumiem, że czujesz dla mnie wdzięczność, no i dozgonną miłość, ale przytulać się do wojownika odzianego w kolczugę? Ech, ‘Sparana...

Rzuciła mu wściekłe spojrzenie spod zmarszczonych brwi.

— Naprawdę jesteś małoduszną barbarzyńską świnia!

— Możliwe. Lecz dobrze by było, gdybyś zapamiętała, że chwilę wcześniej zabiłem Zafre, trzech Thornów i to tutaj bydlę, żeby móc zabrać cię stąd.

— Conanie... — szepnęła, ujmując jego dłoń, ścisnęła lekko w swojej małej silnej dłoni.

— Wybaczysz mi? Ale już nie drwij ze mnie więcej, dobrze? Wiesz, że jestem ci wdzięczna, wiesz, że cię kocham, a w twoim głosie ciągle słyszę... ty masz mnie za coś... coś... — nie znalazła właściwych słów, i dała spokój swym żalom, nagle podniosła na niego rozjaśnione radosną nadzieją oczy. — Zabiłeś go, zabiłeś Zafre?

— Aha — roześmiał się. — Jego własnym zaczarowanym mieczem! Ale o tym, moja śliczna, opowiem ci później. Czy czujesz się już dość silna, by znowu stać się kobietą-wojownikiem?

— NAGA? Conanie!

— Tam w kącie, za legowiskiem tej świni, leżą czyjeś kobiece szatki. Nawet jakiś śliczny strój dworski. Biały, ze złotem...

— Nie! — wzdrygnęła się. — Należały do nieszczęśnic zamęczonych tu... A poza tym, czy sądzisz, że włożyłabym coś, czego dotykała ta świnia, co się roi od jego wszy i pcheł?!

On nie tylko mnie zgwałcił, to jeszcze nic, później było o wiele gorzej!

Conan pokiwał głową. Isparana nie była dworską laleczką ani dziewicą, które zabić mógł sam gwałt. Była dość mądra i doświadczona, by nie powiększać bólu. Lecz do czego był zdolny Baltaj później — doświadczył przecież sam.

— Jesteś dzielnym wojownikiem, Isparano — rzekł.

— Isparano? Nagle zrobiłeś się bardzo oficjalny...

— Podziwiam cię.

Rozejrzał się wokół, wciąż szukając dla niej jakiegoś odzienia. Jego wzrok padł na martwego Thorna, kolczuga tego niższego strażnika, młodszego i szczuplejszego, powinna być w sam raz na Isparanę. Zdarł z trupa ubranie.

— Włóż to.

— Doskonale — już ubierała się. — Udrzyj kawałek jego tuniki, muszę zawiązać na szyi, bo brzег mnie obciera.

Sięgnął do ciała, już dotykał tuniki, gdy kątem oka postrzegł na górze jakiś ruch. Podniósł głowę, by lepiej widzieć. W drzwiach stał jeden z ulubionych Thornów Aktera — Farouz.

Strażnik wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Dobrześ się spisał! Jakoś zawsze czułem odrazę do tego bydlaka. Miło mi, żeś go wysłał z tego świata do piekła.

Conan oplótlł palcami rękojeść miecza, by Farouz nie widział, że ręce mu drżą. Oczy przesłaniała mu mgła nienawiści, gapił się na Farouza jak sroka w kość. Thorn stojąc w drzwiach był nieosiągalny. Conan nie znajdował sposobu, by ściągnąć go na dół, ni by go trafić, nim umknie na drugą stronę drzwi.

— I podwójnie dobrześ się spisał, wszedłeś tu niby mysz po kawałek sera, wprost do pułapki. Teraz zamknę te drzwi, a mój pan zdecyduje, co z tobą zrobić.

Conan wyciągnął miecz przed siebie, celując czubkiem niby palcem w brzuch Farouza.

— Niech cię Yogg, Farouzie. Musiałeś przyjść tu właśnie teraz?! A... czy nie miałbyś ochoty zmienić pana?

— A... nie miałbym. Dobrze mi tu, w pałacu. No — dodał — poczekajcie tu sobie. Za niedługo zobaczę was znów.

Uśmiezek wykrzywił kąciki ust Conana. Wargi mu drgały jak wilkowi, obnażając kły, gdy szeptał:

— Zabij go.

Otworzył dłoń.

Miecz Zafry upadł na podłogę, zabrzączał głucho.

Farouz zatoczył się ze śmiechu.

— Nie jest posłuszny barbarzyńcy?! Tak, barbarzyńco, dla ciebie chlew i batog, dla lepszych oręż, zapamiętaj sobie tę lekcję.

— Cholera! — Conan zaklął, a widząc pytanie w oczach Isparany, wyjaśnił szybko: —

Ten miecz potrafił fruwać i sam zabijać, ale chyba tylko dla Zafry, teraz to zwykła stal.

Schylił się, by podnieść tę stal. W uszach dźwięczał mu śmiech Farouza, a oczy przesłaniała mgła.

W tej chwili smukła smągła ręka sięgnęła w cień i palce zamknęły się na rękojeści sztyletu Baltaja.

Conan cisnął miecz Zafry, wiedząc, że nie da rady trafić wycofującego się Thorna. I nie trafił, miecz uderzył w ścianę w pobliżu Farouza. Farouz zaśmiał się obraźliwie i przystając na moment pomachał im ręką w drwiącym pożegnaniu.

Sztylet wyfrunął z dłoni Isparany, mknął w górę niczym zaczarowany przez Zafrę miecz, dopadł Farouza, wśliznął się pod krótką tunikę i utkwiał po rękojeść w jego pachwinie.

Krzycząc, tocząc pianę z ust i wymiotując Farouz zataczał się chwilę, zawył, i upadł do tyłu. Z przeciętej tętnicy buchały strumienie krwi.

Conan odwrócił się do Isparany. Weszła w krąg światła, nawet w tym strasznym lochu i w męskim przebraniu wyglądała niemal wesoło i bardzo kobieco.

— Nie miałem pojęcia, że rzucasz tak celnie! Mogło ci się na wydmach udać raz, ale dziś... Jesteś wspaniała!

— Na szczęście dla ciebie. Już drugi raz. — Uśmiechnęła się, sięgnęła po wielką kość, pozostałą po uczcie Baltaja, i zatopiła ostre zęby w kawałku mięsa. — Widzisz, kilka razy miałam ochotę popatrzeć, jak mój sztylet zagłębia się w twoje ciało... Ale wtedy nie miałam okazji albo sztyletu. Różnie bywało.

Conan przymknął powieki. Bogowie! Ona chciała go pozbawić życia i byłaby to zrobiła, gdyby miała okazję... A teraz, gdy zamordowała człowieka i gdy mówiła o swoich planach co do Conana —

spokojnie, z zapałem obgryzała kość, oblizując się z wielkim smakiem.

Bogowie!

— Zabijasz z zimną krwią. Jak Cymmerianie. Dzięki, ‘Sparana, że jeszcze żyję.

— Uhm.

— Ten sztylet był bardzo ciężki.

— No, nie jestem taka słaba. Wiesz, ale mógłbyś mi trochę pomóc, kiedy chcę się wreszcie do końca przyodziać.

— Już.

— Jak to było z tym mieczem Zafry? Tu chciałeś zrobić to samo, co on? Powiedziałeś

„Zabij go”? I miecz nie usłuchał?

Conan westchnął. Skrzywił się. Zanim skończyła się ubierać, opowiedział jej pokrótce, jak zabił Zafre, jak przedtem miecz na niego polował.

— Jadowy ząb Yogga! Co za potworny rodzaj magii.

Conan pokiwał głową. Weszli na podest, tam dobrali potrzebne jeszcze części ubiorów, zdejmując je z ciał Farouza i starszego Thorny.

— Dobrze, że teraz do nas należy ten miecz.

— Na nic nam on. — Conan ze złością wzruszył ramionami. — Ani nie słucha moich rozkazów, ani nie dało się nim rzucić tak dobrze, jak tobie to wyszło ze sztyletem. Gdyby nie ty, czekalibyśmy teraz w lochu na hordę zbrojnych ludzi khana.

— Starczyłby jeden z dobrą kuszą.

Conan ponuro kiwnął głową. Wzięli sobie broń zabitych Thornów, zrzucili ciała Farouza i drugiego Thorny do jamy lochu. W drzwiach Isparana chwyciła Conana za ramię.

— Zaczekaj. Nie wierzę, że uda nam się wydostać z pałacu. Chcę ci powiedzieć, że...

— Ktoś nam pomoże. Damy sobie radę. Chodź szybciej.

— Kto nam pomoże?! O czym ty mówisz?! Conanie...

Nie czekał na nią, wyskoczył za drzwi. Wściekła pobiegła za nim.

— Cholera! Co miałeś na myśli?

— Posłuchaj, nikt przy zdrowych zmysłach nie weźmie nas za Thornów Aktera, i małe mamy szansę ująć z życiem. Ale jest ktoś, kto umożliwi nam wyjście stąd. A o tej porze znajdziemy go, jak przypuszczam... w sali tronowej.

Aż przystanąła, sapnęła z wrażenia. Ale zaraz popędziła za Conanem.

— Zamierzasz porwać Akte... Conanie, możesz to zrobić! Jeżeli w ogóle komuś mogłoby się udać takie szaleństwo, to tylko nam, och, Conanie!

Twarcz jej jaśniała radością i nadzieją. Ale Conan burknął:

— Nazywaj mnie Fouzal, albo jakoś. Czy cały pałac musi słyszeć, że Conan leci do khana?

— Wybacz, Fuzz — rzekła z promiennym uśmiechem i rażno maszerowała, starając się dotrzymać kroku Conanowi, co wcale nie było takie łatwe.

Kolejno napotykanii służący na widok olbrzyma i kobiety, brudnych, obdartych, ale odzianych w zbroje straży khana, znikali w bocznych drzwiach jak duchy, zwykłym na dworze obyczajem schodząc z drogi Thornom. Conan i Isparana, widząc to, rozzuchwalili się, wędrowali ku sali tronowej tak śmiało, jakby cały pałac należał do nich.

Lecz za którymś zakrętem stali akurat dwaj prawdziwi strażnicy. Tych nie zmyliły zbroje ni śmiałe zachowanie obcych — i miecz Conana znowu spłynął krwią. W chwilę później Conan i Isparana przestąpili przez ciała martwych Thornów i ruszyli dalej. Niedaleko już było do wielkiej komnaty khana, wkrótce ujrzeli zapamiętane potężne drzwi.

— Miło ze strony Aktera, że nie kazał Thornom strzec tego wejścia. — Conan z uśmiechem spojrzał na Isparanę. — Gotowa?

— Gotowa. Mamy go.

Jak na komendę równocześnie szarpnęli za klamki i otworzyli oba skrzydła drzwi. Wpadli do sali.

Khan siedział na tronie w strojnej szkarłatnej szacie. Blisko. Bliziotko.

Ale dostępu do tronu strzegło jedenastu najlepszych Thornów, a ich dowódca, widząc nowych gości, rzekł krótko:

— Brać ich.

MIECZ NA ŚCIANIE

— Stać!

Rozkaz Akter Khana zatrzymał w pół ruchu Thornów, którzy posłusznie znieruchomieli z dłońmi na rękojeściach swych mieczy. Akter wychylił się z głębin rzeźbionego tronu, twarz poczerwieniała mu z podniecenia.

— Conanie, Isparano, przesuńcie się w bok, żeby straż mogła opuścić salę. Kapitanie —

zwrócił się do dowódcy oddziału — zabierz swych ludzi na korytarz i tam czekajcie dalszych rozkazów.

— Khanie! Wrogowie, do tego z bronią!

Conan wpatrywał się czujnie w satrapę i w oficera. Kapitan był gotów chronić khana, choć najwidoczniej uznał, że Akter zwariował. Akter jakby troszeczkę oprzytomniał, zwrócił się do Conana:

— Oddaj im swoją broń, Conanie. Włos ci tu z głowy nie spadnie. Chcę tylko

porozmawiać z wami bez świadków. Musisz jednak oddać broń Khan–Khilayim, gdyż inaczej ten przestraszony kapitan nigdy nie zostawi nas samych. Powtarzam: chcę z wami porozmawiać.

Conan stał z nieruchomą twarzą. W jego oczach lśniły odpryski czystego nieba.

— O czym? — zapytał.

— O dziwnych pomysłach bandy wojowników Shanki, którą właśnie zajęło się moje

wojsko. Jeśli dobrze pamiętam, to ty przybyłeś do Zambouli w towarzystwie syna Akhimen Khana. O tym chciałbym pomówić z tobą i Isparaną.

— Nie ufaj mu — syknęła Isparaną, przysuwając się do Conana.

— Wierzę ci — oznajmił Conan Akterowi, głuchy na słowa Isparany.

— Khanie... — kapitan Thornów prawie modlił się.

— Dość! — ryknął Akter. — I pamiętaj, że to ja mianowałem cię kapitanem po spędzeniu nocy z twoją siostrą, i ja mogę wydać na ciebie wyrok, jeśli mi się będziesz sprzeciwiał, głupcze! Zabieraj się ze swoimi ludźmi za drzwi i czuwaj tam, skoro połowa moich straży ugania się z wojskiem za przeklętymi Shanki! Już!!! — i dodał z dziwnym uśmiechem: Ja nie obawiam się Conana, choć on sądzi, że ma powody, by mnie obrażać swoim

zachowaniem...

Conan i Akter mierzyli się wzrokiem, nie zwracając najmniejszej uwagi na ciche błagania kapitana i Isparany, którzy jeszcze próbowali przemówić im do rozsądku. Satrapa Cesarstwa, mający wszystko, i chłopak z gór, nie mający nic, patrzyli na siebie jak dwaj wojownicy przed bitwą.

— Oddaj broń, Conanie — khan przerwał milczenie.

— Conanie... — jęknęła Isparana, czując, że przegrała, wyraz twarzy Conana znała już dobrze, ten wyraz.

Conan nie słuchał. Odebrał jej miecz i oba złożył na podłodze. Jej i swój.

— ‘Sparana — mruknął, myśląc o jej sztyletach, na ten rozkaz powinna dołączyć je do mieczy. Isparana nie drgnęła.

— Conanie...

Oderwał wzrok od twarzy Aktera. Spojrzał na nią dwoma płonącymi wściekłością

kawałkami lodu, jego oczy były teraz błękitnobiałe jak najprawdziwszy lód z gór. I choć Isparana nigdy w swoim życiu nie widziała gór, śniegów i lodów, to spojrzenie zdawało się mrozić w jej żyłach krew. Oczy Isparany napełniły się łzami, Conan ujrzał w nich błaganie o litość. Nie znał litości.

— Ja, Conan z Cymmerii, jestem bez broni. Skoro ta Zamboulanka odmawia

spełnienia rozkazu, każ jej wyjść z Thornami, khanie.

Czarne oczy Isparany rozbłyły jak najczarniejsza nienawiść, cała była nienawiścią.

— Ty barbarzyński psie... — syknęła. Ale wiedziała, że jeśli nie odda sztyletów, Conan osobiście wyniesie ją za drzwi. Dygocząc ze złości położyła sztylety na ziemi. Conan łaskawie skinął głową, jakby dziękując jej za ten akt posłuszeństwa. Stał spięty, gotów szybciej niż błyskawica złapać jeszcze na powrót broń z posadzki, gdyby khan nagle zmienił zdanie i wydał Thornom inny rozkaz. Wszak teraz oni oboje zdawali się łatwym łupem, jedenastu Thornów szybko poradziłoby sobie z bezbronnym Conanem i zwykłą, choć tak dzielną, kobietą.

Kapitan patrzył na khana z nową nadzieją. Ale Akter wskazał mu drzwi...

— Wyjść.

Gdy dziesięciu strażników zaciskając szczęki mijalo Conana, khan mruknął:

— Ty, kapitanie, wyjdiesz ostatni. Weź całą tę broń.

Conan czekał. Stał nieruchomo, kiedy kapitan zbliżył się do niego. Oczy Cymmerianina i Shemity

spotkały się.

— Zechciej ustąpić z drogi kapitanowi, Conanie. — rzekł khan.

— Nie — warknął Conan. Patrzył na kapitana. — Najpierw zabierz jej broń, kapitanie.

Myśl Conana pracowała niezwykle szybko, z tą jasnością, której zawsze doświadczał w bitwie czy w bójce. Gdyby kapitan sięgnął po miecz i choć pomyślał o zaatakowaniu go, Conan zdążyłby, stojącego blisko, wyrznąć kolanem, przydusić ręką, i rzucić na ziemię jak dywan, łamiąc kapitanowi kark.

— Odsuń się, do cholery! — Conan ryknął na Isparanę.

Isparana cofnęła się, ustępując kapitanowi z drogi, nie kryła przy tym wściekłości. Kapitan postąpił krok, postawił nogę na sztyletach, a potem jeden po drugim silnym kopniakiem wysłał je na korytarz przez szeroko otwarte drzwi.

— Teraz miecze.

Kapitan z mieczami postąpił tak samo. Isparana drżała, Conan czuł też napięcie kapitana.

Ale on sam już był spokojny. Kapitan trzymał dłoń na rękojeści swego miecza, uznając to za jedyne rozsądne zachowanie wobec bliskości barbarzyńcy. Conan jednak był dobrze przygotowany i gdyby tylko kapitan popełnił błąd nadgorliwości — nie zdążyłby nawet dobyć miecza, gdyż Conan ciosami w pachwinę i w twarz rozciągnąłby go na ziemi.

— Kapitanie. Wyjdź — zagrzmiął cichy głos khana, odbity echem od sklepienia sali.

Conan natychmiast przysunął się bliżej khana. Kapitan, pełen najgorszych przeczuć, opuścił salę. W progu dobiegł go jeszcze rozkaz:

— I zamknij za sobą drzwi.

Tego kapitan już nie mógł znieść.

— Panie!!!

Akter aż uniósł się z siedzenia.

— ZAMKNIJ DRZWI!!!

A że dla dodania wyrazu słowom wyrznął pięścią w poręcz i teraz skrzywił się z bólu rozcierając dłoń, wyglądał jakby naprawdę stracił zmysły. Kapitan wypadł za drzwi jak wystrzelony z procy. Zatrząskując je pomyślał: „Dobrze, jeśli Spasiony Wół chce śmierci —

na zdrowie, niech Conan rozwali mu łeb!”

Drzwi zatrzaśnięto.

Conan i Isparana zostali w sali z khanem Zambouli.

Conan doskonale pamiętał — ani na chwilę nie zapomniał, odkąd tu wszedł — o mieczu wiszącym na ścianie. Jednak pilnował się, by ani razu nie spojrzeć w jego stronę, by wzrokiem, a nawet myślą, nie zdradzić swojego planu. Najważniejsza ze wszystkiego i tak była wiadomość, którą nie bacząc na słowa przekazał mu khan przypadkiem: tam, za murami, byli Shanki. Był Balad. Zaczęło się.

— Ispa. Zabarykaduj drzwi.

Khan odchylił się do tyłu, usiadłszy wygodnie na poduszkach tronu, z uśmiechem przyglądał się, jak Isparana podbiegłszy do drzwi blokuje je antabą, mocując się chwilę z ciężarem uwieszonym na jednym końcu jako przeciwwaga. Conan uśmiechnął się, nie mógł

powstrzymać tego uśmiechu, gdy pomyślał o minie kapitana, słyszącego, jak antaba odcina go w tej chwili ostatecznie od khana, uniemożliwiając nagłe wtargnięcie do sali. Taaak, uczciwy i dzielny kapitan ma teraz naprawdę kłopot! Dlaczego jednak uśmiechał się Akter? Dlaczego był tak spokojny?

— Więc, Conanie? Widziałem topaz. Poznałeś już z bliska miecz Zafry.

— Poznałem. Nie uczynił mi jednak krzywdy, choć fruwał za mną jak ptak. Jak wściekły ptak.

Khan zbladł.

— Co m... mówisz...?

— Mówię, że Zafra wysłał ten swój miecz na mnie, a ja jakoś żyję, i jak sam widziałeś, twój kapitan kopniakiem wyrzucił to żelastwo na korytarz.

— I Zafra?...

— Cóż.

— Opowiedz.

— To nie było takie trudne. Miałem w ręku właśnie stojak od lampy, więc gdy Zafra wysłał na mnie tego żelaznego zabójcę, opędziłem się jak od muchy i wyszedłem na korytarz.

Podczas gdy ja z zewnątrz trzymałem drzwi, miecz w komnacie zrobił to, co miał zrobić: zabił.

Khan zacisnęła powieki do bólu. Świat zdawał walić mu się na głowę. Więc Zafra, jego bezcenny mag, mag, którego on w nagrodę uczynił Nadwornym Czarnoksiężnikiem

Zambouli, protegowany, ulubieniec, który mógł swemu panu podarować bajeczną przyszłość

— nie żył? Tak po prostu opuścił swego khana? I nie dał sobie rady z tym barbarzyńskim psem...?

Akter otworzył oczy, paroma mrugnięciami usunął wilgotną mgłę, przeszkadzającą mu widzieć wyraźnie.

— Zafra nie obronił się przed własnym czarem?

— Z tego widać, że nie.

Khan westchnął.

— Ha. Będzie mi go brakować. Wprawdzie nie sposób było mu zaufać, ale ceniłem go. I nawet lubiłem. Ha. Ale Isparany, której też nie można zaufać, nie będzie mi brakować, na pewno nie.

— Najpierw musiałbyś dosięgnąć mnie, idąc po nią, Akterze.

— Może tak, może nie. Ale zechciej pamiętać, że dla ciebie nie jestem Akterem, jestem Khanem Zambouli, Akter Khanem. A ty związałeś się z moim wrogiem, z Baladem, i z tymi cuchnącymi Shanki. Zrozumiałeś?

— Tak, Khanie Zambouli.

Conan opuścił głowę. „Jesteś jeszcze khanem. Za chwilę możesz przestać nim być”, pomyślał.

— Doskonale. Ja jestem Khanem Zambouli, a ty małym barbarzyńskim psem. Masz tylko muskuły i władasz mieczem. Brak ci rozumu, barbarzyńco.

— Zgoda, nie mam wiele rozumu i mało wiem. Niedawno jednak byłem oburzony, gdy ktoś żyjący w mieście i uważający mury wokół domów za szczyt ludzkiej mądrości, dający mu prawo do znieważania mnie, nazwał mnie barbarzyńcą i od razu chwycił za miecz.

Dziś jestem z tego wyzwiska dumny, Khanie Zambouli.

— Czyżby? Niby dlaczego?

— Dlatego, Khanie, że ja tylko zabijam, ale ty jesteś mordercą. Ja zabijam w walce, ty mordujesz dziewice, kobiety i dzieci. Odróżniać wojownika od mordercy, oto czego się nauczyłem w Zambouli. Uczę się szybko, Akterze.

— Uczysz się... Ale nie dosyć szybko, Conanie. Mówisz, że by dostać Isparanę, która stoi za tobą, musiałbym wpięć cię dostać? Dla mnie może to i problem, dla miecza nie. I jeśli powiem „Zabij go”, dosięgnie Isparanę, gdyż nie rozróżnia płci, a ona jest słabsza, jest kobietą, i nie obroni się, tak jak udało się tobie.

— Co z tego? Miecz jest za tymi drzwiami, i o ile zdążyłem poznać moc czarów Zafry, to nie przeniknie przez zamknięte drzwi. — Conan nie tracił pewności siebie, nawet nie wspomniał o swoim domyśle, że miecz słuchał tylko Zafry, nie sądził zresztą, by Zafra był na tyle głupi, aby władzę nad takim mieczem podzielić się z khanem, by miecz słuchał także rozkazów Aktera. Jednak drażnił go spokój Aktera, ten uśmiech błakający się wokół ust. Co ten bydlak knuje? Co takiego wie,

o czym nie wie? Może tu gdzieś jest ukryte wejście, i za chwilę wpadną do sali żołnierze?

Ale przecież khan wyrzucił stąd kapitana, i nie dał mu żadnego znaku, a sam kapitan nie miał powodu, by tak naprawdę uwierzyć, że Conan i Isparana mogliby wydostać się z tej sali jakimkolwiek sposobem. Cholera.

Conan postąpił krok w stronę tronu.

Mieli rozmawiać o ataku Shanki, a dotąd nie padło na ten temat słowo, khan sobie siedział, patrzył na niego, uśmiechał się, groził — i nic się nie działo! Najwidoczniej też khan, mimo iż wspomniał o związkach Conana z Shanki i z Baladem, nie powiązał ataku Shanki z możliwością ataku ze strony Balada, nie wyciągnął prostych, narzucających się tutaj wniosków.

Więc powód, dla którego uparł się zostać w tej sali sam z Conanem i z Isparana, musiał

być całkiem inny. Ha! Ale jaki? Conan z żalem pomyślał, że ten przeklęty grubas nie mylił

się, twierdząc, że Conan jest młody, głupi i zbyt wolno się uczy. Wprawdzie sam sobie wydawał się bardzo sprytny, i cały plan pozbawienia tego pijaka i zbrodniarza władzy wydawał się Conanowi wspaniały, ale... Teraz odkrył, że prawdziwa siła to szybkość i miecz.

Nie rozum. Zaklął w duszy.

Przyglądał się Akterowi, rozpaczliwie szukając jakiegoś sposobu. Tłusty, brzuchaty khan z całą pewnością nie myślał o żadnej walce, nawet najslabszemu żołnierzowi nie dałby rady, mowy nie mogło być o rzuceniu sztyletem w Conana czy o czymś podobnym. A jednak siedział wygodnie rozparty i patrzył na Conana jak kot na schwytanego wróbla. Cholera, zaklął znów Conan i powoli przesunął się jeszcze krok bliżej tronu.

— Ach, Conanie, Conanie... Głowisz się teraz, barbarzyńco, jakimże sposobem mogę, siedząc tu z tobą sam, bez straży, bez miecza przy boku, mieć przewagę nad wami, gdy wy jesteście we dwójkę i możecie nawet rzucić się na mnie i próbować mnie zabić?

— Conanie!!! — wrzasnęła Isparana.

Miecz zawieszony na ścianie! Isparana pierwsza odgadła tajemnicę khana. Conan

wpatrywał się w miecz. Poczul, że jest już martwy, martwy!

Może... Może jednak spróbować uratować choć Isparanę. Jeśli Isparana otworzy drzwi i strażnicy pod wodzą kapitana rzucą się w nie, biegnąc do tronu, to miecz może nie trafić w nią, prędzej w któregoś z żołnierzy, chyba nie odróżni, czy ma zabić Thorna czy Isparanę, jest ślepym narzędziem mordy, niczym więcej, reaguje na „zabij go”...

— ‘Sparana, otwórz drzwi!!!

— Zabij go!!! — równocześnie ryknął khan.

Zimny pot oblał strumieniem Cymmerianina i spłynął z jego boków i z czoła. Wpił wzrok w ten potworny testament maga, Zafra miał okazję do zemsty z za grobu... Każdy nerw Conana wibrował, mięśnie drżały jak w febrze. Stał wpatrując się w miecz, stał jak przymurowany do posadzki, niezdolny uczynić cokolwiek.

A miecz wisiał sobie spokojnie na ścianie, jakby był jednym z tysięcy tych mieczy, które wieszano na pamiątkę lub dla ozdoby...

— Zabij go! — powtórzył Akter, a w jego głosie zabrzmiał ton niemal prośby.

Isparana oparła się o drzwi, z ręką na antabie. Było jej słabo, czuła się jakby miała zaraz zemdleć.

Miecz ani drgnął.

Ręce Aktera zacisnęły się na poręczach tronu. Powoli obrócił się tak, by widzieć miecz.

— Zabij go! Zabij go...!!!

— Puść już tę belkę, ‘Sparana — Conan nieledwie uśmiechał się, po dawnemu zwycięski.

Antaba z łoskotem wsunęła się na miejsce, blokując na powrót drzwi. Khan nie mógł

oderwać wzroku od miecza, który go zawiódł.

— Akterze, miecz Zafry posłuszny był jemu, ale już nie mnie. — Pot zalewał Conanowi oczy, musiał potrząsnąć głową, by strzepnąć krople, przetarł czoło wierzchem ręki. — Albo czary przestały działać, gdy Zafra skonał, albo, co bardziej prawdopodobne...

— Ten zdrażliwy pies!!! Zwiódł mnie, oszukał!!! Podstępny łotr!!! — khan prawie tupął nogami w bezsilnej wściekłości.

W sali zadźwięczał wesoło kobiecy śmiech.

— Khanie, czyżbyś i ty uczył się zbyt wolno?! Dlaczego nie pomyślałeś, że Conan i ja, nagrodzeni dobrze, nawet przez chwilę nie pragnęlibyśmy władzy, twojego nieszczęścia?

Zamiast Zafrze, mogłeś zaufać nam!

Akter prawie nie słuchał Isparany, przeżuwał te chwile z przeszłości, które mogły potwierdzić oszustwo Zafry. Tak! Kiedy rozkazywał mieczowi zabić tę akwilońską dziewczkę, Mitralię, Zafra stał za nim, i przecież Akter słyszał jego szept, ale pomyślał wtedy, że to tylko nerwy, że mag, ot, mimowiednie powtórzył jego słowa. Lecz to nie było mimowiednie! To Zafra wyrzekł „Zabij go!” i miecz usłuchał jego, a nie khana! Tak samo musiało być za pierwszym razem, gdy miecz zabijał tę małą Shanki! O, podły, podstępny Zafra! Oby trafił do piekła i smażył się tam po wieczny czas!

Nagle zmartwiało. Przypomniał sobie, że oto jest sam w komnacie z tym barbarzyńskim psem i jego

kobietą, i że oboje naprawdę mają powody, by...

— Nie wołaj swoich ludzi, Akterze, bo uduszę cię, zanim zdążą wyłamać te drzwi — cicho powiedział Conan, zbliżając się do tronu.

W tej chwili po drugiej stronie drzwi rozległy się krzyki, szczęk oręża, przekleństwa i jęki...

TRON ZAMBOULI

Patrzyli na te drzwi, jakby chcąc przeniknąć wzrokiem drewniane grube kasetony.

Dochodzące z korytarza odgłosy walki szarpały im nerwy. Khan siedział jak na szpilkach, on jeden naprawdę nie miał pojęcia, co tam się może dziać, skąd nagle prawdziwa bitwa pod jego drzwiami, kto zaatakował, bo przecież nie nędzni Shanki... Conan i Isparana nie zwracali na niego uwagi, Isparana czuła, że Conan coś wie, lecz nie śmiała teraz go pytać. On wiedział, tak.

Słyszał, choć słabo, stłumione odległością, stłumione grubością drzwi znajome głosy, i swoją duszą wojownika, całą duszą, pragnął, by Balad ze swymi ludźmi szybko rozgromił

Thornów w korytarzu.

Odgłosy walki z wolna zaczęły cichnąć. Ustały zupełnie. Potem zapadła cisza.

Conan spojrział na Isparanę, ujrzał pytanie w jej szeroko otwartych oczach.

— Balad zwyciężył — powiedział z powagą. Głowica miecza załomotała od tamtej strony w drzwi.

— AKTERZE! Twoi strażnicy są martwi! Nie ma już Khan–Khilayim. Kapitan śmiertelnie ranny. Jhabiz poddał się i błagał na kolanach, bym mu pozwolił przyłączyć się do nas. Pałac jest mój! Słyszysz, Akterze? PAŁAC NALEŻY DO BALADA! Otwórz drzwi, Akterrr!!!

Akter siedział na tronie sparaliżowany strachem. Nie był w stanie poruszyć się ani odezwać.

Conan wolnym krokiem przeszedł obok niego, minął tron i z łatwością, choć bez

pośpiechu, zdjął miecz ze ściany. Umocował pochwę do swego pasa. Nagle jednak zatrzymał

się, zmarszczył brwi, wyciągnął miecz z pochwy. Trzymał przez chwilę nagie ostrze w rękach, przyglądając mu się w skupieniu. A potem cisnął miecz po posadzce ku drzwiom.

Jechał długim ślizgiem, brzęcząc o marmury, ten ostatni oręż Zafry — maga, którego zemsta mogła zza grobu dosięgnąć żyjących. Jaki los żywym przeznaczyli bogowie? Jaką miecz odegra tu rolę? Conan westchnął, gdy wysadzane kamieniami cacko zatrzymało się o krok od drzwi.

Jeszcze raz załomotano u wejścia rękojeścią miecza, bębniła uderzając w drewno. Akter wpatrywał się w ten jeden punkt, jak zaczarowany. Nagle szepnął:

— Otwórzcie drzwi.

Isparana potrząsnęła głową.

— Nie. — Odsunęła się od leżącego miecza, przeszła kilka kroków wzdłuż ściany.

Akter był bardzo blady. Oderwał wreszcie wzrok od drzwi. Spojrzał na Conana.

— Conanie?

— Nie, Akterze. Tylko ty możesz otworzyć im drzwi. Nie mam pojęcia, ilu niewinnych ludzi wymordowałeś dla samej przyjemności patrzenia jak umierają, ilu z chciwości, ze strachu. Ale zamordowanie małej Shanki było twoim wielkim błędem. Wydanie na tortury Isparany i mnie — drugim. Zaufanie, jakim obdarzyłeś Zafre, wiara w ten diabelski miecz to był ostatni błąd. Pora, by za błędy zapłacić. Masz okazję pomówić z tymi, których od lat miałeś za nic.

Conan mówił spokojnie, Akter wpatrywał się w niego. Oczy khana były puste, Conan nie widział w nich nienawiści ani żalu z powodu zła, jakie czynił przez lata swych rządów. Nie było w tych oczach nawet błagania o litość. Może tylko był strach, a może świadomość, że tego, co teraz się stanie, w żaden sposób nie można uniknąć. Ale Conan nie miał pewności, czy dobrze odczytał spojrzenie Aktera.

Akter wstał. Zstąpił po szerokich stopniach, wiodących od tronu przez podwyższenie do płyt posadzki. Zebrał w garść fałdy szaty i szedł przez salę ku drzwiom. Zatrzymał się.

Podniósł małą dźwignię uwalniając antabę. Belka, szczęknąwszy, podjechała do góry.

Odwrócił się od drzwi, długim spojrzeniem ogarnął Isparanę, Conana, leżący na posadzce miecz. Ruszył z powrotem do swego tronu.

Conan w milczeniu przyglądał się, jak khan wolno wspinał się po stopniach — zmęczony stary człowiek.

Akter osunął się na poduszki. Siedział prosty, ze złączonymi stopami, z rękami złożonymi na poręczach, jego dłonie ścisnęły lekko głowy lwów, zdobiące zakończenia poręczy, rzeźbione w czarnym drewnie lwy zdawały się podsuwać karki pod pieszczotliwe dotknięcie rąk swego pana.

„Hm, ja podniósłbym ten miecz i spotkał Balada w walce, jak przystało wojownikowi. I pewnie zginąłbym, ale z mieczem w garści”, pomyślał Conan, lecz zaraz dodał: „Tak, ale ja nie jestem khanem, satrapą Cesarstwa. W żyłach Aktera płynie królewska krew, i on potrafi na swój sposób godnie przyjąć to, co go musi spotkać”. Raz jeszcze potwierdziło się, że Akter, gdy nie zataczał się, spity morelowym winem, gdy nie mordował ludzi, miał zarówno królewski majestat, jak zwykły wdzięk przystojnego, miłego mężczyzny. Nie było widać po nim teraz strachu, trwał w milczącym oczekiwaniu, z podniesionym czołem, prosty, niemal wyniosły, pan z panów, Akter Khan. I choć Conan nie był tym zachwycony, bo wolałby czuć nienawiść, odrazę, nazwać Aktera szmatą, widzieć jego strach, słyszeć błagania o litość —

musiał przyznać, że ten człowiek zaimponował mu. Akter w tej chwili był godny szacunku, a że Conan był Conanem, nie mógł czuć czego innego, jak tylko ten właśnie szacunek.

— WEJŚĆ.

Khan wyrzekł swój ostatni rozkaz.

Skrzydła drzwi pchnięte przez zbrojnych odskoczyły na boki. Stłoczeni ludzie Balada zatrzymali się w progu. On sam stał pośrodku, pół kroku przed nimi. W pokrwawionej kolczudze, z włosami wilgotnymi, przylepionymi do skroni. Jego wzrok prześliznął się po sali i zatrzymał na khanie. Ktoś przeciskał się za nim przez tłum, nagle do sali ciśnięto martwe ciało. Plasnęło miękko, uderzając o marmur.

Chia Argosanka leżała na płytach posadzki prawie naga, w strzępach jedwabnej przejrzystej szatki, zalana krwią. Szeroko otwartymi martwymi oczami wpatrywała się w swego pana.

Balad uniósł rękę, w której trzymał łuk. Naciągnął cięciwę. Wypuścił strzałę. Pomknęła ze świstem.

Akter trafiony w serce zgiął się w pół, charcząc i plując krwawą pianą odchylił się w tył, z całych sił wpił palce w poręczę i wstał.

Balad wypuścił drugą strzałę.

Conan dopiero teraz odzyskał głos.

— Baladzie!!! Jak śmiałeś?! — ryczał, a wściekłość wykrzywiła straszliwie jego twarz. —

On otworzył przed tobą drzwi i nie miał broni!!! To nie walka, to rzeź!!! I ty, zwyczajny morderca, taki sam jakim był on, chcesz, żeby ludzie przysięgli ci wierność i posłuszeństwo?!

Mordercy, który bierze tron nie z wyroku sprawiedliwego sądu ani nie w uczciwej walce?!

Ludzie Balada zaszemrali cicho. Balad zwrócił na Conana spojrzenie błyszczących oczu, Conan widział strzałę wycelowaną w swoje serce. Stał samotny, bezbronny... Mierzyli się wzrokiem, gdy Akter upadł, stoczył się ze stopni i leżał nieruchomy.

— Conanie, bacz, do kogo wypowiedziałeś nierozważne słowa! Teraz ja jestem

khanem! Khanem Zambouli! — Balad drżał z gniewu, krzyczał, gestykulował żywo.

Conan stał spokojnie, cichym głosem przemówił z powagą:

— Akter nie był dobrym khanem, ale był khanem, z woli Cesarza, piastował urząd satrapy Cesarstwa. A zginął z twojej ręki, Baladzie, jakby był pospolitym rzezimieszkiem.

Użyłeś łuku, broni tchórza, choć wiesz, że wojownik walczy mieczem. Ty, nowy khan, zacząłeś swoje rządy od aktu bezprawia, od pokazu tchórzostwa.

Balad podszedł do leżącego na posadzce miecza Aktera, postawił na nim stopę i spojrzał w oczy

Conanowi.

— Ten potwór zasłużył na gorszą śmierć. My jednak nie mamy czasu na sądy, jest wiele spraw do zrobienia w Zambouli. Pamiętamy, że choć jesteś cudzoziemcem i barbarzyńcą, okazałeś się lojalnym sojusznikiem i przyczyniłeś się do obalenia Aktera. Proponujemy ci zaszczytne stanowisko Osobistego Strażnika Khana Zambouli.

Ton Balada prawie rozśmieszył Conana. Tyle pychy w jednym tchórzliwym człowieku!

Isparana zagryzła wargi, czekała na odpowiedź Conana z nie mniejszym napięciem niż Balad.

Conan zaś patrzył na Balada ponuro, zwlekając z odpowiedzią. W końcu rzekł:

— Nie, Baladzie. Nie będę twoim strażnikiem. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, posłużyłeś się kłamstwem, okazując się tchórzem, lękającym się przyznać do własnego imienia. Dziś zdobyłeś ten pałac dzięki mnie i wojownikom Hajimena, przyszedłeś na końcu, by odebrać swoją należność, krótko mówiąc: tchórz i kłamca dostał Zamboulę w prezencie od Shangi i Conana. I ja miałbym być twoim strażnikiem?

Balad zacisnął szczęki. Powoli sięgnął ręką do kołczana po nową strzałę.

Nagle zamarł w pół ruchu.

Oczy Balada przesunęły się z Conana na coś, co pojawiło się za plecami barbarzyńcy.

Conan odwrócił się, by spojrzeć na to „coś” i niemal skamieniał.

Drzwi do komnaty maga stały otworem. Trzymając się z całych sił krawędzi jednego ich skrzydła, do sali tronowej wchodził się zalany krwią Zafra...

Conan poczuł, jak podnoszą mu się włosy na karku, a płucom brakuje powietrza.

Wolniutko, prawie nie oddychając, przesunął się tak, by móc widzieć i Balada, i Zafre.

— K–ktośś... kto ż–żył wśród cza–czarów... Nie t–tak łaaa–two g–go zabić... — choć

Zafra dławił się krwią, a jego głos był cichy i słaby, w ciszy, jaka zapadła w sali, każde słowo było słychać wyraźnie, każde słowo sprawiało, że po krzyżach obecnych tu ludzi przebiegał

dreszcz zgrozy. — Cymm–eriani–ninie, powinniśmy byli z–zostać sprzymierzeń... —

westchnął, mówienie sprawiało mu straszliwą trudność, ale chciał mówić. — Mgła przesłania mi... Cz–czy t–to Baalad...? Czar utrzymał mnie t–tak długo p–przy ż–życiu, abym n–nie...

Nie Balad na tym tro–onie–e... Nawet — Zafra krzyknął nagle ze zdumiewającą siłą — ten pies Akter był lep...!!! — głos maga załamał się gwałtownie, Zafra jęknął tak cicho, że tylko Conan usłyszał: — Z–zabijj g–go...

W korytarzu rozległ się przeraźliwy wrzask — człowiek trzymający zdobyczny miecz, ozdobiony ogromnym topazem, aż przewrócił się, gdy miecz Zafry wyrwał się z jego rąk.

Wrzask umilkł przechodząc w chrapliwy charkot stłumiony strugą krwi, która buchnęła z ust owego człowieka, kiedy ostrze ugodziło go w serce.

Ale choć wokół stało wielu innych, miecz, jakby kierowany ręką Zafry, wybrał jeden cel.

Gdy tylko miecz Zafry drgnął w rękę tamtego człowieka, miecz Akter Khana wysliznął się z pochwy, uwięzionej pod ciężką stopą Balada. Balad napinał właśnie łuk, naciągając cięciwę, by zabić Conana — z Zafrą zamierzał rozprawić się później, gdyż nie wydał się Baladowi tak groźny jak Conan — i nie dostrzegł niczego. Miecz Akter Khana skoczył w górę.

Balad nawet nie zdążył jęknąć.

Dwa ostrza zagłębiły się w jego pierś, zanim Balad upadł, przesyły ciało na wylot, wchodząc w nie po jelce.

Gdy runął na ziemię — dwa miecze zakołysały się nad trupem, syjąc iskry błyskami klejnotów. Znieruchomiały jak nagrobne pomniki, tylko słońca świeciły w topazie.

Conan wolno podszedł do trupa, z łatwością wyjął z jego serca miecz Zafry, starannie wytarł skrwawione ostrze w płaszcz Balada. Uniósł je, patrząc jak promień słońca lśni na długiej smukłej klindze. Tym samym wolnym krokiem podszedł do Zafry. Mag przymknął

powieki, odpowiadając na nieme pytanie Conana. Potem spojrział prosto w jego oczy i wyszeptał:

— D—dobij m—nie.

Conan ciął mieczem dwa razy. Ostrze zadzwoniło o marmur, krzesząc skry. Głowa czarnoksiężnika potoczyła się po płytach posadzki.

Conan z Cymmerii stał wsparty na mieczu i patrzył na zgromadzonych w sali Zamboulańczyków.

Głos Conana wypełnił salę, uderzył w wysokie sklepienie.

— Spalcie głowę Zafry, to jest jedyny sposób, by nie mógł powrócić do was on ani jego czary. Spalcie też wszystkie przybory z jego komnaty. Niech już nigdy nie znajdzie dla siebie miejsca w Zambouli żaden czarnoksiężski łotr.

Słuchali w milczeniu.

— Nie czarów bowiem wam trzeba, ale... khana. Dlaczego dotąd nie usłyszałem

radosnego okrzyku „Niech żyje Jungir Khan!”?

W tej właśnie chwili usłyszał. W korytarzu, gdzieś poza gromadą tłoczących się przy drzwiach ludzi Balada, zabrzmiał nagle głos visira — Hafara:

— Niech żyje Jungir Khan! Niech żyje prawowity następca tronu Zambouli!!!

Pierwsza podchwyciła ten okrzyk Isparana, za nią inni. W sali zawrzało, ludzie śmiali się, klaskali, tańczyli i wznosili głośnie okrzyki na cześć nowego, młodziutkiego khana Zambouli.

Conan przyglądał im się przez chwilę. Uśmiechnął się. Rzekł cicho do siebie:

— A ja odejdę, i przysięgnę, że nigdy o tym mieście nie słyszałem.

Przy jednej z bram Zambouli zgromadzili się siedzący na swoich wielbłądach wojownicy Shanki odziani w podróżne białe kaffije i takież płaszcze. Pośród nich Conan wyróżniał się wzrostem i żółtą bawełnianą przepaską na czole, pod którą jego spokojne oczy jaśniały pogodnym błękitem.

Cymmerianin niespiesznie sprawdzał, czy dobrze umocowano sakwy podróżne na

grzbietach pięciu jucznych koni, należących do niego, odkąd wybrał te zwierzęta dla siebie ze stajni khana, nie pilnowanej przez strażę. Sakwy były ciężkie, zapełnione po brzegi, tu i ówdzie coś nie mieściło się pod płóciennym przykryciem i w słońcu połyskiwało srebrem lub złotem. Z jednej z sakw wystawały rękojeści kilku cennych mieczy, wśród nich płonął żółto topaz w głowicy miecza Zafry i mienił się szlachetnymi kamieniami miecz Akter Khana.

Drobna kobieca postać w błękitnej sukni przesunęła się pod murem ku bramie.

Barbarzyńca, zajęty wciąż sprawdzaniem bezpieczeństwa cennego ładunku, nie zauważył jej.

Isparana, gdyż to była ona, ujrzawszy Conana podbiegła, silną dłonią ujęła wodze Konia, zwanego od niedawna Zwycięzcą Wydm, gotowego do drogi. Teraz Conan zobaczył ją.

— Witaj, ‘Sparana. Jak miewa się Jungir Khan?

Błysnęła bladym uśmiechem.

— Dobrze zniósł śmierć swego ojca. Zajął się dzielnie przygotowaniem należytego pogrzebu... Hafarowi i mnie udało się przekonać chłopca, że Balad był magiem, silniejszym niż Zafra, że zabił Zafre i Aktera, i że zniewolił umysły ludzi w Zambouli, zmieniając tych nieszczęśników w posłuszne jego woli narzędzia, i dopiero zemsta dogorywającego Zafry unicestwiła Balada. Jungir uwierzył w to, i wybaczył spiskowcom. Złożyli mu przysięgę wierności. Jungir... nic nie wie o pewnym cudzoziemcu z dalekiej północy.

— Słusznie. Wszak nigdy nie spotkałem tego dziecka. I mam nadzieję, że nigdy nie spotkam. Nie widzę też powodu, by dowiedział się kiedykolwiek o tym — wskazał Isparana pękate sakwy — bo może nie byłby zachwycony, że sam wypłaciłem sobie nagrodę, którą obiecał nam jego ojciec za Oko

Erlika.

Conan w nagłej zadumie popatrzył na piękny naszyjnik, zdobiący suknię Isparany.

— Oko Erlika, amulet, który zamiast szczęścia i powodzenia, przyniósł Akterowi śmierć...

Na chwilę zapadło ponure milczenie.

— Wiesz, Ispa — Conan wsparł się ramieniem o siodło Konia i z bliska patrzył w twarz Isparany — nie lubię tego miasta, nie lubię tych ludzi, i obawiam się, że mógłbym nie polubić jedyne­go, ukochanego syna Akter Khana. Kto wie, co ten mały odziedziczył po ojcu prócz Zambouli. Nie wierzę w dobrych władców, ‘Sparana, zbyt wielu możnych tego świata poznałem z bliska. Nawet jeżeli ty i Hafar dołożycie starań, żeby z Jungira uczynić rozumnego człowieka o wielkim sercu — nie wierzę, by wam się udało.

Conan przeszedł kilka kroków pomiędzy ludźmi, szarpnął lekko popręg któregoś z koni, bo wydał mu się nie dość mocno zapięty. Zawrócił do Isparany.

— Nie znoszę, gdy w podróży juki zaczynają przechylać się, spadać. Są kłopoty, a to opóźnia marsz. — Znow oparł się łokciem o wysoki łęk siodła. — Widzę, że patrzysz z zachwytem na moje konia, Ispa. Cóż, naprawdę są piękne. Nikt nie pilnuje dziś stajni, widać nikomu nie zależy już tu na koniach, wzięłem więc sobie pięć. Przyznaj, że są wspaniałe. Czy mam kazać osiodłać jednego dla ciebie?

— Zatem naprawdę odjeżdżasz...

— Tak. Nie wiem, gdzie się zatrzymam na dłużej, ale wiem, że wolę sto razy Shadizar, gdzie wszystko jest jasne, gdzie nikt nie udaje lepszego niż jest w rzeczywistości. Ludzie tam po prostu żyją, nie marnują życia na dworskie intrygi, spiski.

W jej uśmiechu był cień zadumy i smutku.

— Jesteś... wspaniałym mężczyzną, Conanie.

— Jesteś wspaniałą kobietą, ‘Sparana. Patrzyli przez chwilę na siebie w milczeniu.

— Nadano mi zaszczytny tytuł „Przyjaciółka Khana”. Hafar podpisał dokument, który szlachetnie urodzeni chętnie zatwierdzili. Jestem Pierwszą Damą Zambouli, o wielu sprawach tego kraju decyduję wraz z Jungirem i Hafarem. I, bogowie! — jakże potrzebujemy dzielnego generała, wodza dla naszej armii, który przenigdy nie wdałby się w matactwa i spiski... Nie byłoby źle, gdyby tym generałem zechciał zostać pewien szlachetny i dzielny cudzoziemiec o niebieskich oczach.

— Nie, Isparana. — Conan, który przez moment patrzył w niebo, by nie widzieć w jej wzroku niemej prośby, niespodziewanie nachylił się ku niej, z bliska spojrzął w czarne smutne oczy. Nagle odwrócił się i wskoczył na konia. Poprawiając się w siodle zapytał: — Ile właściwie masz lat, ‘Sparana...?

— Dwadzieścia sześć, to nie tajemnica. A ile ty masz lat, dzielny wojowniku, który nie chce zostać

generałem... i nie chce zostać ze mną?

— Osiemnaście — oznajmił zuchwale, dodając sobie prawie rok. Poklepał Konia po szyi.

Spojrzał na Isparanę.

— Jedziesz ze mną?

Jakby nie słysząc pytania powtórzyła cicho:

— Osiemnaście!

— No... Prawie! — Zaśmiał się.

Potrząsnęła głową, wzdychając. Perły błyszcząły w jej włosach i na przepasce z błękitnego jedwabiu, podtrzymującej burzę czarnych loków.

— Prawie osiemnaście... Jakiż mężczyzna z ciebie będzie!

— Ech, ‘Sparana! Dopiero co mówiłaś, że jestem mężczyzną, nawet wspaniałym, a teraz mówisz, że dopiero nim będę... — uśmiechnął się krzywo, spoglądając na nią z ukosa.

Roześmiała się, po raz pierwszy tego ranka z dawną szczerą wesołością.

— Więc żegnaj, ‘Sparana. Wiesz, cieszę się, że jednak mnie nie zabiłaś.

— Nie jestem pewna, czy dobrze zrobiłam...

Conan wybuchnął śmiechem. Shanki odjeżdżali powoli ku bramie, nie, żeby ponaglić Conana, lecz aby nie przeszkadzać mu w pożegnaniu z kobietą. Lekki wiatr rozwiewał

grzywy parskających koni — i konie czuły już bliskość rozległej pustym, grzebały kopytami w ziemi, niecierpliwiąc się, gotowe ruszyć galopem, swobodne pośród niezmiernych przestrzeni piasków i nieba aż po horyzont.

— Conanie... Myślisz, że wrócisz kiedyś do Zambouli?

Obrócił się ku niej wzburzony.

— Klnę się na cymmeriańskiego Croma, na zamboulańskiego Erlika i na Thebę Shanki, że nigdy nawet nie przyznam się komuś, że byłem w tym mieście, że widziałem Oko Erlika. I zapomnę o Zambouli na zawsze!

— I o mnie.

— I o tobie, ‘Sparana. Jeżeli kiedykolwiek bogowie sprowadzą mnie w pobliże Zambouli, ty, Pierwsza Damo, Przyjaciółko Khana, będziesz już starą, poznaczoną zmarszczkami matką kilkorga

dzieci, z figurą zepsutą licznymi porodami, i nie rozpoznam cię wśród wielu matron witających mnie na dworze Jungir Khana! — rzucił wściekle Conan, a jego oczy zwęziły się, lśniąc lodowym blaskiem.

— Ja cię rozpoznam zawsze i wszędzie, ty barbarzyński... — Isparana zaśmiewała się prawie do łez, wracając do dawnego tonu w odpowiedzi na chłopięce gniewy Conana.

Spojrzał na nią ostatni raz. Kopnął boki Konia i przez bramę miasta Zambouli wypadł galopem na pustynię. Shanki ruszyli za nim.

I dopiero kiedy tumany piaskowego pyłu zasłoniły przed oczami wpatrzonej w dal Isparany szybko oddalających się jeźdźców — po jej policzkach popłynęły prawdziwe łzy.